



3 1761 07730385 7

WŁADYSŁAW UMIŃSKI.

CO POLSCE POTRZEBA

PAMIĄTKA

Rad TREŚĆ:

1. ZADANIE NINIEJSZEJ KSIĄŻKI.
2. CO TO JEST INTERES NARODOWY.
3. BÓGACTWA ZIEM POLSKICH.
4. NARÓD POLSKI MUSI BYĆ ZJEDNOCZONY.
5. STANY W POLSCE I ICH POŁOŻENIE GOSPODARCZE.
6. ZIEMIA, JAKO WŁASNOŚĆ NARODU.
7. PODŻWIGNIJMY ROLNICTWO POLSKIE.
8. PRZEMYSŁ POLSKI ŻYWICIELEM BEZROLNYCH.
9. UNARODOWIENIE MIAST.
10. UNARODOWIENIE HANDLU.
11. DOBRE DROGI -- JEDNA Z NAJPILNIEJSZYCH POTRZEB POLSKI.
12. OŚWIATA NAJWAŻNIEJSZĄ POTRZEBĄ POLSKI.
13. POLSKA MUSI SIĘ DOBRZE RZĄDZIĆ.
14. REFORMY SPOŁECZNE.
15. ZRZESZAJMY SIĘ.
16. SIŁA MORALNA NAJWIĘKSZYM DOBREM NARODU.
17. CO TO JEST MORALNOŚĆ NARODOWA.

1920.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
ZNAŃ, ————— ŁÓDŹ, ————— LUBLIN,
LNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

HC
340
.3
U54
1920
c.1
ROBA



Presented to the
LIBRARY *of the*
UNIVERSITY OF TORONTO
by
Benedykt Heydenkorn

WŁADYSŁAW UMIŃSKI.

CZEGO POLSCE POTRZEBA

TREŚĆ:

1. ZADANIE NINIEJSZEJ KSIĄŻKI.
2. CO TO JEST INTERES NARODOWY.
3. BOGACTWA ZIEM POLSKICH.
4. NARÓD POLSKI MUSI BYĆ ZJEDNOCZONY.
5. STANY W POLSCE I ICH POŁOŻENIE GOSPODARCZE.
6. ZIEMIA, JAKO WŁASNOŚĆ NARODU.
7. PODŻWIGNIJMY ROLNICTWO POLSKIE.
8. PRZEMYSŁ POLSKI ŻYWCIELEM BEZROLNYCH.
9. UNARODOWIENIE MIAST.
10. UNARODOWIENIE HANDLU.
11. DOBRE DROGI – JEDNA Z NAJPILNIEJSZYCH POTRZEB POLSKI.
12. OŚWIATA NAJWAŻNIEJSZĄ POTRZEBĄ POLSKI.
13. POLSKA MUSI SIĘ DOBRZE RZĄDZIĆ.
14. REFORMY SPOŁECZNE.
15. ZRZESZAJMY SIĘ.
16. SIŁA MORALNA NAJWIĘKSZYM DOBREM NARODU.
17. CO TO JEST MORALNOŚĆ NARODOWA.

1920.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.

POZNAŃ ————— ŁÓDŹ ————— LUBLIN
WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Kongres Polonii Kanadyjskiej
Polsko Kanadyjski Instytut Badawczy
1475 Queen St. West, Toronto 3, Ont.
Canada

Pol
50
11



CZCIONKAMI DRUKARNI „GŁOSU NARODU” W KRAKOWIE.

ZADANIE NINIEJSZEJ KSIĄŻKI.

Wolą Opatrzności, której podobało się z morza krwi i łez powołać znów do bytu samodzielnego naszą Ojczyznę, stajemy wobec olbrzymich zadań. Mamy z gruzów, pozostawionych przez trzech zaborców, dziś powalonych i na długo bezsilnych, odbudować gmach państwowości polskiej. Jeżeli to podniesienie z upadku ojczystych murów ma się dokonać prędko, wszystkie głowy, wszystkie serca i wszystkie ręce polskie muszą się zjednoczyć we wspólnym wysiłku. Wysilek ten zbiorowy musi sobie jednak wytknąć drogi, prowadzące do wielkiego celu, musi postawić sobie drogowskazy, żeby się nie błąkać po wertepach, nie marnować pracy i czasu.

Dzielko, które bierzecie do ręki, ma na celu zapoznanie najszerszych kół z potrzebami odradzającej się Polski. Rozpatruję na wstępie, co to jest interes narodowy, bo cała treść książki jest właśnie przeglądem naszych najważniejszych interesów i potrzeb. Staralem się ująć je w pewną całość, zaczynając od potrzeb materialnych, a kończąc na duchowych.

Rozdziały, dotyczące rolnictwa i zrzesseń, są nieco obszerniejsze, gdyż sprawy te najbliżej obchodzą szerokie koła, dla których podjąłem tę pracę. Spodziewam się jednak, że każdy może przeczytać ją z pożytkiem. Dla poparcia pewnych twierdzeń wypadło się uciec do liczb, zaczerpniętych przeważnie z rocznika statystycznego Grabskiego i wydawnictwa prof. Römera; starałem się jednak jak najbardziej obchodzić się bez licbowych zestawień.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu niniejszej książki czytelnik będzie się łatwiej orjentował w wielu sprawach, zbliska obchodzących każdego Polaka. Jak dotąd, nikt nie zrobił przeglądu najważniejszych interesów narodowych polskich, gdyż stała temu na przeszkodzie cenzura rosyjska, a potem niemiecka. Zaborecy starali się stłumić w narodzie świadomość doznawanych krzywd, obawiając się słusznego jego gniewu i przeciwdziałania; chcąc zaś zapewnić sobie nadal

możność wyzyskiwania Polaków, utrzymywali ich w ciemnocie, baczyli, żeby nikt nie otwierał im oczu na okropne skutki gospodarki ciemieńców w krajach podbitych, na nasze najbardziej palące potrzeby, na najciemniejsze strony niewolniczego życia, na przyczyny, wywołujące nędzę. Rozumieli bowiem, że kto pozna istotę choroby, ten będzie szukał na nią leków, a tym lekiem mogło być jedynie pozbycie się najeźdźcy.

Dziś, kiedy odzyskaliśmy wolność i zaczynamy być gospodarzami we własnym domu, czas najwyższy poznać drogi, które naród dążyć musi do swojej pomyślności materialnej, do zbudowania takiego domu wspólnego, w którym obok dobrobytu panowałby ład, spokój i swoboda dobrze pojmowana. Czas poznać zasoby bogatej Polski, jej najpilniejsze potrzeby, zastanowić się nad tem, jak im zaradzić, usunąć dostrzeżone braki, czas poznać wiele prawd, które każdy obywatel, pragnący dobra Ojczyzny, na uwadze mieć ciągle powinien.

Szczupłość rozmiarów książki niniejszej nie pozwoliła mi, niestety, gruntowniej zbadać wielu spraw pierwszorzędnej wagi; musiałem dotykać ich zlekka zaledwie, ale chodziło mi o to, aby dać choć krótki przegląd potrzeb odradzającej się Polski, któryby zachęcił czytelnika do głębszego zajęcia się temi sprawami, które go bliżej obchodzą. W braku lepszej, praca moja narazie będzie, mam nadzieję, przyjęta z wyrozumiałością.

CO TO JEST INTERES NARODOWY.

Ażeby dobrze pojąć, co to są interesy narodowe, musimy przyrzec się pojedynczemu człowiekowi i jego interesom prywatnym.

Weźmy sobie za przykład zamożnego gospodarza, który posiada znaczny majątek ziemski, fabrykę i w dodatku jakieś włości, gdzieś w dalszych okolicach położone.

Zgóry już można się domyśleć, że taki pan ma dużo interesów, których dopilnowanie wymaga z jego strony wielkiej zabiegliwości, energii i skrętności. Główny jego interes polega na tem, żeby majątek, czy to nabyty, czy też odziedziczony po ojcu, utrzymać w dobrym stanie, żeby wszędzie panował wzorowy ład i porządek, żeby mienie nie tylko się nie zmniejszało, ale przeciwnie, żeby możliwie rosło, żeby dokupywać nowe obszary do tych, jakie odziedziczył, żeby rozszerzać fabrykę, żeby mieć jak największy dochód, słowem, żeby jego interesy, jak się to mówi, rozwijały się. Jeżeli taki właściciel jest dobrym gospodarzem, to będzie on pamiętał zawsze o tem, że ten majątek, który mu pozostawili ojcowie, nie jest jego tylko własnością, ale także własnością jego rodziny, jego dzieci; że przeto jego obowiązkiem jest nie tylko utrzymać w całości to, co sam dostał, ale mienie powiększone przekazać potomkom; ci z kolei, postępując tak samo, jak on, pozostawią swoim dzieciom odziedziczony majątek, i tak dalej. Musi pamiętać, że rodzina jego powiększa się, a zatem, ażeby jego wnuki nie wyszły na biedaków, trzeba zawczasu pomnażać dobro.

Jeżeli ów człowiek będzie myślał o tem wszystkim i przez umiejętną gospodarkę dopnie swego i, umierając, pozostawi nieobdłużony, rozszerzony majątek swoim dzieciom, jeżeli przytem nie popełnił nie złego, nie żył, jak to się mówi, cudzą krzywdą, ale wszystko zawdzięczał swojej pracy i energii, to niezawodnie każdy rzuci chętnie przyjacielską grudkę ziemi na jego trumnę, będzie dobrze o nim mówił i będzie go stawiał za przykład innym.

Przeciwnie zaś, jeżeli jakiś bogacz przez niedołęstwo, próżniactwo, zaniedbanie swoich interesów nie tylko nic nie przysporzy, ale straci to, co sam miał, jeżeli zamiast zabezpieczyć swoje dzieci od nędzy, wtrąci je w nieszczęście, pozbawi dachu rodzinnego nad głową, dopuści, żeby go wyzuto z ojcowizny i sam umrze w biedzie, jako żebrak, to napewno każdy nim pogardzi, każdy go potępi. Istotnie, wielkim jest grzechem stracić, przez próżniactwo, przez niedbalstwo, ojcowiznę, oddać w obce ręce ziemię, zroszoną krwią i potem praocjów. Dobry gospodarz ma więc szacunek u ludzi, zły zaś, niedbały, zasługuje na pogardę i nikt się nad nim nie ulituje, jeżeli zostanie z własnej winy żebrakiem. Kto nie pilnował swoich interesów, próżnował, był niedbałym, ponosi zatem zasłużone następstwa swojego postępowania. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, powiada stare i dobre przysłowie.

Mówiliśmy dotąd o jednostce i o jej interesach. Teraz przyjrzymy się np. gminie. Gmina, wzięta jako całość, ma także swój majątek wspólny. Składa się on nie tylko z posiadłości wszystkich gminiaków, ale także często z lasu gminnego, z pastwiska gminnego, może nawet gmina być bardzo zamożna i mieć znaczne posiadłości, wspólną własność stanowiące. Ale to nie należy do rzeczy, bo my bierzemy za przykład nawet taką gminę, która żadnej wspólnej własności nie ma, tylko jest zbiorowiskiem kilku wsi, kilkuset rodzin, mających jakieś grunty, a nawet zupełnie bezrolnych. I taka gmina ma pewne interesy wspólne, których pilnować powinna. Ma zatem drogi, które należy utrzymać w porządku, żeby gminiaci nie niszczyli niepotrzebnie wozów i nie marnowali koni, a mieli łatwy dojazd do szosy, do kościoła, do powiatu i t. d. Gmina ma dzieci, zatem musi założyć szkoły, czy też istniejące utrzymywać; dalej, gmina może mieć jakieś serwituty, z których korzysta, albo też kawałek wspólnego lasu. Ma gmina swoich urzędników; sołtysów i wójta; kancelarję gminną; musi ponosić pewne ciężary wspólne, zwłaszcza podczas wojny. Słowem, jest w każdej gminie pełno spraw, dotyczących ogółu gminiaków, mnóstwo interesów, które trzeba dobrze załatwić, żeby gminie krzywda się nie stała, przeciwnie, żeby coś dobrego jej przysporzyć.

Słowem, gmina, w osobie rady gminnej i wójta, musi pilnować interesów gminy, ułatwiać, a nie utrudniać życia gminiakom. starać się, żeby gospodarze mieli kredyt w kasie gminnej, musi dbać, żeby nie było nędzarzy i złodziei i t. d. Nielatwa to rzecz dopilnować wszystkiego, to też wybiera się do tego radę gminną i dobrego wójta, którzy powinni dbać o interesy gminy i załatwiać je z możliwą dla niej korzyścią. Ale wiadomo, że nie w każdej gminie dzieje się

Jednako dobrze. Jedna rządzi się jak najlepiej, dzięki temu drogi gminne znajdują się w dobrym stanie, dzieci chodzą do szkół i wyrastają na rozumnych, umiejących pracować gospodarzy. Las gminny jest dobrze zagospodarowany i dostarcza gminiakom, spalonym czy też osiedlającym się na swoich parcelach, budulec; nie potrzeba kupować opału, bo dla wszystkich starczy. Gospodarstwa pięknie stoją, bo kasa dostarcza pieniędzy na długi termin, a na mały procent. Jest przytem Kółko rolnicze, Kooperatywa, żebraków niema, biedaków niewielu, gminiacy wzrastają w zamożność. Natomiast w innej gminie dzieje się źle. Każdy dba tylko o swoje własne interesy, patrzy nie dalej jak na koniec swego nosa, skutkiem tego wycięto las gminny, który zamienił się na nieużytek, dzieci wałęsają się i dziczeją, bo szkół niema dosyć, moralność upada, od złodziei aż się roi, ludzie próżnują, nie dbają o drogi, nie patrzą na co idą pieniądze gminne, z podatków: wójt robi co chce, nabijając sobie kieszenie, pełnomocników nie wybrano. To też ludzie coraz bardziej w takiej gminie opuszczają się w pracy, oddają się kradzieżom, albo uciekają od biedy do miast na wyrobki, gospodarstwa upadają, obcy się na nich osiedlają, albo odkupują je cudzoziemcy. Koniec końców w gminie rozgościła się nędza i występki dlatego, że gminiacy nie potrafili dopilnować swoich własnych i gminnych interesów. Widzimy zatem, że nie tylko pojedynczy człowiek, ale i zbiorowisko ludzkie, takie jak np. gmina, może zaniedbywać swoje interesy, albo też prowadzić je dobrze. To samo można powiedzieć o wielkich zbiorowiskach ludzkich, jak miasta, powiaty, prowincje, i o całych krajach.

Weźmy teraz jakiś naród, będący zbiorowiskiem ludzi związanych w jedną całość wspólnym językiem, wspólnie wyznawaną wiarą, wspólnym pochodzeniem, zamieszkujących pewne mniej lub bardziej rozległe obszary. Ludzie ci uświadamiają sobie, że stanowią jakiś, dajmy na to, polski naród, czują swoją odrębność od innych sąsiednich narodów i uważają się jakby za jedną wielką rodzinę.

Otóż naród ma, podobnie jak i pojedynczy człowiek, swoje mienie, odziedziczone po praojcach, a więc posiadać także musi swoje własne interesy.

Co stanowi majątek narodu? Majątek ten składa się nie tylko z rzeczy materialnych, ale i z dóbr duchowych. Majątek narodowy, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, stanowi przedewszystkiem obszar ziemi, zamieszkaną przez naród (terytorja), dalej to, co się na tych ziemiach znajduje, a więc: grunty, lasy, bogactwa kopalne, jak np. węgiel, żelazo, nafta, sól itd. Do majątku narodowego można także zaliczyć

naturalne drogi wodne w postaci spławnych rzek, jego korzystne położenie geograficzne, np. w sąsiedztwie morza, jego porty naturalne, fabryki, jakie znajdują się na obszarach narodowych. To wszystko zatem stanowi majątek narodowy materialny. Ale prócz własności materialnej naród posiada równie ważne dobra duchowe. Praca minionych pokoleń wytworzyła pewien stopień oświaty, postawiła ludzi należących do narodu na pewien stopień oświaty, pozostawiła mu pewne urządzenia społeczne wypróbowanej dobroci, pewną formę rządu, która się ostała przez długie wieki i przyczyniła się do wzrostu narodu w liczbę i bogactwo, w potęgę, pozostawiła pewne zwyczaje, do których się wszyscy przystosowali, które uprzyjemniają i ułatwiają życie w danych warunkach. Rodząc się, już każdy Polak zastaje w swym kraju wiele, wiele dobrych, pożytecznych rzeczy: kulturę na roli, przemysł, oświatę, biblioteki, skąd można czerpać wiedzę, gmachy publiczne, drogi w lepszym lub gorszym stanie, pewien stopień dobrobytu ogólnego, obraca się wpośród współobywateli, którzy myślą tak samo jak on, którzy poczuwają się do solidarności z nim, gotowi mu dopomóc, zastaje mnóstwo pożytecznych, ułatwiających pracę i uprzyjemniających życie instytucyj społecznych, oświatowych i kulturalnych, jak stowarzyszenia, uniwersytety, kościoły, muzea, teatry, banki, kasy, słowem, przychodzi, jak to powiadają, do gotowego już, zastawionego dzięki pracy ojców stołu.

Te wszystkie gotowe dobra, które choć nie należą do rzeczy materialnych, ale stanowią wspólny dorobek, bardzo ważny, nazywamy dobrami duchowymi, niematerialnym majątkiem narodowym. Naród, posiadając majątek materialny i niematerialny, musi zatem mieć także swoje różnorodne interesy, nieskończenie bardziej złożone i splątane, niż człowiek pojedynczy, albo gmina, czy miasto. Naród, jak rodzina, wzrasta, trzeba zatem utrzymać nie tylko to, co już jest, ale myśleć, żeby ci, co po nas przyjdą, mieli nieuszczerplony ten stół, przy którym my sami zasiedliśmy, wstępując w liczbę członków narodu. Ale życie narodu objawia się inaczej, niż życie jednostek. Potrzeby jednostki nie są te same, co potrzeby narodu. Inaczej zatem człowiek pracuje dla zadośćuczynienia potrzebie narodowej, a inaczej dla zaspokojenia swojej własnej. Jednostka musi nawet ponosić pewne bardzo nieraz wielkie ofiary dla dobra narodu, w przeświadczeniu, że jego dobro to jest jej własne dobro. Najlepiej może rzuca się to w oczy podczas wojny, kiedy dla państwa, które jest niejako domem narodu, jednostki muszą nieść w ofierze mienie, zdrowie, życie nawet.

Naród zaspokaja swoje potrzeby wysiłkiem nie jednostki, bo ta za mało znaczy i jej usiłowania nie przyniosłyby widomego owocu, ale zbiorowym wysiłkiem swych wszystkich obywateli. Trzeba, żeby każda jednostka, należąca do narodu, uświadomiła to sobie wyraźnie, że nie tylko leży w jej własnym interesie popieranie interesów całego narodu, ale że jest to jej najświętszy obowiązek, od którego nikomu uchylić się nie wolno. Ogół w takim dojrzałym narodzie nie tylko zna, ale i odczuwa, tak jak swoje własne, potrzeby narodowe i tak samo niemal jak o swoje prywatne, dba o ogólno-narodowe interesy.

Narody dojrzałe składają się z obywateli, którzy dobrze rozumieją tę wielką prawdę, że naród stoi nie staraniem jednostki, ale staraniem ogółu, że naród, jako całość, obejmująca wszystkie jednostki, jest czemś od nich nieskończenie wyższem, że potrzeby tej wielkiej rodziny, jaką jest każdy naród, są najważniejsze, że im się należy pierwszeństwo przed potrzebami jednostek i stanów. W takich dojrzałych narodach jednostka zawsze gotowa jest wszystko poświęcić dla ogólnego, narodowego dobra.

Takie zrozumienie interesów całego narodu i uważanie ich za swoje własne ściągają błogosławione skutki na naród, pozwala mu bowiem nie tylko utrzymać w całości bez najmniejszego uszczuplenia cały majątek materialny i duchowy, ale jeszcze osiągnąć pewien dorobek na rzecz przyszłych pokolei, które przecież powinny błogosławić, nie zaś przeklinać swoich ojców. Naród, dbały o swoje interesy, rozwija się, rośnie w bogactwa, w potęgę, w liczbę, zyskuje szacunek u sąsiadów i u całej ludzkości, jego członkowie osiągają największy możliwie stopień szczęśliwości i doskonałości: słowem, w narodzie, dbałym o swoje interesy, wszystko dzieje się dobrze, chyba, że zewnętrzne potęgi, jak np. zazdrośni i źli sąsiedzi, nastają na jego dobrobyt i majątek narodowy, starając się siłą odebrać mu to, co zdobył długą pracą wielu pokoleń; ale wówczas naród dojrzały powstaje jak jeden mąż, ażeby z bronią w rękę bronić swej ojczyzny, swojego mienia materialnego i duchowego, a wówczas żadna, nawet największa ofiara nie wydaje mu się za dużą. Składa życie i mienie własne na ołtarzu dobra powszechnego, zamienia się w bohatera, zdolnego do najwyższych poświęceń. Biada, natomiast, po stokroć biada narodowi, który nie chce, czy nie potrafi bronić skutecznie swych interesów narodowych, który ich nie zna dokładnie, nie dba o nie, przekładając dobro własne, doraźną korzyść prywatną nad dobro ogółu! Taki naród można zupełnie trafnie porównać z owym złym gospodarzem, który przez próżniactwo, lekkomyślność, niedbal-

stwo nie tylko nie przysporzył ojcowizny, ale przeciwnie, utracił ją, zmarnował i skazał na nędzę i poniewierkę swe dzieci. Naród, nie dbający o swoje interesy, traci powoli na rzecz sąsiadów prowincje, pozwala obcym panoszyć się na swoim chlebie, powoli z pana niezależnego, gospodarza na swoim, staje się zawistym służebnikiem, wkońcu nawet niewolnikiem, który służy obcemu panu i na niego pracuje, wyzutym ze wszystkiego, poniewieranym i pogardzanym nędzarzem. Jeżeli zły sąsiad podbije i obróci w niewolnika swego małego i słabego sąsiada, korzystając ze swojej siły, wówczas jest to nieszczęście, nie pochodzące z winy narodu podbitego. Cóż jednak można powiedzieć o wielkim narodzie, który oddaje się w niewolę słabszemu od siebie, dlatego tylko, że nie umiał pracować na swojej ojcowiznie, nie potrafił jej ustżec, nie dbał o nią, zmarnotrawił ją pro prostu?

Taki naród zupełnie słusznie staje się pośmiewiskiem i przedmiotem pogardy ze strony innych wolnych narodów. A jeżeli dochodzi do takiego upadku i spodlenia, to zwykle sam sobie jest winien, bo nie umiał zdobyć się na ofiarę, gdy chodziło o interesy ogółu, bo jednostki zawsze swoje własne prywatne dobro stawiały na pierwszym miejscu, a dobro ogółu na ostatnim.

Ażebymy uniknąć takiego smutnego losu dla narodu, jest niezbydnem, żebymy każdy znał dokładnie interesy swego narodu i państwa, i umiał się nimi przejmować, jak swymi własnymi, żebymy poczuwał się do ofiarności, jeżeli idzie o popieranie tych interesów, słowem, żebymy był dobrym obywatelem swojego państwa. Takich, którzy kochają swoją polską ojczyznę, jest u nas, chwała Bogu, dużo. Niestety, brak u nas jeszcze dobrego zrozumienia interesów narodowych, mało jest bowiem ludzi, którzy zdają sobie sprawę, na czym one polegają, jak trzeba postępować, ażebymy im uczynić zadość, jak przyłożyć rękę do zbiorowego wysiłku dla dobra wspólnej ojczyzny.

Dla tych miłujących Polskę obywateli, ale nie wiedzących, jakie są jej najpilniejsze, najważniejsze potrzeby i jak należy postępować, aby te potrzeby zaspokoić, jak pilnować interesu narodowego, piszemy niniejszą książeczkę.

BOGACTWA ZIEM POLSKICH.

Są na świecie kraje żyzne, obfitujące do zbytku we wszelkie bogactwa przyrodzone, tak iż człowiek potrzebuje się jeno schylić, żeby z nich korzystać do woli i mieć zapewniony przy małej pracy byt dostatni. Ale są też i takie, w których człowiek dla utrzymania się przy życiu musi pracować w pocie czoła i z najwyższym wysiłkiem zdobywać zaledwie suchy chleb. Z takich ubogich krajów ludność musi uciekać do obcych dla zarobku, albo na jakiś czas, albo na zawsze.

My, Polacy, nie zamieszkujemy wprawdzie krain, płynących, jak to się mówi, mlekiem i miodem, nasza ziemia polska nie jest żadną biblijną „Ziemią Obiecaną“, ale nie jest też ubogą macochą.

Zastanowić się chcemy w tym rozdziale, czy ziemie polskie zawierają tyle przyrodzonych bogactw, żeby naród polski mógł żyć na nich i rozmnażać się bez obawy, że dla niego, albo dla tych, co po nim przyjdą, chleba zabraknie.

Otóż zgóry możemy zapewnić naszych czytelników, że ziemia polska to dobra matka, która w swem łonie zawiera tyle skarbów, że nie tylko dzisiejsze pokolenia, ale i następne mogą bez obawy czerpać z nich dla siebie i będą miały byt zapewniony, nawet wówczas, gdyby liczba Polaków potroiła się.

Dokonajmy krótkiego przeglądu tych wszystkich darów przyrody, z jakich możemy korzystać. ma się rozumieć. przy sumiennej pracy.

Dary przyrodzone dostarczają bowiem ludziom materiału surowego (surowców), z którego potem drogą przetwórczego przemysłu, czy to rękodzielniczego, czy to wielkiego, fabrycznego, otrzymujemy różne przedmioty, służące do zaspokojenia bądź potrzeb miejscowej ludności, bądź też nadające się dla wymiany na inne przedmioty, wyrabiane przez obcych.

Każdy to rozumie, że im więcej darów przyrodzonych posiada jakiś kraj, tem lepiej może się w nim rozwijać rękodzielnictwo i prze-

mysł fabryczny, tem więcej ludzi znajdzie zarobek w kraju, tem ludność jego może być zamożniejsza i liczniejsza.

Jeżeli zatem zrobimy chociaż pobieżny przegląd naszych bogactw przyrodzonych, to, jak rzekłem, musimy dojść do przekonania, że nie jesteśmy bynajmniej ubodzy w porównaniu z innymi narodami.

W łonie ziem polskich znajdują się skarby, które, wydobyte i przerobione, mogą służyć za podstawę dla wielkiego przemysłu, zdolnego zapewnić setkom tysięcy robotników zyskową pracę.

Cóż zawiera ziemia polska?

Złota, diamentów wprawdzie nie znajdziemy, ale daleko większymi skarbami są różne inne pożyteczne kopaliny, zdatne do zaspokojenia naszych codziennych potrzeb.

Najważniejsze nasze bogactwo przyrodzone stanowi bez wątpienia węgiel kamienny, którego zasoby oceniają uczeni na 400 miliardów rubli w złocie. Pokłady obfite mamy nie tylko w Zagłębiu Dąbrowieckim, w Królestwie, ale i w Krakowskim i na Śląsku Cieszyńskim i na Śląsku Górnym; w całym kraju istnieją liczne torfowiska, które nawet po wytrzebieniu lasów mogą zastąpić drzewo opałowe. Możemy korzystać z torfu z bardzo małym nakładem kosztów.

Ciepła i światła starczy więc dla kilkudziesięciu następnych pokoleń polskich. Drugą, niezmiernie ważną kopaliną, bez której żaden naród obejść się nie potrafi, jest ruda żelazna. Mamy jej obfitość na ziemiach polskich: nie są one wprawdzie takie bogate, jak niektóre rosyjskie, ale opłaci się je wydobywać i przetapiać na żelazo; w dodatku zawierają one dużo fosforu, który potem w postaci tomasówki użycia nasze pola. Z pomiędzy innych użytecznych metalów znajdują się na ziemiach naszych: cynk, ołów i miedź w ilościach niewielkich, ale zdolnych w zupełności zaspokoić potrzeby krajowe. Siarka, także bardzo ważny minerał, znajduje się u nas w okolicach Krakowa, w Królestwie zaś nad rzeką Nidą w Kieleckim, w miejscowości Czarkowy. Jest bardzo prawdopodobne, że czasem odkryją jeszcze bogatsze kopalnie siarki w naszym kraju. Fosfory, stanowiące bardzo ważny materiał do wyrobu superfosfatów, znajdują się na Podolu, a w Królestwie w okolicach Tomaszowa Rawskiego. Nie są one dotąd dobywane, ani też zbadane, chociaż dla kraju rolniczego mają doniosłe znaczenie.

Wielkie bogactwo narodowe stanowią galicyjskie kopalnie nafty. Obszary naftonośne ciągną się na przestrzeni około 400 kilometrów długości, wzdłuż podnóża Karpat, od Doliny Dunajca, aż do Bukowiny. W Kieleckim, jak się zdaje, także znajduje się nafta. Te

wielkie ilości nafty, jaką wydobywamy dziś w Galicji, są niezem, jak twierdzą niektórzy uczeni ziemioznawcy, w porównaniu do tych ilości, jakie muszą się znajdować w głębszych warstwach ziemi, dokąd jeszcze świdry nie dotarły.

Obok nafty w Polsce wydobywa się wosk ziemny (ozokieryt), podobny do pszczelengo (w Borysławiu i Truskawcu w Galicji). Wosk ziemny ma bardzo liczne zastosowania.

Równie ważną kopaliną jest sól kamienna i sole potasowe. Sól jest używana nie tylko jako przyprawa do potraw, ale ma inne ważne zastosowania w różnych gałęziach przemysłu, mianowicie: w metalowym, garniearskim, szklannym, chemicznym (robią z niej sodę). Mamy w Polsce dwa obszary solonośne: jeden w Galicji (sławne kopalnie w Wieliczce i Bochni) i w Księstwie Poznańskim (Inowrocław), a także w Ciechocinku (na północnym zachodzie Królestwa Polskiego). Zapewne sól znajduje się także w okolicach Solca i Buska w Kieleckiem, bo istnieją tam źródła słone. Sól jest jednym z najważniejszych skarbów podziemnych Polski, niemal równej wartości z węglem i naftą. Ale jest też na naszych ziemiach i inny ważny dla rolnika skarb, a mianowicie sole potasowe w okolicach Kałusza w Galicji Wschodniej i gdzie indziej. Jak wiadomo, sole potasowe służą do wyrobu cenionego w gospodarstwie nawozu sztucznego.

Ponieważ dla podniesienia wydajności naszych ziem, zwłaszcza znajdujących się dotąd w niższej kulturze, kainit i wogóle sole potasowe są niezmiernie ważne, przeto wypada pomyśleć o jak najszerszem korzystaniu z tego bogactwa narodowego, które zapewni dostatek chleba dla wszystkich.

Ważnym także dla kraju, tak źle zabudowanego jak nasz, jest materiał budulcowy w postaci kamieni zdalnych na domy, do brukowania ulic i t. d. Otóż takich kopalin, użytecznych w budownictwie lądowym i wodnym, mamy w Polsce wielką obfitość. Posiadamy zatem w Tatrach niewyczerpane zapasy granitu; w Kieleckiem i Radomskiem są wyborne piaskowce, nadające się do użytku budowlanego i do robót kamieniarskich. Pasma gór, ciągnących się od Wielunia aż pod Kraków, składa się ze skały wapiennej, która dostarcza nam nie tylko dobrego materiału budulcowego, ale daje nam po wypaleniu wapno. Szczególnie zdatnymi do celów budowlanych są marmury kieleckie i checińskie różnej barwy. Używają ich na nagrobki, na płyty do ozdabiania kamienic, na schody i t. p. W powiecie Pińczowskim posiadamy doskonały biały wapień, zdatny na budowle, w Krakowskiem twarde porfiry, wyborne na szosy i na bruki. Wołyń dostarcza

czarnego bazaltu, także nadającego się na bruki. Jest też obfitość marglu, potrzebnego do wyrobu cementu, w Chełmszczyźnie jest kreda do pisania. Okolice Iłży, w Radomskim, są bogate w dobrą glinę garncarską; w licznych miejscowościach znajdujemy gliny zduńskie, u cegły przydatne; nie brak też różnych gliniek szlachetniejszych, ogniotrwałych, porcelanowych (w Kieleckiem). Ziemia porcelanowa, czyli kaolin, znajduje się także na Łodolu i Wołyniu (słynna fabryka porcelany w Korcu). Należy też wspomnieć o wielkich pokładach gipsu w południowej części ziemi Kieleckiej i w Poznańskim. Ziemie polskie posiadają nadto wiele źródeł mineralnych, które głównie występują u podnóża gór Karpackich. Są między nimi źródła solankowe, szczyawy i wody siarczane. Wiele z nich swemi własnościami uzdrawiającemi nie ustępuje sławnym źródłom zagranicznym. Ludzie mogą więc do nich jeździć po zdrowie i w ten sposób nie wywozić pieniędzy z kraju do obcych. Nie możemy zbyt długo rozwodzić się nad skarбами kopalnemi Polski, widzieliśmy, że są między nimi takie, które mają dla życia Polski wielką wartość, np. węgiel, nafta, sól, i mogące stać się fundamentem do wytworzenia wielkiego przemysłu, ale są też i takie, które narazie nie przedstawiają wielkiej wartości, gdyż dzisiejsze sposoby ich przerabiania są jeszcze za kosztowne. Ale w przyszłości te kopaliny mogą stać się dla kraju źródłem bogactwa. Znamy przytem bardzo niedokładnie zawartość naszej ziemi, gdyż nie przedsiębrano staranniejszych poszukiwań: brak nam przytem dróg zwyczajnych i kolei żelaznych, rzek uregulowanych, co nam utrudnia korzystanie z bogactw kopalnych. Wreszcie podział Polski na trzy zabory mało sprzyjał rozwojowi krajowego górnictwa i przemysłu z niem związanego, — przeszkadzał nam zaspokajać własną pracą swoich potrzeb i musieliśmy sprowadzać od obcych wiele tego, co się u nas w kraju znajduje obficie. Kiedy te przeszkody znikną, skarby podziemne Polski staną się źródłem wielkiego bogactwa dla nas Polaków, o ile naturalnie potrafimy utrzymać je w swoim ręku i nie pozwolimy, żeby obce narody wyręczyły nas w ich dobywaniu i przerabianiu. Tę wartość bogactw kopalnych dla dobrobytu polskiego narodu musimy dobrze sobie uprzytomnić, jeżeli nie chcemy z panów stać się sługami i pracować nie dla własnej, ale dla cudzej korzyści.

Dotychczas Polacy za małą przywiązywali wagę do bogactw mineralnych, poświęcając się wyłącznie rolnictwu. To musi się zmienić, gdyż skarby podziemne są równie ważne dla bytu narodu, jak wszelkie inne.

Polska, jak wiadomo, przez długie stulecia była śpichlerzem Europy, wywożąc przez Gdańsk do krajów zamorskich swoją sławną pszenicę i inne ziemiopłody. Przez sam tylko Gdańsk wywoziliśmy przeszło trzy miliony korcy zboża. Na obszarach dawnej Polski posiadamy gleby pierwszorzędnej wartości; czarnoziem nie jest u nas rzadkością, a należąca dawniej do Polski Ukraina, Wołyń i Podole są po dziś dzień sławne ze swej urodzajności. Nawet gorsze gatunki gleby naszej przy odpowiednich meljoracjach mogą się zamienić w rolę bardzo urodzajną, jak tego dowodzą ziemie poznańskie, z natury swojej bardzo średnie, a obecnie doprowadzone do stanu wysokiej kultury.

Pośród gleb polskich można wymienić najważniejsze gatunki: piaski, bielice (czyli drobny piasek krzemionkowy, daleko urodzajniejszy od piasku), zajmujące głównie północne okolice kraju. Lösy, czyli nawiane gliny (żółtoziem), są to najlepsze gleby na ziemiach polskich; mają barwę żółtą o różnych odcieniach. Lös pokrywa niemal całe południe ziem polskich: Podole, Wołyń, Ukrainę, Galicję ze stokami Karpat, północną część Śląska i południową część Królestwa Polskiego. Lös pochodzi z drobnego pyłu skalnego, naniesionego wiatrami. Ma on pierwszorzędną wartość jako ziemie pszeniczne i buraczane. Najpiękniej udają się na nim jęczmień, owies oraz koniczyny. Są to gleby, dające się łatwo i tanio uprawiać, nie wymagają wielkich nakładów na meljoracje i są dużem bogactwem narodowem. Również do najlepszych, ale zarazem najdroższych gleb krajowych należą mady, czyli namuły, powstałe z mułu po wylęwach rzek. Odznaczają się takie mady przewiewnością, przepuszczalnością, nadają się znakomicie pod sady owocowe. Spotykamy większe przestrzenie mad na żuławach przy ujściu Wisły, w Janowskim, Puławskim, Kozienieckim, wogóle wzdłuż rzek i ich dopływów.

Gliny i ily są porozrzucane niby wyspy na obszarach innej gleby; w Królestwie spotykamy je głównie w Łomżyńskim i Płockiem; wymagają one drenowania i starannej uprawy górnej ich warstwy. Po lössie najlepszymi glebami są wapienne: zaliczamy do nich rędziny (borowiny) po lewej stronie Wisły w Lubelskim. Mamy je głównie w południowych okolicach Królestwa Polskiego, w Miechowskim, Pińczowskim i Jędrzejowskim, Radomskim i Lubelskim, a także na Wołyniu i na Podolu. Trudne do uprawy, ale dają plony obfite.

Gleby czarnoziemne, bogate w próchnicę, są może najlepsze. Spotykamy je na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, na południu

Królestwa Polskiego (od Hrubieszowskiego aż do Proszowskiego). Najlepsze są czarnoziemny stepowe i słyną ze swojej urodzajności.

Torfy, o ile nie korzystamy z nich na opał, przez nawożenie ziemią lub piaskiem, dają się nieraz zamienić na niezłe grunty orne.

Z żalem należy to zaznaczyć, że nasze gleby nie są jeszcze dostatecznie zbadane i rozklasyfikowane, skutkiem czego nie można myśleć o podniesieniu wydajności naszego warsztatu rolnego do tak wysokiego poziomu, jaki spotykamy w innych krajach zachodnich, chociażby w Poznańskim. A jednak sprawa to dla nas pierwszorzędna, gdyż na obszarach, zamieszkałych dziś przez Polaków, możnaby przez podniesienie kultury rolnej wyżywić ludność kilkakrotnie większą, niż dzisiejsza.

A przecież ziemia stanowi najlepsze, najpewniejsze oparcie dla bytu nie tylko jednostek, które mają ją w rękę, ale i całych narodów. Praca na roli nie podlega takim wahaniom i niespodziankom, jak praca w fabrykach, daje pewniejszy i równiejszy dochód, niż przemysł, zależny od obcych rynków i od obcej produkcji. Utrzymując ziemię polską w polskich rękach, zabezpieczamy niezależny byt nie tylko sobie, ale i następnym pokoleniom.

Bogactwa: kopalne i gleba to dwie najważniejsze podstawy naszego bytu; z nich to wyciągamy tak zwane surowe materiały, czyli surowce, które następnie częścią są spożywane, np. ziemiopłody, częścią idą do fabryk, gdzie je przerabiają na różne towary.

Na glebie wzrastają różne pożyteczne rośliny. Na powierzchni ziemi rodzi się mnóstwo różnorodnego stworzenia, które żywi się roślinami i także dostarcza człowiekowi surowców i pożywienia. Zrobimy więc teraz krótki przegląd naszych surowców, pochodzących z państwa roślinnego i zwierzęcego, i zobaczymy, w jakim stopniu podnoszą one nasze bogactwo narodowe.

Lasy nasze składają się z dwudziestu kilku gatunków drzew. Mamy najwięcej borów mieszanych. Na jałowych piaskach rosną najpospolitsze u nas lasy sosnowe (bory), na piaskach gliniastych rośnie brzoza i dąb z leszczyną, na suchej gliniastej glebie spotykamy grab, na mokrej jodłę, osikę, topolę, jesion, lipę; nad strumieniami olszynę. W lasach wyżynowych mamy na piaskach sosnę, ale obok niej rosną obficie szlachetniejsze gatunki, a więc: buk, jodła, jawor, klon, dąb, cis i modrzew, dziś rzadki, ale dawniej tworzący rozległe lasy w Polsce. Są to lasy mieszane; tylko buk, świerk i dąb tworzą lasy jednostajne. Lasy górskie składają się z różnych gatunków drzew, zależnych od

wyniesienia nad poziom morza. Najwyżej położone lasy składają się ze świerków i z brzoź.

Lasy nasze przed wojną światową były bardzo znacznem i ważnem bogactwem narodowem, ale, niestety, mocno ucierpiały skutkiem rabunkowej gospodarki. Wywieziono naszego drzewa do Niemiec na sumę kilkunasu miliardów marek. Ten rodzaj surowca stał się więc u nas rzadszym, niż dawniej. Zdolny on na bardzo wiele wyrobów; naprzód jako materiał budulcowy, potem jest podstawą naszego przemysłu drzewnego (tartaki, stolarstwo, bednarstwo, kołodziejstwo, fabryki lepszych mebli, sprzętów domowych i gospodarskich); dawniej spławialiśmy Wisłą i Niemnem wielkie ilości buduleu do portów morskich, między tem olbrzymie sosny na maszty okrętowe. Dziś jeszcze ocalałe po wojnie lasy, jeżeli je dobrze zagospodarować i rozszerzyć, mogą się stać znacznem źródłem dochodów dla Polski. Korzystamy też z drzewa, jako środka opałowego, ale znacznie mniej niż dawniej, zastępujemy je bowiem lepszym i tańszym węglem kamiennym i torfem, którego posiadamy w kraju wielkie zapasy, niedość jeszcze wyzyskane.

Łozina i wiklina, jako materiał na płoty, koszyki i t. p. wyroby, także zasługują na wspomnienie i rozpowszechnienie.

Drzew owocowych po sadach mamy, jak dotąd, niewiele, mogliśmy ich hodować kilka razy tyle; zwłaszcza na żyznych madach nadwiślańskich (Kazimierz nad Wisłą): jest to dar przyrodzony, mało dotąd wyzyskany. Najważniejszem naszym bogactwem są najpospolitsze zbożowe rośliny, które uprawiamy na polach, a więc: żyto, pszenica, owies, jęczmień. Pszenica udaje się na południowych łosowych ziemiach; żyto w bardziej na północ położonych okolicach kraju jest najpospolitsze. Najlepszą pszenicę w Królestwie mamy w Sandomierskiem i w Lubelskiem (Hrubieszowskie). Spore obszary oddaje się także pod tatarkę, proso, oraz pod różne rośliny strączkowe. Na Podolu i w Galicji Wschodniej udaje się kukurydza. Na piaskach rodzi się łubin. Kartofle z pomiędzy okopowych są najważniejsze, one głównie żywią, prócz żyta, naszego włościanina. Najwięcej ich uprawiamy w Galicji i w Królestwie. Kartofle (ziemniaki) prócz tego stanowią ważny surowiec dla przemysłu gorzelniczego, krochmalnego, fabryk mąki kartoflanej i t. d. Buraki pastewne i trawy łąkowe, lucerna, seradela, wyka i koński ząb udają się także bardzo dobrze i dostarczają obfitej paszy dla inwentarza.

Buraki cukrowe są podstawą ważnego przemysłu cukrowego. Nie brak nam też różnorodnych jarzyn, które jadamy narówni z kartoflami. Wśród roślin przemysłowych, prócz buraków cukrowych, które wyma-

gają lepszych gruntów, uprawiać się daje konopie, len, chmiel, tytoń. Jest także dostatek ziół leczniczych, które jednak sprowadzamy z zagranicy, mogąc je mieć u siebie w dostatku.

Roślin użytecznych rodzi się zatem dość na ziemiach polskich. Brak nam jednak wielu pożytecznych roślin, które w naszym klimacie nie udają się; te sprowadzamy z zagranicy. Należą tutaj: kawa, herbata, kakao, pomarańcze, cytryny i inne owoce zamorskie. kwiaty, nasiona przeróżne, bawełna i t. d.

Ale te braki można powetować, uprawiając na wielką skalę rośliny użyteczne krajowe, które następnie, drogą handlu międzynarodowego, dają się wymienić na wyżej wyluszczone.

Surowce zwierzęcego pochodzenia są także bardzo ważne. Należą tutaj: mięso i przetwory mięsne, nabiał pod różną postacią, tłuszcz, służące w wielu gałęziach przemysłu i rękodziel, skóry podtrzymujące przemysł garbarski i galanteryjno-skórzany, a także liczne rzemiosła (szewstwo, rymarstwo), wełna, używana w przędzalnictwie i tkactwie, pierze i pióra, włosie, szeszecina, jedwab, róg, kość, kiszki, wosk pszczelny, miód; mamy też dostatek jezior, w których możnaby rozwinać hodowlę ryb. Jak dotąd, ta gałąź wytwórczości bardzo nisko u nas stoi, z wyjątkiem kilku większych, wzorowych gospodarstw; a szkoda, bo ryby i raki mogłyby stać się bardzo znacznym źródłem dochodu dla nas. Zwierzyny po lasach mamy już niewiele, gdyż są one mocno przetrzebione, ale z tego źródła, przy dobrych prawach, zabezpieczających zwierzynę od tępienia, także możnaby wyciągnąć niemałe pieniądze.

Z powyższego krótkiego przeglądu widać, że Polska obfituje w bogactwa kopalne, które mogą się stać podwaliną dla wielkiego przemysłu, że mamy się czem odbudowywać i budować, że mamy materiał na drogi bite, na koleje żelazne. Nasza dość żyzna i dająca się znacznie polepszyć gleba dostarcza nam najważniejszych produktów roślinnych. Hodowla zwierząt użytecznych także da się rozwinąć. Posiadamy zatem dość surowców w kraju, żeby nie tylko się nimi wyżywić, ale jeszcze w fabrykach i ręką rzemieślników przerobić je na różnorodne pożyteczne przedmioty, które znajdują łatwy zbył u sąsiadów. Od nas tylko, od naszej energii i pracowitości zależy, żeby było w kraju dość chleba dla wszystkich dzieci ziemi polskiej. Ziemie polskie, dzięki swemu przyrodzonemu bogactwu, są tęgim fundamentem, na którym można śmiało wznosić gmach dobrobytu narodowego i zabezpieczyć istnienie przyszłym, biedniejszym niż dzisiejsze pokoleniom.

NARÓD POLSKI MUSI BYĆ ZJEDNOCZONY.

Przed rozbiorami, w r. 1770, naród polski zamieszkiwał rozległe państwo; w swych najstarszych dzielnicach, jak w Wielkopolsce, zwartą masą, do której na krańcach państwa, czyli, jak się mówi, „na kresach“, były domieszane i inne pokrewne szczepy, jak Białorusini, Rusini, t. j. Ukraińcy (Wołyń, Podole i Ukraina). Wszyscy Polacy zatem mieszkali jakby pod jednym dachem państwowym, z wyjątkiem Ślązaków, gdyż Śląsk już oddawna, skutkiem zaborezości sąsiadów i oddzielnej, choć piastowskiej linji książąt, władających tym krajem, odpadł od pnia macierzystego.

Ale po zaborach, kiedy trzech drapieżni sąsiedzi rozdarli żywe ciało Polski, ta jedność polityczna narodu polskiego uległa zniszczeniu. Polacy przestali być gospodarzami we własnym domu, zostali znienawidzonymi komornikami, wyzyskiwanymi, prześladowani przez przywłaszczycieli, z którymi zmuszeni byli przebywać pod wspólnym dachem. Mieszkać razem z wrogiem śmiertelnym, kiedy było się niedawno jeszcze panem u siebie, czyż może być większe nieszczęście dla człowieka z krwi i kości? A i naród, który przecie, jak trafnie mówią, jest jakby wielką gromadą, odczuwać musi boleśnie taki żywot i związane z nim cierpienia i niewygody.

Nie tedy dziwnego, że od niepamiętnych czasów narody rozdarte i rozproszone zmierzają stale do połączenia ojczyzny w jedną całość państwową; tak samo my, Polacy, jak Włosi, Rumunowie, Bułgarzy; ba, nawet Niemcy austriaccy radziby przytknąć do państwa niemieckiego.

Z drugiej znów strony narody, sztucznie połączone w jedno państwo, dążą do zerwania narzuconych sobie więzów. Za przykład tutaj może służyć Austria, która po wojnie rozpada się na kilka państw narodowych.

To dążenie narodów do tworzenia odrębnych, narodowych państw w ostatnich czasach stało się niezmiernie wyraźnem i żadna siła nie może go zniweczyć.

Ale też nie da się zaprzeczyć, że narody małe łatwo ulegają zwierzchnictwu dużych i z biegiem czasu zlewają się z nimi w jedną, zgodną całość państwową, jak np. Bretończycy i Prowansalczycy z Francuzami, Szwedzi z Finami i t. d.

Wielki naród bierze zawsze za swoje zadanie zaszczeniać cywilizację wśród sąsiednich, niewyrobionych szczepów, jak np. Polska wywierała zawsze swój dobroczynny wpływ na Litwę, dając jej chrześcijaństwo, oświatę i kulturę wyższą od rodzimej litewskiej. i na Ruś.

Z tych doświadczeń dziejowych narodów wynika, że w zakreślaniu granic osiedlenia narodu nie można mieć jedynie na uwadze obszarów, gdzie dany naród stanowi niezaprzeczalną większość liczebną. Na Białorusi np. Polacy nie stanowią większości, ale ten kraj oddawna znajdował się pod wpływami kulturalnymi polskimi i mimo swej odrębności plemiennej ciążył ku Polsce i ciąży dotąd w swych bardziej oświeconych warstwach. Podobnie też rzeczy się mają z Galicją Wschodnią, gdzie, pomimo wrogiego usposobienia stronnictwa ukraińskiego, istnieje obok rdzennych Polaków, wielu Rusinów, gotowych żyć w braterskim stosunku z Polską, a odwracających się od barbarzyństwa wschodniego. W osądzeniu, do jakiego państwa mają należeć takie kresy, trzeba było brać pod uwagę i wyższość kultury polskiej.

Po tych wstępnych uwagach zabierzmy się do policzenia naszych współrodaków, zamieszkujących rozległe obszary dawnej Rzeczypospolitej Polskiej i Śląska. policzmy się i stwierdzmy liczbami, że jesteśmy nie jakimś drobnym narodkiem, lecz wielkim, szóstym z kolei, narodem w Europie. Ta świadomość użyczy nam większego zaufania we własne siły, pozwoli śmieiej wziąć na barki wielkie zadania, niewykonalne dla małych ludów.

Zacznijmy od kolebki narodu polskiego, od ziem, gdzie najpierw powstało państwo polskie, państwo Piastów, od t. zw. zaboru pruskiego.

Dawniej Niemców chętnie widziano w Polsce, jako rzemieślników i kolonistów; rozpowszechnianiu zaś niemieczyzny nie kładziono żadnej tamy, i skutkiem tej nieogłędności mieliśmy w swoim państwie miasta niemieckie i różne okolice zniemiezone. Ale też dawniej Niemcy łatwo zamieniali się na Polaków i nie byli takimi, jak obecnie, śmiertelnymi wrogami państwa polskiego, choć też i za przyjaciół naszych nigdy nie uchodzili.

Po zagarnięciu Śląska, Prus Królewskich i Poznańskiego dopiero Niemcy, przy pomocy państwowych środków, zaczęli zaciekle tępić polskość. Gdybyśmy więc dziś chcieli wykrawać dla państwa polskiego okolice czysto polskie, znaleźlibyśmy się w nielada kłopotcie, bo Niemcy,

zwłaszcza skutkiem działalności „komisji kolonizacyjnej”, wdzierali się w jednolite doniedawna polskie dzielnice, przenikając ciało polskiego narodu niby pleśń ośrodek chleba.

Dziś kolebka państwa polskiego ma ludność mieszaną, a najgorzej jest w okolicach ujścia Wisły, gdzie żywioł polski (Kaszubi), ściśnięty pomiędzy Brandenburgją a Prusami Wschodnimi, z trudnością opierał się zagładzie.

Przez swoje niedołęstwo jeszcze za polskich czasów pozwoliliśmy usadowić się Niemcom w Gdańsku, skutkiem czego nie tylko utraciliśmy byli dostęp do morza, ale odsunęliśmy się od ujścia Wisły, królowej rzek polskich.

To sprawiło, że w Prusach Zachodnich, czyli Królewskich, dziś na 100 mieszkańców przypada tylko 35 Polaków, a 65 Niemców. Niemniej przeto ta dzielnica, na zasadzie praw historycznych, wchodzi w skład Polski odbudowanej.

Gdyby stało się inaczej, byłoby to tylko uświęceniem bezprawii, jakich dopuszczali się Prusacy, wykupując naszą ziemię i wypierając nas z naszych odwiecznych siedzib wszelkimi, niegodziwymi sposobami.

Straty, wynikłe dla narodu w Prusach Zachodnich, wynagradza nam narodowe odrodzenie się Śląska, zwłaszcza t. zw. Górnego, gdzie lud pracujący gorliwie dochowywał wierności Polsce. Przeciwnie, niż zniemczone warstwy t. zw. wyższe, chłop i robotnik górnośląski czuje się naszym bratem.

Język polski ocalił lud od zniemczenia i dlatego też język rodziny jest jednym z największych skarbów narodowych, którego strzec winniśmy, jak oka w głowie. Świeże, nieludzkie prześladowania Polaków, jakich Niemcy dopuszczali się po zawarciu pokoju na Śląsku, więcej zrobiły dla zespolenia Ślązaków z polskością, niż nasza tam praca w ostatnich trzydziestu latach!

A i w Prusach Wschodnich (Książęcych) t. zw. Mazurzy pruscy, którzy do państwa polskiego nie należeli, dzięki zachowaniu mowy polskiej, zaczynają budzić się z uśpienia narodowego, chociaż są ewangelikami. Zresztą wyznanie ewangelickie nie przeszkadza dzielnym Ślązacom cieszyńskim uważać się za Polaków. Jest dość prawdopodobnem, że plebiscyt na Mazurach wypadnie na naszą korzyść — ten kraj połączy się ostatecznie z Polską. W Prusach Wschodnich leży też ziemia Warmińska, wdzierająca się klinem w ziemię krzyżackie.

Policzmy teraz, ile jest dziś Polaków w całym zaborze pruskim: Należy dodać, że do Polaków zalicza się ludność, która podawała, jako język ojczysty: polski, mazurski, kaszubski (Kaszubi to wyraz obra-

źliwy, Kaszubi uważają się za Polaków) albo wreszcie jeden z tych języków i niemiecki także (a więc t. zw. dwujęzycznych).

Liczyby poniższe zebrano w r. 1910.

	Obszar kkm. kw.	Ludność	Polaków na 100 ludności było
Wielkie Księstwo Poznańskie	29.000	2.099.000	61
Ziemia chełmińska ¹⁾	5.168	415.440	51
Okolice ujścia Wisły z Kaszu- bami ²⁾	11.100	614.120	56
Mazury z częścią Warmji	11.180	493.000	53
Śląsk Polski ³⁾	10.697	1.585.980	78
Litwa pruska	2.500	175.000	50 Litwinów
Razem w b. zaborze pruskim	69.610	5.383.640	62 nie licząc Litwinów

To znaczy, że w całym b. zaborze pruskim, przeciętnie biorąc, ludność polska stanowi znaczną większość, bo na 100 mieszkańców przypada 62 Polaków. Przechodząc do b. zaboru austriackiego, t. j. do Galicji i Śląska Cieszyńskiego, trzeba stwierdzić to samo, co w b. zaborze pruskim daje się spostrzegać, a mianowicie, że i Galicja we wschodniej swej części ma silną przynieszkę Rusinów. Ludność polska jest jednak we Wschodniej Galicji nader liczna i posiada tam wszystkie warstwy społeczne, z których ludowa jest najliczniejsza.

Lwów to miasto czysto polskie. Znajdujemy we Wschodniej Galicji 1.300.000 ludności katolickiej. Podnieść też trzeba tę ważną dla nas okoliczność, iż ludność mówiąca po rusińsku w Galicji Wschodniej ciągle się zmniejsza, ludność zaś polska stale przyrasta. Polacy są tu żywotniejsi, wyżej stoją od Rusinów pod każdym względem. Galicja Wschodnia nie jest zatem krajem ruskim, lecz mieszanym i oddanie go Rusinom byłoby dobrowolnem oddaniem na zagładę narodową niemal półtoramiljonowej rzeszy naszych rodaków, którzy nigdyby się i tak zresztą polskości swej nie wyrzekli.

Największe skupienie ludności polskiej znajduje się na pograniczu Galicji Zachodniej. Tylko pomiędzy Dniestrem a Karpatami Rusini mają nad nimi stanowczą przewagę; poza obszarem przewagi co trzeci Galicjanin to Polak. Polacy, szerzący we Wschodniej Galicji kulturę,

¹⁾ Ziemia chełmińska obejmuje powiaty: chełmiński, toruński, lubowski, brodnicki, brzeźniewski, grudziądzki, oraz miasta: Toruń i Grudziądz.

²⁾ Powiaty: pucki, kościerzyński, kartuski, wejherowski, starogrodzki, chojnicki, tucholski, tezewski, kwidzyński i sztumski.

³⁾ Rejencja opolska prócz powiatów: głubczyckiego, niemodlińskiego, niskiego i grotkowskiego.

postęp, ład społeczny, nie mogą się jej pozbywać da żaden sposób. Rusini koniec końców przymknęliby do Wielkiej Ukrainy, a może do Wielkiej Rosji. Oddanie Galicji byłoby wielkim błędem z naszej strony, a Rusinom nie wyszłoby na korzyść.

Krwawa wojna podbechtanych przez Niemców Rusinów z nami dowiodła najlepiej, że Galicja Wschodnia powinna należeć do Polski. Bohaterska obrona Lwowa na zawsze pozostanie w pamięci. Co do Śląska Cieszyńskiego, jest to kraina o czysto polskiej ludności, która wyraźnie i z zapalem po wielkiej wojnie opowiedziała się za Polską.

Liezbę, dotyczące ludności polskiej w b. zaborze austriackim:

	klm kw.	Ludność	Polaków na 100 ludn.	Rusinów (unitów) na 100
Galicja Zachodnia	23160	2.667.000	96	3 bez mała
Galicja {	Północno-wsch.	2.654.100		
	Połudn.-wsch.	266.300	29	69
Cała Galicja	78496	7.984.100	58	40
Śląsk Cieszyński	2282	361.000	61	
Razem w przybliżeniu	83000	8.500.000	60 Pol. na 100 mieszk.	

Że Polska jest wewnątrz niejednolita, najlepiej widzimy w Królestwie, tem jądrze ziem polskich; rzadko który zakątek kraju ma czysto polską ludność, już bowiem po rozbiorach politycznych rzuciły się na poszarpane ciało polskie Niemcy, Żydzi, częścią Litwini i przeorali je swojemi zagonami. Mamy przeto ważne zadanie do spełnienia na przyszłość: pozbyć się tych obcych, napływowych żywiołów i pod hasłem: „Polska dla Polaków” scalić się narodowo, czyli postarać się o to, żeby ludność polska w naszej ojczyźnie stanowiła przygniatającą większość. Od zachodu zalewały ją i zalewają Niemcy. W czworokącie pomiędzy Kaliszem, Piotrkowem, Warszawą a Mławą liczba Niemców dosięga 15 na 100 mieszkańców. Ale trzeba to zaznaczyć, że Niemcy dość szybko rozplływają się w morzu polskiem i jeżeliby nowym zastępom zatanować dostęp do nas, to ci, co są, rychłoby się zamienili na Polaków, czyli „spolonizowaliby się“.

W północnych powiatach gub. Suwalskiej mieszkają przeważnie Litwini, którzy, łącznie z właściwą Litwą etnograficzną, mogliby utworzyć odrębną całość. Polacy mogliby się zgodzić na połączenie z Litwą powiatów b. Królestwa Polskiego tylko w tym razie, gdyby Litwa Zachodnia z Wilnem, mająca niezaprzeczoną większość polską, połączyła się dobrowolnie z Polską. W chwili, gdy piszemy te słowa,

takie własnowolne zjednoczenie polskich obszarów Litwy z Polską jest na dobrej drodze. Rozstrzygnie o niem woła tamtejszej ludności.

Chelmszczyzna i Podlasie, pomimo że do tego kraju Ukraińcy roszeją sobie prawa, to kraj o silnej przewadze żywiołu polskiego: nawet rosyjskie urzędowe źródła przyznawały zawsze katolikom przewagę w Chelmszczyźnie. Jakże mielibyśmy się wyrzec tego tak drogiego nam zakątka, zlanego krwią i łzami męczonych za wierność katolicyzmowi przez siepaczy rosyjskich naszych braci unitów, którzy w dodatku przeszli piekło udręczeń ze strony Niemców i Austrjaków, co to zaprzędali ich w nienawiści do wszystkiego, co polskie Rosji wzamian za chleba kawałek.

Druga dzielnica b. zaboru rosyjskiego — Litwa — mocno ucierpiała od rozbiorów skutkiem ucisku moskiewskiego: polskość w niej skurczyła się, osłabła, doszła do tego, że my, mieszkańcy Królestwa, zaczęliśmy przed wojną uważać Litwę za straconą dla polskośći, zwłaszcza, żeśmy słyszeli nienawistnie do nas usposobionych Litwinów, którzy głośno krzyczeli, że my, Polacy, jesteśmy w tym kraju ludnością napływową, niemal obcą, nie zaś uprawnionymi gospodarzami we własnem dziedzictwie. Ale ci krzykacze nie potrafią obalić tego faktu, że, mimo tępienia żywiołu polskiego na Litwie, są tam ziemie w równym stopniu polskie, jak dziedziny poznańskie, o które krew przelewamy w zacieklej walce z Niemcami, które uważamy słusznie za kolebkę naszego państwa. Wilno, tak samo jak Lwów, jak Warszawa i Kraków, jest miastem polkiem, Litwinów tam znikoma domieszka.

Nie zapominajmy, że nawet rosyjscy urzędnicy patrzyli zawsze na Litwę, jak na ziemię, gdzie kultura polska ma przewagę niezwalczoną nad rosyjską: usiłowania wzbudzenia ruchu białoruskiego, przeciw polskośći wymierzonego, zawsze zawodziły naszych wrogów i musieli oni z polskiego Wilna, z katolickiej, poczuwającej się do polskośći Litwy zachodniej, wynosić się do prawosławnej Litwy wschodniej, która już bardziej przechyla się ku Rosji.

Nie możemy zaprzeczać Litwinom prawa do niezależności politycznej na zamieszkanych przez nich obszarach, ale też nie możemy się zgodzić na oddanie im ziem, w których stanowią większość. Zczasem Litwini sami dojdą do przekonania, że odnowienie łączności politycznej niepodległej Polski z niepodległą Litwą i Rusią jest najlepszem rozwiązaniem dla obu narodów. Ruch nieprzyjazny Polakom na Litwie sztucznie podsycali Rosjanie, wiedząc, że szczenie waśni pomiędzy narodami, które tyle setek lat żyły pod jednym dachem państwowym, ułatwiało im trzymanie w niewoli obu.

Zresztą paromiljonowy naród litewski nie powinien sobie rościć prawa do panowania na wielkim obszarze białoruskim, gdzie Polacy też nie są gośćmi, ale odwiecznymi współgospodarzami kraju.

Skoro tylko podjudzania niemieckie i rosyjskie ustaną, narody: polski, litewski i białoruski, szybko dojdą do porozumienia i urządzią się w zjednoczonej Polsce na zasadach równości i wolności. Na podstawie wrogich polskości obliczeń ludnościowych, dokonanych na Litwie przez Niemców podczas wojny, Polacy, łącznie z Białorusinami katolikami, którzy przyznają się do polskości, stanowią na Litwie zachodniej większość, dochodzącą w kilku powiatach do 60 i 70 na 100 mieszkańców. Ciekawe są liczby, stosujące się do ludności żydowskiej¹⁾.

O ile w Królestwie i Galicji pewna, niewielka zresztą, część Żydów uważa się za Polaków i dlatego wliczono ją do narodowości polskiej, to na Litwie i Białorusi Żydzi t. zw. „litwacy“ nie mają z polskością żadnej łączności, a nawet zawsze, szczególnie podczas wojny i w chwili powstawania państwa polskiego, wyraźnie wrogo przeciwko nam występowali. Dlatego więc zupełnie pomijam w rachunku ludność żydowską na Litwie i Białorusi.

Do Polaków więc w tych krajach zaliczam, za przykładem profesora Wakara (Ludność Polska): Polaków rdzemych, Białorusinów, katolików, przyznających się do polskości i tych, którzy po 1905 r. powrócili na łono kościoła katolickiego (byłych unitów i prawosławnych).

Na takich podstawach Wakar obliczył, że we wschodniej części gub. Wileńskiej jest 66 Polaków na 100 mieszkańców; w północnej połowie gub. Grodzieńskiej 54 na 100; w powiecie Mińskim 44 na 100.

Do obszarów polskich należą prócz tego wschodnie krańce gub. Kowieńskiej i Kurlandji.

Kres polskości na północy leży w pobliżu miasta Dźwińska nad Dźwiną.

Liczebność polskiego zaludnienia na Litwie, Białorusi i Inflantach, wyrażona w odsetkach, tak się przedstawia:

W gub. kowieńskiej jest	10 Polaków na 100 mieszk.
W gub. wileńskiej (zach.-południowa)	40 „ „ „ „
W tejże gub. na zachodzie	67 „ „ „ „
Na północy gub. grodzieńskiej	55 „ „ „ „
W części gub. mińskiej	44 „ „ „ „
W pow. Iłuckim w Kurlandji	34 „ „ „ „
W polskich częściach Inflant około	50 „ „ „ „

¹⁾ Patrz mapę ludnościową, opracowaną przez Edwarda Maliszewskiego.

Na całej Litwie z Białorusią jest więc naogół niemal połowa (40 na 100) ludności polskiej, w każdym razie więcej niż Litwinów, których liczą zaledwie 32 na 100 mieszkańców. Z tego wypływa, że na Litwie, uważanej, jako całość, polski żywioł ma przewagę nad litewskim; Litwini zwartą masą zamieszkują jedynie gub. Kowieńską, okolice Połagi w Kurlandji i zachodnią część gub. wileńskiej. (gdzie ich jest 51 na 100 mieszkańców).

Na Rusi (Wołyń, Podole, Ukraina) Polaków jest niewiele i nigdzie nie więcej nad dziesiątą część; ale polski żywioł, od setek lat tam zasiedziały, odegrał ważną rolę cywilizacyjną. Jeszcze w czasie wojny mieliśmy tam milion swoich. Byli to przeważnie właściciele ziemscy i ich oficjaliści. Ziemi na Rusi było w posiadaniu Polaków niemal połowa całego obszaru. Bolszewizm, który przeszedł niszczącą falą po tym bogatym kraju, poważnie nadwyreżył w nim polskość.

Wielu właściciele ziemskich padło z ręki barbarzyńców, wielu musiało oddać swoje majątki na łaskę Opatrzności, byle tylko życie ratować. Nie wiadomo w chwili, kiedy to piszę, jaki będzie los Ukrainy; tak czy owak Polacy powinni bronić swojej narodowej pozycji na Rusi, nie tylko we własnym interesie, ale także i w interesie Ukrainy, która, pozostawiona samej sobie, nieprędko zdoła podnieść zrujnowane rolnictwo i związany z niem przemysł, który przed wojną był prowadzony przeważnie naszymi rękami, i nieprędko zaprowadzi jaki taki ład i porządek.

Na Białorusi południowej, położonej na północ od rzeki Prypeci, skutkiem małego wyrobienia tamtejszego ludu, który jest jako naród uśpiony i nigdy nie tworzył własnego państwa, wpływy polskie, pomimo szczupłej liczby Polaków tam zamieszkałych, są bardzo znaczne i w razie złączenia się dobrowolnego z państwem polskim mogą jeszcze wzrosnąć.

Po tym, pobieżnym, dla braku miejsca, przeglądzie rozszedlenia się ludności polskiej na krańcach dawnej Rzeczypospolitej zróbmy ogólne obliczenie liczby Polaków, tu zamieszkałych. Najlepiej to się da zrobić przy pomocy tablicy poniższej, gdzie znajdujemy: nazwę każdej dzielnicy, jej obszar (powierzchnię) w t y s i ą c a c h kilometrów kwadratowych, ludność całkowitą w t y s i ą c a c h mieszkańców, liczbę Polaków, zamieszkujących tę dzielnicę, wreszcie odsetek ludności polskiej.

Liczby poniższe dotyczą roku 1911.

Ludność polska na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Rok 1911	Powierzchnia w tysiącach kml. kw.	liczba ludności w tys.	liczba Polaków w tys.	na stu mieszkań- ców liczono Polaków
Królestwo Polskie	123	12.500	9.100	74
Litwa, Białoruś, Inflanty . . .	304	12.700	1.560	12
Ruś,	165	12.300	860	7
Kurlandja	27	700	22	3
Ziemie b. zab. ros. liczyły przezo razem	620.000 kml. kw.	38.200.000	11.540.000	31
Galicja	78	8.000	4.700	59
Śląsk Cieszyński	2 z górą	400	240	60
Ziemie polskie na Węgrzech (Spisz, Orawa)	—	300	150	50
Ziemie b. zab. austriackiego liczyły przezo razem	90.700	8.700.000	5.100.000	58
Wielkie Ks. Poznańskie	29	2.100	1.300	62
Prusy Królewskie	25	1.700	600	36
Rej. Olsztyńska	12	500	260	50
Rej. Opolska	13	2.200	1.300	57
Ziemie b. zab. prusk. liczyły przezo razem	kml. kw. 79.700	miesz. 6.500.000	Polaków 3.460 000	52
Ogółem ziemie b. Rzeczyposp. liczą razem	około 790.000 kml. kw.	53 400.000 ludności	20.100 000 Polaków	38

Jeżeli na całości ziem dawnej Polski na 100 mieszkańców przypada tylko 38 Polaków, to dlatego, że na ziemiach litewsko-ruskich liczono przed wojną zaledwie 2½ miliona Polaków na 25 milionów mieszkańców. Naprawdę jednak liczba ludności polskiej jest znacznie większa, gdyż w spisach ludności, dokonywanych przez władze rosyjskie, Polaków często zaliczano do Litwinów, Białorusinów, Rusinów lub Rosjan. Gdyby sumiennie przeliczyć na tych ziemiach Polaków, to zapewne okazałoby się, że jest ich nie półtrzecia, ale pięć, a nawet sześć milionów.

Ze spisu ludności, dokonanego w 1916 r. na Litwie przez Niemców, pokazało się, że w zachodniej Litwie many niemal wszędzie przeważającą większość, że, jak mówiliśmy już, gub. wileńska z Wilnem jest polską. Wielu Białorusinów katolików podało się za Polaków. Tak samo i w Królestwie wielu Polaków wliczono do Rusinów. Podobnie i w innych dzielnicach należałoby porobić poprawki na korzyść Polaków.

Trzeba tu zaznaczyć z naciskiem, że aczkolwiek ludność polska na całości ziem dawnej Polski nie ma większości bezwzględnej, to

jednak mamy tu większość względną, to znaczy, że żadnej innej narodowości liczebnie nie ustępujemy; drugie bowiem dopiero miejsce zajmują po nas Rusini (jest ich na ziemiach dawnej Polski tylko 22 na 100 mieszkańców), trzecie Białorusini, a Litwini stoją dopiero na szóstym.

Polaków, jak widzieliśmy z tabliczki, jest więc na ziemiach dawnej Polski przynajmniej 24 miljony; jeżeli zaś doliczyć Polaków amerykańskich, to można przyjąć liczebność narodu polskiego na 26 do 27 miljonów dusz. Gdyby te ziemie złączono w jedno państwo Polsko-litewsko-ruskie, jak było dawniej, to miałyby ono około 56 miljonów mieszkańców, bez Rusi zaś 44 miljony mniej więcej.

Polska zjednoczona wyrosłaby zatem na wielkie, obszerne państwo środkowej Europy.

Naród polski (którego też spory odłam znajduje się rozproszony po Rosji) musi koniecznie dążyć do zlania się w jedną całość, pod wspólnym dachem obszernego państwa. W przeciwnym razie nasi bracia, pozostawieni pod panowaniem obcych narodów — Niemców, Rosjan, Czechów, byłiby, prędzej czy później, straceni dla własnego narodu.

Dążność to naturalna, wspólna wszystkim narodom. W jedności siła! A więc Polacy skupieni wykazaliby niebawem całemu światu, czego dokazać potrafi jeden naród, złączony przywiązaniem do wspólnej macierzy — ziemi praojców.

Naród polski powinien być złączony! to jedno z najpierwszych przykazań każdego Polaka. Nie wolno nam wyrzec się dobrowolnie ani jednego tysiąca naszych rodaków, którzyby pozostali poza murami Wielkiego Domu Polskiego! a i oniby się nas nie wyrzekli.

Ale to nie wszystko: nie tylko musimy się połączyć, ale postarać się o to, żeby ziemie polskie (nie mówimy o litewskich ani o białoruskich) zamieszkiwali, o ile się da, sami Polacy. tak, jak sami Włosi zamieszkują Włochy.

W tym celu musimy zwrócić polskości mazurów pruskich, tych Ślązaków, którzy jeszcze nie nazywają siebie Polakami, pozbyć się jak najwięcej Niemców sztucznie osiedlanych w b. zaborze pruskim i podobnie jak Poznańczycy pozbyć się nadmiaru Żydów. słowem, ujednostajnić zaludnienie w Polsce etnograficznej. t. j. tam, gdzie są siedziby naszych praojców. Tak nam każe postąpić nasze własne bezpieczeństwo.

STANY W POLSCE I ICH POŁOŻENIE GOSPODARCZE.

Wiemy już, że Polaków na świecie jest pokaźna liczba, bo dwadzieścia i kilka milionów. Zobaczmy teraz, jak jest zbudowany naród polski, to znaczy z jakich stanów i klas się składa. Zazwyczaj narody obejmują trzy główne stany: stan szlachecki, stan mieszczański i stan włościański. Ale nie w każdym narodzie te trzy stany rozwijają się podobnie. Są państwa i narody, w których jedna klasa przewodzi wszystkim innym, panuje nad niemi, a są i takie, gdzie wszystkie stany sprawują władzę obok siebie, nie starając się innych ukrzywdzić, i tak być powinno. To się nazywa prawdziwą demokracją.

Otóż ciekawem jest przyrzeć się, jak to jest z temi stanami w Polsce. Ale żeby lepiej zrozumieć to, co jest dzisiaj, trzeba koniecznie cofnąć się w tył i rozpatrzyć tę sprawę tak, jak ona wyglądała przed samemi rozbiorami Polski przez Rosję, Austrię i Prusy, to jest przed 1772 r. Taki przegląd będzie dla nas wiele pouczający.

Wielka szkoda, że nie przyszło do głowy żadnemu królowi polskiemu policzyć ludności Polski w wieku 18-ym. W przybliżeniu jednak można powiedzieć, że cała ludność wielkiego państwa, sięgającego od morza do morza, wynosiła od 10 do 16 milionów głów. Od r. 1778 Rzeczpospolita Polska składała się, na mocy wyraźnego prawa, tylko z trzech „stanów“. Pierwszym stanem był sam król, a więc stan ten liczył tylko jedną osobę i jego rodzinę. Drugim stanem był senat, czyli przedstawiciele wielkich rodów, magnaci (panowie). Trzecim stanem była szlachta zwyczajna, czyli ten stan, na którego barkach spoczywał obowiązek bronięcia kraju od wroga, „stan rycerski“. Dowód to, że ani mieszczaństwo, ani włościaństwo żadnego udziału w rządzeniu tem państwem nie miało i to było wielkim złem, wielkim błędem w budowie narodu polskiego, który to błąd pociągnął za sobą bardzo smutne następstwa, bo rozbiory naszej Ojczyzny przez cehiwyeh łupu sąsiadów.

Dalej będziemy o tych stanach mówili obszerniej. Teraz chcemy tylko przyrzeć się Polsce przed rozbiorami.

Otóż najliczniejsza w dawnej Polsce była owa szlachta „stan rycerski“. Nigdzie, w żadnym kraju ówczesnej Europy, szlachta nie była tak liczną, jak w Polsce. Nazywała się ona sama „narodem“, bo była liczną i mieściła w sobie różne stany zamożności i oświaty, poczynając od wielkiego pana na setkach folwarków i dziesiątkach miast, aż do zagonowego szlachcica, który niezem prawie nie różnił się od zwyczajnego włościanina. Panowie byli to królewężta, mający na własność więcej ziemi, niż jej mieli pod rządami swojemi niektórzy udzielnie panujący książęta niemieccy. Panowie ci tracili wiele pieniędzy na zbytki, nieosobliwie gospodarowali w swoich włościach. Klasa ziemian-dziedziców była, naogół biorąc, zamożna i ogładzona, miała pewne wykształcenie, dość duże jak na owe czasy, i sprawowała różne urzędy. Szlachta, należy jej to przyznać, pracowała. Sejmy składały się ze szlachty średniej, znajdowali się między posłami nawet ubodzy ludzie. U szlachty kwitło wiele cnót, jak pobożność, poczucie obowiązków względem narodu, rycerskość, moralność. Ona była najzdrowszą częścią narodu polskiego.

Duchowieństwo, oprócz posług religijnych, pełniło w Polsce czynności uczone. Z tego stanu, a lepiej powiedzmy, z tej klasy, żeby nie mieszać z owemi stanami, o których mówiła konstytucja polska, wychodzili cenieni pisarze, uczeni, nauczyciele w szkołach średnich i wyższych. Prócz tego duchowieństwo brało duży udział w sprawach politycznych. Pierwszy arcybiskup polski, czyli prymas, sprawował władzę najwyższą podczas tak zwanego bezkrólewia, czyli w czasie pomiędzy śmiercią jednego króla a obraniem drugiego; niektóre ministerja należały w połowie do stanu świeckiego i duchownego, przytem każdy biskup katolicki miał swój fotel, czyli zasiadał w senacie z panami. Mieli oni głos stanowczy w sprawach dotyczących Kościoła katolickiego. Ale trzeba dodać, że w 18-ym wieku duchowieństwo składało się z samej szlachty i miało te same co i ona interesy.

W powyższych trzech grupach ludności Polski, to jest w panach, rycerstwie i duchowieństwie, zgromadziły się wszystkie niemal zasoby narodu, wszystkie bogactwa, wszystkie zdolności. A było w nich ze 400 tysięcy głów płci obojga, do 100 tysięcy familij.

Szlachta zagonowa, która niby to była równa tamtej szlachcie prawnie, w rzeczywistości jednak niewiele się różniła od warstwy włościańskiej. Nawet nie każdy zagonowy szlachcic posiadał własną ziemię. Wysługiwała się ona przeważnie panom; tłumy ich całe sie-

działy na ziemiach czynszowych. Mało z pomiędzy tej szlachty umiało pisać i czytać. a żyło nie lepiej, niż pierwszy lepszy chłop pańszczyźniany. Ale ta szlachta zagonowa była poczciwą, miłowała gorąco ojczyznę, chętnie stawiała w szeregu, kiedy trzeba było jej bronie od wroga, odznaczała się wielką pobożnością. Było tego ze 300 tysięcy.

Mieszczanie tworzyli zupełnie odgradzony od innych klas stan. Ogólnie w ówczesnej Polsce liczone 1414 miast i miasteczek razem z Litwą i Rusią. Ich ludność razem wzięta nie dochodziła powyżej jednego miliona i paruset tysięcy głów. Nie są to jednak sami mieszczanie, ale wliczamy do nich i żydów, i ubogą, pozbawioną ziemi szlachtę. Właściwych mieszczan chrześcijan, wiedzących, że są mieszczanami i korzystających z tak zwanego „prawa miejskiego“, nie było więcej, niż pół miliona.

Żydzi dawniej, tak jak dzisiaj, stanowili ściśle oddzieloną od reszty ludności masę, w sobie mocno zwartą, jakby oddzielny naród w narodzie, liczniejszy od narodu szlacheckiego. Mieli swoje kahały, swoje reprezentacje wobec władz rządowych. Nie powoływano ich weale do wojska, nie brali oni żadnego udziału w rządzeniu krajem, płacili tylko umiarkowany podatek, zwany „pogłównem żydowskim“. Religja, mowa, strój, obyczaje stawiały między Żydami a Polakami niewzruszoną przegrodę. Żydom były obce wszelkie dla kraju uczucia przyjazne. Pozostałe warstwy ludności odnosiły się do Żydów nieprzyjaźnie.

Włościanie tworzyli masę najliczniejszą, bo wynoszącą w przybliżeniu 6 milionów z czemś głów. Była to warstwa bardzo upośledzona, niestety, skazana na ciężką pracę od wschodu do zachodu słońca. Musiała ona swą pracą wyżywić tych, co nie orzą i nie młócą.

Ten przegląd pokazuje nam, że za Stanisława Augusta trzecia część ludności, mianowicie włościanie w dobrach prywatnych, pozostawała w pętach poddaństwa, że prawie jedna dziesiąta, t. j. Żydzi, Ormianie i Grecy, była zupełnie obojętna na losy kraju, i że główna masa włościaństwa, niemal siedmiomiljonowa, także nie miała żadnego poczucia obywatelskich obowiązków, bo nie korzystała z żadnych praw obywatelskich. Utrzymywanie i obrona wielkiego państwa polskiego leżały na barkach trzech wolnych stanów: szlachty, duchowieństwa i mieszczaństwa. A wzięte razem te stany były zaledwie jedną szóstą częścią całego narodu polskiego. Ludzie, znający swoje obowiązki dla ojczyzny, to jest zamożniejsza szlachta, duchowieństwo

i niektórzy mieszczanie, stanowili razem siłę nie większą, niż pół miliona głów pięci obojczy, w czem było co najwyżej 180 tysięcy zdolnych do obrony kraju mężów. I siła ta byłaby może na owe czasy dostateczną dla uratowania kraju od rozbiorów przez sąsiednie mocarstwa, gdyby wszyscy do niej się zaliczający zgodnie stanęli ramię przy ramieniu. Ale niestety wielu między nimi było nieudolnych, słabych, występnych, podłych do tego stopnia, że za pieniądze zdradzali lubą Ojczyznę. Ci lepsi, rozumiejący, jak wielkie nieszczęścia mogą spotkać kraj ich rodzinny, ci, którzy widzieli czarne chmury, zbierające się nad Polską, nie umieli się zjednoczyć pod wspólnem hasłem. Brakło odważnych, ożywionych wielką miłością dla kraju, którzyby zgromadzili wokół siebie tłumy pospolitych ludzi. Tak, niestety, przedstawiał się stan i budowa wewnętrzna narodu polskiego przed rozbiorami. Siłę jaką taką dla obrony własnej jeszczebyśmy z siebie wydobyli, gdyby panował ład, porządek w kraju, gdyby skarb nie był pustym, a co najważniejsze, gdyby zgoda i poczucie obowiązku ożywiały rządzącą klasę narodu.

Szlachta, mianująca się sama „narodem“, nie spełniła swojego obowiązku, nie okazała się wdzięczną za to wyjątkowo uprzywilejowane położenie, jakie piastowała w Polsce. Te właśnie przywileje i dostatki popsuły ją, spowodowały jej upadek moralny.

W miarę tego, jak, płynie czas, szlachta w rozebranej Polsce traci coraz bardziej swoje wpływy. Z klasy rządzącej wszystkim, trzymającej pod sobą najliczniejszą warstwę narodu, powoli schodzi do stanowiska podrzędnego, do stanowiska właścicieli większej i średniej własności ziemskiej, traci wpływ na resztę narodu i dziś nie może już rościć prawa do przewodnictwa w narodzie polskim. Wyniknie to najwidoczniej z obliczenia naszych sił narodowych dzisiejszych. Wiedząc, jaką była budowa narodu polskiego przed rozbiorami, zobaczymy, z jakich klas, z jakich grup składa się on obecnie.

Ma się rozumieć, że nie będziemy tutaj zajmowali się pochodzeniem mieszkańców naszego kraju, bo nas to niewiele obchodzi, czy ktoś urodził się chłopem, mieszczaninem, czy też szlachcicem. Naszego podziału dokonamy według tego, czem się ludzie zajmują dzisiaj i jaką rolę odgrywają w kraju.

Rozpatrując inne narody europejskie, tak, jak one obecnie się przedstawiają, dostrzegamy znaczne między nimi różnice. Na wschodzie rozsiadła się wielka Rosja z Ukrainą. Są to kraje rolnicze, to znaczy, że znaczna większość ich mieszkańców zajmuje się rolnictwem i zamieszkuje na wsi, obok warsztatu swojej pracy — ziemi. Miast

tam niewiele w porównaniu z krajami zachodnimi; mieszka w nich mało ludzi w porównaniu z mieszkańcami wsi. Fabryki i rzemiosła zatrudniają jakąś dziesiątą, a nawet mniejszą część całego narodu.

W miarę tego jednak, jak się będziemy posuwali ku zachodowi, postać rzeczy zmienia się wyraźnie. Już u nas jest znaczna różnica. Wprawdzie i w Polsce ludzie przeważnie zajmują się rolnictwem i mieszkają na wsi, ale liczba miast jest już większa niż w Rosji, mieszka w nich, nie tak jak w Rosji, 13 ludzi na 100, ale już przeszło 30 na 100 mieszkańców kraju, a więc niemal 2 i pół raza więcej. W państwach zachodnich widzimy jeszcze większe różnice; w takiej Francji np. mieszkańcy miast stanowią niemal połowę mieszkańców całego kraju (41 mieszczan na 59 wieśniaków). W Niemczech mieszka w mieście 56 ludzi na 100, w Anglii jeszcze więcej, bo aż 78 na 100. Skupienie ludności w miastach jest więc u nas niezbyt dalekie od tego, co dostrzegamy we Francji; ale znacznie mniejsze niż w Niemczech, nie mówiąc już o Anglii.

Jak sobie to wytłumaczyć? Oto bardzo prosto. W ciągu ubiegłego stulecia w całej niemal Europie miało miejsce to wynoszenie się ludności ze wsi do miast. A miało ono i ma dotąd bardzo ważną przyczynę. Oto w ostatnich kilkudziesięciu latach niezwykle rozwinął się w Europie przemysł fabryczny. Powstawały coraz liczniejsze fabryki, które przyciągały robotników do wielkich miast, w mieście przemysł może daleko lepiej się rozwijać, aniżeli na wsi, ma bowiem liczne ułatwienia: światło, elektryczność, drogi zwyczajne i żelazne, banki, giełdy, różne materiały pod ręką i robotników, którzy, raz się osiedliwszy w mieście, trzymają się już fabrycznej pracy, czyli zostają robotnikami przemysłowymi, i wiele innych udogodnień. Z drugiej strony ludność wszystkich krajów Europy z małym wyjątkiem (Francji) ciągle się powiększała. Dla przybyszów ziemi zabrakło, nie znajdowali oni pod dostatkiem pracy na roli, musieli więc wynosić się do miast za chlebem. Powoli wytwórczość przemysłowa brała górę nad wytwórczością rolną, to znaczy, że wartość wyrabianych w fabrykach przedmiotów użytecznych zaczęła przewyższać wartość ziemiopłodów. I tak powoli kraje rolnicze zaczęły się przekształcać na kraje przemysłowe, czyli takie, gdzie większa część ludności pracuje w przemyśle, który dostarcza jej środków do utrzymania. My, Polacy, jesteśmy krajem nawpół rolniczym i nawpół przemysłowym, a raczej tak się miały rzeczy u nas przed samą wojną.

Podział ludności na miejską i wiejską najlepiej uwidoczni poniższa tabliczka:

Nazwa dzielnicy	na 100 ludności było	
	na wsi	w miastach
W zach. najbardziej uprzemysł. części Królestwa Polskiego	66	44
Na Śląsku Górnym	59	41
Na Śląsku Cieszyńskim	62	38
W Prusach Zachodnich	72	28
W Poznańskim	76	24
We wsch. części Król. Polskiego	77	23
Na Mazurach pruskich	85	15
Na Litwie, Białorusi i Inflantach	90	10

We wszystkich ziemiach polskich mieszkało w ostatnich latach przed wojną na 53 miliony mieszkańców około 12 milionów w miastach. to znaczy, że na każde sto mieszk. było wieśniaków 78, a mieszczan 22.

Skutkiem wojny ten stan rzeczy uległ zmianie. Niemcy bowiem. pragnąc po wojnie pozbyć się współzawodnictwa przemysłu polskiego i zmusić nas do kupowania ich wyrobów po wysokich cenach, a także zająć naszych, pozbawionych zarobku robotników w przemyśle niemieckim, planowo niszczyli nasze fabryki, wywożąc maszyny, rekwirując metale i surowce.

W ten sposób zrujnowali na wiele lat polski przemysł fabryczny; między innymi sposobami ciągle podmawiają naszych robotników przez płatnych swoich wicherzycieli do strajków, żeby zniszczone fabryki polskie nie mogły podjąć pracy na nowo.

Niemcy natomiast nie mogą wyżywić się swojemi własnymi ziemioplodami, żyją przeważnie z przemysłowej pracy. Ludność Anglii jeszcze bardziej. Tam rola nie mogłaby wyżywić nawet trzeciej części ludności, większa jej część znajduje zatrudnienie w bardzo rozwiniętym przemyśle: Anglija zatem, Niemcy, Francja, Belgja są to kraje przemysłowe. Oto dlaczego większa część tamtejszych mieszkańców zamieszkuje miasta.

Jeżeli podzielić mieszkańców Polski na mieszczan i wieśniaków, to wypadnie, że w Królestwie Polskiem na 100 mieszkańców 37 mieszka w mieście, a 63 na wsi. W Galicji jest nieco inaczej, tam w mieście mieszka zaledwie 20 mieszkańców na 100, czyli, że Galicja jest krajem bardziej rolniczym, niż Królestwo Polskie, w Poznańskim jeszcze mniej ludzi mieszka w mieście.

Do ludności miejskiej zaliczyliśmy w Królestwie mieszkańców t. zw. osad, które dawniej były miastami.

W Królestwie przesiedlanie się ludzi ze wsi do miasta odbywało się bardzo energicznie, gdyż od r. 1893 do 1909 ludność miejska wzrosła prawie w dwójnasób.

LUDNOŚĆ WIEJSKA.

Zajmijmy się naprzód ludnością wiejską, zobaczymy, czem się ci ludzie zajmują i co posiadają. Otóż ogólna liczba ludności wsi i małych miasteczek, niewiele różniących się od wsi, wynosiła w r. 1901 w Królestwie Polskiem niemal 8 milionów, dokładniej 7.923.000. Pomieszano tu włościan, czyli chłopów, z drobnymi mieszczanami i z t. zw. szlachtą, mającą w swych rękach większą i średnią własność ziemską. Nie wszyscy jednak z tych ośmiu bez mała milionów posiadali własny grunt. Bezrolnych liczono 1.432.000, mianowicie w małych miasteczkach 211 tysięcy i we wsiach milion 220 tysięcy. Ludność ta albo służyła za parobków po folwarkach, albo zajmowała się wyrobkiem, albo wędrowała na zarobki sezonowe do Niemiec (obieżysasi), albo wreszcie oddawała się rzemiosłom i t. p. Jeżeli obliczyć posiadaczy własnego gruntu, to w r. 1901 wypadło gospodarzy z rodzinami niemal 6 milionów. Zatem prawie 3 na 4 mieszkańców wsi miało własny kawałek gruntu. Są to t. zw. włościanie, czyli chłopci i drobni mieszczanie, którzy nieraz w niczem się od włościan nie odróżniają. Lud pracujący na roli stanowi zatem w Królestwie znaczną większość. Z tej ludności wiejskiej należy wyodrębnić jeszcze mieszkańców większych majątków, czyli ludzi zaliczanych do „szlachty“. Ale nie będzie ich tak wielu, bo w 1912 r. liczono w całym Królestwie Polskiem 12.279 folwarków. Jeżeli przyjąć, że rodzina każdego posiadacza większej własności liczy pięć osób, toby wypadło, że mamy szlachty nie więcej nad sześćdziesiąt i parę tysięcy, licząc w to już i Żydów, posiadających folwarki, dzierżawców i t. d. Z tego widać, że klasa szlachecka jest dziś na wsi nader nieliczną, gdyż znaczna część szlacheiców przeniosła się oddawna do miast, zajmując się tam różnemi zawodami, jak lekarz, adwokat, urzędnik, inżynier, kupiec i t. p.

Włościanie w Królestwie mają w swych rękach najwięcej gruntów, bo 12.647.000 morgów, gdy tymczasem cała większa własność z majoratami, majątkami rządowemi, miejskiemi i t. d. ma obszaru tylko 7.624.000 morgów.

Zaludnienie Królestwa jest przytem dość gęste, zwłaszcza w południowo-zachodnich dzielnicach; nie dla wszystkich zatem włościan starczyło gruntów. Z początku większe osady rozdrobniły się tak, iż znajduje się dziś wiele bardzo t. zw. karłowatych gospodarstw, po dwa, albo trzy morgi liczących, które nie mogą zapewnić utrzymania rodzinie. Stąd też włościanstwo w Królestwie nie jest jednakowo zamienne w całej swej masie. Obok dostatnich gospodarzy, władających dwudziestoma, albo przynajmniej dwunastoma morgami, jest wielu takich, którzy, chcąc się utrzymać, muszą szukać postronnych zarobków, bądź na miejscu w kraju w przemyśle, bądź też jechać na wyrobki sezonowe do Niemiec, a nawet wyjeżdżać do Ameryki na czas dłuższy i na zawsze.

Wogóle ludność bezrolna w Królestwie stanowiła szóstą część całej ludności włościańskiej. W ostatnich latach przed wojną emigrowało do Ameryki z Królestwa rokrocznie kilkadziesiąt tysięcy. Ze wszystkich ziem polskich emigrowało do Ameryki północnej (do Stanów) aż 174 tysiące, co jest bardzo wiele. Dowód to, że włościanin polski nie może znaleźć chleba w ojczyźnie i musi go szukać nawet za morzem. Jest to wielka strata dla kraju. Można by polepszyć położenie tych włościan, nie posiadających własnej roli, przez rozwój przemysłu w kraju, o czem będzie mowa na innym miejscu.

Wychodźstwo sezonowe na letni okres zarobkowy do Niemiec wzrastało ciągle przed wojną od 1890 r.: w 1908 r. wyszło do Niemiec na objęzysasy 235 tysięcy Polaków z Królestwa, a w r. 1912 przeszło 322 tysiące zarówno mężczyzn, jak kobiet. Jak wiadomo, Niemcy nie wypuścili po wybuchu wojny tych nieszczęśliwych naszych robotników rolnych, ale zatrzymali ich przemocą u siebie, każąc ciężko pracować przez kilka lat prawie za darmo i dziko się z nimi w dodatku obchodzili, traktując jako niewolników.

Z tego widać, że położenie stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem przed wojną było nieosobliwe, obok bowiem zamożnych gospodarzy, którzy mają odłożoną gotówkę, istniało w kraju około półtora miliona takich, którzy nie mieli z czego żyć i musieli szukać pracy u obcych.

Ale też winna temu ciemnota naszego ludu, bo Moskale nie popierali wcale oświaty, wiedząc, że z ciemnym narodem łatwiej dadzą sobie radę, niż z oświeconym, znającym swoje prawa i potrzeby. Jak czytelnik przekona się w innym rozdziale niniejszej książki, Królestwo Polskie stoi na samym końcu w szeregu europejskich, nawet niceuropejskich narodów pod względem oświaty, co bardzo powięk-

szalo jego ciężkie położenie materialne. Boć ludzie oświeceni łatwiej dadzą sobie we wszystkim radę i lepiej umieją pracować i niejednen z tych, co na trzech morgach siedzi, mógłby wyżyć na takim gospodarstwie, gdyby gospodarował tak, jak oświecony Duńczyk na przykład.

Jeszcze gorsze jest położenie włościan w drugiej wielkiej dzielnicy Polski, w Galicji. Własność rolna w tym kraju jest bardzo rozdrobniona, jest to kraj gospodarstw karłowatych, nie wystarczających do utrzymania rodziny włościańskiej. Na milion z czemś gospodarstw w Galicji było 69 tysięcy bardzo drobnych, nie przenoszących obszarem jednego morga, wszystkich zaś, mających mniej niż 4 morgi do 9 morgów 588 tysięcy, a poniżej 2 hektarów (3 i pół morga) było 598 tysięcy. Znośnie małych od 2 do 5 hektarów (hektar równa się dwom morgom bez piątej części morga) około 400 tysięcy od 5 do 10 hektarów, czyli średnich, 150 tysięcy. Ludność włościańska w Galicji jest więc najuboższa w Polsce i stąd najbardziej skłonna do wychodźstwa. Pośród drobnej własności włościańskiej 80 na 100 gospodarstw ma nie więcej nad 5 hektarów (9 morgów), a więc i taki gospodarz musi szukać dodatkowego zarobku, żeby się utrzymać. W dodatku Żydzi galicyjscy wykupują ciągle od włościan ziemię. Od roku 1868 wykupili przeszło 50 tysięcy gospodarstw, a wiele innych jest u nich zadłużonych tak, iż rolnik nibyto siedzi na swoim gruncie, a właściwie jest parobkiem u Żyda, który mu pozostawia tylko tyle, żeby z głodu nie umarł. Podobnie też wykupują Żydzi w Galicji większe majątki, których jest w ich rękach ósma część. Trzecia część średnich majątków jest w ich posiadaniu, a mniejszych do 500 hektarów obszaru, mają oni zgorą czwartą część. Prócz tego do Żydów należy przeszło połowa placów i domów w miasteczkach galicyjskich i większych miastach.

Skutkiem biedy, wywłaszczenia przez Żydów i małego poziomu oświaty w Galicji corocznie znajduje się zastęp włościan, liczący milion i 200 tysięcy ludzi, nie mogących się wyżywić z pracy na roli i nie znajdujących również zarobków po fabrykach, gdyż dzielnica ta nie posiada takiego przemysłu, jak Królestwo. Włościanin galicyjski musiał więc szukać chleba u obcych, przeważnie udawał się do Niemiec. W 1912 r. 76 tysięcy Polaków z Galicji poszło na roboty do Niemiec, Rusinów zaś 78 tysięcy, bo ci jeszcze są biedniejsi i gorzej, trzeba to zaznaczyć, gospodarują i pracują niż Polacy. Udawali się zresztą nie tylko do Niemiec, ale potrosze i do innych krajów Europy. W tym samym czasie do Ameryki wyjechało z Galicji 31 tysięcy Po-

laków i 21 tysięcy Rusinów. Wprawdzie pewna część emigrantów po jakimś czasie wraca z oszczędzonym groszem, żeby sobie kupić w Polsce kawałek gruntu, ale większość idzie na poniewierkę, marnuje się i przynosi narodowi wielką stratę. Lekarstwem na to w Galicji. równie jak u nas, jest podniesienie ogólnego dobrobytu w tej dzielnicy, parcelacja, zakładanie licznych fabryk, kopalń, żeby ludziska mogli pracować u siebie i znajdować środki do swego utrzymania bez udawania się na obczyznę, gdzie wielu z nich wynaradawia się.

Lepiej znacznie przedstawia się stan włościański w dzielnicach zachodnich, w byłym zaborze pruskim, a więc w Poznańskim, na Śląsku Górnym, w Prusach Zachodnich. Rolnictwo stoi tam najwyżej ze wszystkich dzielnic Polski, ale przemysł jest gorzej rozwinięty, niż w Królestwie. Gdyby więc włościanin polski w tamtej dzielnicy nie gospodarował wzorowo i nie wyciągał dużych zysków z ziemi, to musiałby cierpieć taką samą nędzę, jak jego rodak z Galicji. Ale jak to czytelnik może się przekonać z rozdziału „Podnieśmy rolnictwo polskie“, dzielnice zachodnie Polski są najzamożniejsze, najlepiej zagospodarowane. Podobnie mają się rzeczy w Prusach Zachodnich. Dzielnicę zachodnią są rolnicze w przeciwieństwie do Śląska, który jest uprzemysłowiony.

Przytem w dzielnicach zachodnich przeważa dziś własność drobna włościańska nad średnią szlachecką skutkiem parcelacji majątków szlachty i większych gospodarstw włościańskich, drogą działów po rodzicach. Oprócz tego osławiona komisja kolonizacyjna pruska, która sobie postawiła za cel wywłaszczenie Polaków z ziemi praojców, prowadziła planową parcelację. Dla przeciwwagi tej niecej robocie Prusaków utworzyły się spółki parcelacyjne polskie, które parcelowały większe majątki między włościan polskich. Najznaczniej w Poznańskim i w Prusach Zachodnich powiększyła się liczba gospodarstw, mających od 5 do 20 hektarów. Ale jest też wielka liczba gospodarstw drobnych, od 2 do 5 hektarów. Pomiędzy wielkimi majątkami a owymi drobnymi gospodarstwami stoi wiele gospodarstw wielkocłopskich, mających od 3 do 6 włók obszaru. Większa część gruntów w Poznańskim znajduje się dziś w posiadaniu włościan (więcej niż połowa). W pozostałych dzielnicach zachodnich własność większa zajmuje nie więcej nad jedną trzecią całkowitego obszaru. Na Śląsku Górnym jest nieco inaczej. Niema tam bowiem dużych gospodarstw chłopskich. Połowa tamtejszych obszarów jest zajęta pod drobną własność włościańską, trzecia część należy do wielkich majątków.

a większe gospodarstwa chłopskie stanowią zaledwie ósmą część obszaru.

W dzielnicach zachodnich, podobnie jak w Królestwie i w Galicji także, jest znaczna liczba włościan bezrolnych, którzy muszą w poszukiwaniu chleba emigrować do miast. Nasi rodacy z zachodnich dzielnic znajdują albo zarobki wewnątrz kraju (a takich jest nieznaczna liczba, gdyż przemysł w Poznańskim nie rozwinięty), albo wędrują na zachód, głównie do Westfalji, gdzie się nagromadziło kilkaset tysięcy Polaków, albo wreszcie jadą do Stanów, podobnie jak wielu Niemców rodowitych to czyniło przed wojną; po wojnie tem chętniej będą Niemcy opuszczali przeciążoną długami ojczyznę.

Jeżeli pewna, znaczna nawet, część tych emigrantów nie myśli o powrocie do kraju, to przecież wielu zbiera sobie pieniądze na dokupienie ziemi między swymi. Takie same zamiary mają obieżysasi, pochodzący głównie z pośród włościan bezrolnych. Mazurzy paucy, którzy, da Bóg, będą z nami pod jednym dachem państwowym, bardzo licznie emigrują na zachód. Zato z zachodnich dzielnic włościanin niechętnie płynię za morze, gdyż w Niemczech dobrze zarabia.

Zanim przejdziemy do stanu mieszczańskiego, musimy jeszcze powiedzieć kilka słów o stanie włościańskim w dzielnicach wschodnich, na Litwie, Białorusi i w Inflantach. Własność włościańska ukazuje się tam w większym stopniu, niż jedną trzecią ogólnego obszaru. Poza tem jednak włościanie dokupili dużo ziemi z wolnej ręki. Skutkiem tego w r. 1905 włościanie w tych krajach mieli w swoich rękach 45 odsetek ziemi, szlachta zaś mniej, bo tylko 39 odsetek. Naogół było w posiadaniu włościan na Litwie i Białorusi 12.764.000 hektarów, w rękach szlachty zaś 11.170.000 hektarów. Oprócz włościan jest w tych dzielnicach dużo zagonowej, drobnej szlachty, która w niczem prawie od włościan się nie różni. Najwięcej ziemi w porównaniu z innymi stanami mają włościanie w Mohylowszczyźnie, potem w ziemi grodzieńskiej i kowieńskiej, wszędzie bowiem więcej niż połowę. Na Rusi ziemi najwięcej mają włościanie na Podolu, potem na Ukrainie Kijowskiej, najmniej zaś na Wołyniu.

Niepodobna jednak podać dokładnie, ile tej ziemi znajduje się w posiadaniu włościan polskich, a ile w rękach Litwinów i Białorusinów. W przybliżeniu jednak można rzec, że w dzielnicach wschodnich włościanie polscy i drobna szlachta mają w posiadaniu swym około 1.405.000 hektarów. Przytem należy zaznaczyć, że gospodarstwa polskie włościańskie w Wileńszczyźnie, we wschodniej części Kowieńszczyzny i na Wołyniu odznaczają się daleko lepszą uprawą, niż gospo-

darstwa włościan litewskich i białoruskich i są przytem większe. Nie zrobimy nawet dużego błędu, przypuszczając, że ogółem drobna własność polska, a więc włościańska, wynosi w dzielnicach wschodnich do 2 milionów hektarów. Do tego dodać trzeba jeszcze $8\frac{1}{2}$ miliona hekt. ziemi, znajdującej się w rękach większych posiadaczy Polaków. Mamy więc my, Polacy, we wschodnich dzielnicach tyle niemal ziemi, co w całym Królestwie Polskiem, którego obszar wynosi w hektarach 12 i jedna trzecia milionów.

Polacy stanowią więc wielką potęgę ekonomiczną w dzielnicach wschodnich i o tem nie powinniśmy zapomnieć. Teraz własność polska znacznie podupadła skutkiem bolszewickich nieporządków, gdyż wielu większych właścicieli, ratując życie, musiało uciekać ze swych majątków, które dostały się w ręce prawosławnych włościan. Jeżelibyśmy jeszcze do owego półdziewiętia miliona hektarów dodali ze 12 milionów hektarów ziemi polskiej, zabranej przez Moskali Polakom po powstaniu, to otrzymalibyśmy olbrzymie obszary ziemi, która drogą parcelacji mogłaby częściowo przejść zczasem w ręce naszych włościan, o ile naturalnie Litwa polska i Białoruś znalazłyby się w jednym połączonym państwie.

Co do włościan, zamieszkujących dzielnice wschodnie, to głód ziemi nie dawał się im odczuwać w tym stopniu, co naszym włościanom, raz dlatego, że dostali oni znacznie większe działki przy uwłaszczeniu, powtóre zaś, że tam bank włościański przez kilka dziesiątków lat dużo ziemi przysporzył włościanom. Nasz zaś chłop nie miał prawa nabywać ziemi na Litwie i Białorusi jako Polak, i dlatego setkami tysięcy musiał emigrować za morze. Gdyby nie ta zaślepiona nienawiść rosyjskiego rządu do wszystkiego, co polskie, to Białoruś oddawna zaludniłaby się pracowitą i oświeconą ludnością polską i nie byłaby tak jak obecnie, nawpół pustynią i bardzo ubogą krainą, gdzie ziemia nie wydaje i połowy tego, co w dzielnicach zachodnich. Nie dopuszczając na Białoruś naszych chłopów, rząd rosyjski popierał natomiast napływ Moskali ze środkowych gubernij, którzy, jako kiepscy rolnicy, nie nie zrobili dla podniesienia tych dzielnic.

Zła gospodarka, ciemnota, brak przemysłu zmuszały posiadającą znacznie więcej ziemi od naszej ludność włościańską dzielnice wschodnie do emigracji bądź do Niemiec, bądź na południe, do Rosji.

W ogólności położenie włościan na Litwie i Białorusi nie jest dobre, jest nawet gorsze, niż w Królestwie.

Na tem skończymy przegląd stanu włościańskiego na ziemiach dawnej Polski, a przejdziemy do stanu mieszczańskiego.

Mieszczanie.

Mówiąc na początku tego rozdziału o podziale ludności na wiejską i miejską, obliczyliśmy, że na ziemiach dawnej Polski na ogólne zaludnienie, wynoszące około 53 miliony, jest 12 milionów mieszkańców miast. Ludzie ci zatem stanowią to, co wogóle nosi nazwę stanu mieszczańskiego, ale liczba 12 milionów nie daje nam jeszcze najmniejszego pojęcia o tem, ilu mamy mieszczan Polaków, bo w tej znacznej liczbie mieszczą się naprzód Żydzi, a potem w małych miasteczkach jest dużo włościan, którzy oddają się rolnictwu na przyległych gruntach. Oprócz tych dwóch grup mieszkają jeszcze po miastach robotnicy fabryczni.

Królestwo Polskie liczy obecnie 116 miast, w których w r. 1912 mieszkało bez mała 3 miliony ludzi. Jeżeli jednak doliczymy ludność małych miasteczek, dawnych osad, których jest aż 358, włączonych przez rząd rosyjski w r. 1869 do gmin wiejskich, to ludność miast i miasteczek w Królestwie wyniesie 3 miliony 641 tysięcy. Obecnie nieco się ona pomniejszyła skutkiem wypadków wojennych, głównie skutkiem wielkiej śmiertelności z powodu głodu i niedostatku i związanych z nimi epidemij.

Królestwo liczy 43 miasta z ludnością powyżej 10.000, a 5 miast, mających więcej niż 50.000 mieszkańców, t. j. Warszawę, Łódź, Sosnowiec, Częstochowę i Lublin. Wzrost niektórych naszych miast odbywał się niezmiernie szybko, np. w Łodzi było w r. 1817 zaledwie 2.837 mieszkańców, w r. 1912 zaś już zgorą $\frac{1}{2}$ miliona. Tak samo szybko powstał Sosnowiec, który obecnie liczy zgorą 100 tysięcy mieszkańców. W Galicji Kraków ma około 200 tysięcy mieszkańców. Lwów przed oblężeniem ukraińskim, które pociągnęło za sobą wielkie straty w ludziach, liczył 250 tysięcy. W dzielnicach zachodnich mamy Poznań ze 100 tysiącami mieszkańców. Na Litwie Wilno liczy zgorą 200 tysięcy, Grodno 20, Białystok 40. Mińsk Litewski 150 tysięcy. Miast przeto Polska liczy wiele, ale naogół są one bardzo jeszcze zaniedbane, źle zabudowane i ubogie. Miasta bowiem w ciągu dwu ostatnich stuleci niezależnego bytu Polski przedrozbiorowej mocno podupadły skutkiem nakładania na nie nadmiernych ciężarów przez szlachtę i skutkiem klęsk wojennych.

Zobaczmy teraz, co to za ludzie ci nasi mieszczanie i czem się zajmują, wreszcie co posiadają.

Są to bardzo ważne zapytania, na które musimy znaleźć wyraźną odpowiedź, jeżeli chcemy wyrobić sobie pojęcie dokładniejsze, czem jesteśmy.

Otóż w miastach mieszkają przeważnie robotnicy fabryczni, potem rzemieślnicy różnego rodzaju i kupcy. Robotników fabrycznych liczone w Królestwie przed wojną bez mała 400.000, rozrzuconych nie tylko po miastach, ale i po osadach fabrycznych. Znaczy to, że na 10 mieszczan przypadał tylko jeden robotnik fabryczny. Jeżeli rozejrzemy się w ludności miejskiej Królestwa, uderzy nas wielka liczba Żydów. Możemy to sobie powiedzieć, że właściwie tak jakbyśmy wcale nie mieli stanu mieszczańskiego, który w innych krajach spełnia ważne zadanie, mając w swoich rękach cały niemal handel, przemysł i rzemiosła. Zamiast zwartego polskiego żywiołu mieszczańskiego, mamy, niestety, liczny zastęp Żydów. Polskie mieszczaństwo dopiero zaczyna się wytwarzać. Na każdy tysiąc mieszczan przypada aż 400 Żydów. W małych miasteczkach jest jeszcze gorzej; poprostu żywioł chrześcijański znika tam pod przewagą tej obcej narodowości. Zato na gruntach gminnych, gdzie nie wolno było za rządów rosyjskich osiedlać się Żydom, przynajmniej na włościańskich gruntach, liczone Żydów 25 na każdy tysiąc mieszkańców. W r. 1907 w Królestwie na każdy tysiąc mieszkańców przypadało aż 140 Żydów (14%). W ostatnich czasach jeszcze bardziej powiększyła się ludność żydowska w Królestwie, gdyż rząd rosyjski planowo nasyłał nam setki tysięcy Żydów, wysiedlonych przymusowo z miast Rosji, mając w tem cele polityczne, wrogie polskości. Chciano nas poprostu zamienić na kraj pół polski, pół żydowski i w ten sposób zniszczyć jako naród. Ogółem liczone w Królestwie przed samą wojną 1.772.000 Żydów. W Galicji było ich nieco mniej, bo tylko 106 na każdy tysiąc ludności, zato Żydzi mieli tam w swoich rękach wiele majątków ziemskich i domów po miastach. W Poznańskim liczone niewiele Żydów, bo zaledwie 15 na tysiąc mieszkańców. Zato Litwa i Białoruś cierpiały więcej od nas skutkiem nadmiaru ludności żydowskiej. Liczone tam 161 Żydów na tysiąc mieszkańców. Jest to bardzo wiele w porównaniu z innymi krajami Europy. Na Węgrzech liczone na tysiąc ludności 44 Żydów, w Austrii z Wiedniem 50, w całych Niemczech tylko 10, we Francji 4, we Włoszech tylko 1 Żyda. W żadnym przeto kraju niemasz tylu Żydów w porównaniu z ludnością rdzenną, co u nas, w Polsce, nigdzie też Żydzi nie stawiają takich wymagań, nie są tak niebezpieczni, jak u nas, nigdzie sprawa żydowska nie zaogniła się, jak w Polsce. Dodajmy też, że nigdzie większość Żydów tak wrogo nie występowała wobec prawowitych gospodarzy kraju, jak u nas. Mieliśmy tysięczne dowody wrogiego usposobienia wielu Żydów dla narodu polskiego w ciągu wojny. Szli oni przeważnie przeciwko nam razem z naszymi wrogami, Rosja-

nami. Niemcami, Austriakami, wreszcie z Ukraińcami. Żydzi zajmują się głównie handlem, który daje największe zyski przy najmniejszej pracy, mniej już rzemiosłami. W r. 1897 w Królestwie zajmowało się handlem aż 482.000 Żydów, rzemiosłami (głównie wyrobem odzieży i obuwia) trudniło się 215.000. Jako prywatni urzędnicy po kantorach wszelkiego rodzaju pracowało 105.000 Żydów. Te liczby dają nam pojęcie, czem się głównie zajmują Żydzi w naszych miastach. Przytem opanowali oni niemal zupełnie pewne gałęzie handlu, np. handel wędrowny, handel skórami, zbożem, maszynami, odzieżą gotową. Stanowili oni poza tem większość w przemyśle tytoniowym, wód mineralnych, octu, wyrobu narzędzi lekarskich, obuwia, odzieży, w przemyśle przewozowym. Natomiast Żydzi prawie wcale nie brali się do rolnictwa, górnictwa, hutnictwa, ceglarstwa, zapewne dlatego, że to są najcięższe rodzaje pracy.

Żydzi, jak powiedziałem, stanowią główny pień mieszczaństwa w Polsce. W Galicji, gdzie przemysł nie jest tak rozwinięty, jak w Królestwie, Żydzi zajmują się głównie handlem, dzierżawią gospodarstwa włościańskie. W Poznańskim pozbyto się Żydów dzięki zakładaniu spółek, kas kredytowych, kooperatyw, a głównie dlatego, że tamtejsi Polacy zajęli się energicznie handlem i rzemiosłami. Na wschodnich kresach miasta znajdują się niemal wyłącznie w rękach Żydów, handel polski tam nie istnieje, a przemysłu prawie wcale nie ma.

Czem się zatem zajmują w miastach Polacy?

Oto oddają się rzemiosłom, nieopanowanym jeszcze przez Żydów, trochę zajmują się handlem, wielu jest robotników fabrycznych, wyrobników, służby domowej. Zawody wyzwolone, wolne, do których zaliczamy lekarzy, adwokatów, inżynierów, artystów różnego rodzaju, budowniczych i t. d., mają przewagę żywiołu polskiego. W ostatnich czasach wytworzył się dość liczny stan urzędniczy polski, nauczycielski i wojskowy (oficerowie i ich rodziny). Dodajmy do tego kupeów polskich, których po miastach jest mniejszość w porównaniu z Żydami, a będziemy mieli pojęcie, czem się zajmują mieszczaństwo Polacy.

Stan mieszczański polski znajduje się dopiero w początkach swojego rozwoju. Miasteczka są wybitnie żydowskie, niemalo czasu i energii będzie potrzeba, żeby nadać im charakter polski, o czem będzie mowa w rozdziale p. t. „Unarodowienie miast“.

Naogół rzeczy biorąc, mieszczaństwo w Polsce jest bardzo ubogie w porównaniu z mieszczańskim stanem w takich Niemczech, Anglii lub Francji. A stan to bardzo ważny, zwłaszcza u nas, gdzie niema silnego łącznika pomiędzy stanem włościańskim a stanem szlacheckim.

Poprostu Polska jest okaleczona przez ten brak silnego mieszczaństwa, które z wielką krzywdą dla kraju jest zastępowane przez wrogo przeważnie usposobioną dla polskości ludność żydowską.

Naglącą przeto potrzebą dla Polski jest stworzenie mieszczaństwa uświadomionego, gotowego narówni z innymi stanami dźwignąć na swoich barkach obowiązki względem Ojczyzny, z którego wychodziliby pożyteczni dla społeczeństwa pracownicy. Jeżeli mieszczaństwo się nie utworzy w ciągu kilku najbliższych dziesiątków lat, wówczas miasta polskie, wraz z polskim handlem i przemysłem, znajdą się w rękach cudzoziemców, którzy, mając za sobą bogactwa, zdobędą prędzej czy później wielkie wpływy polityczne, które na naszą szkodę obróćą przy pierwszej sposobności.

S t a n s z l a c h e c k i, który dawniej odgrywał rolę wyłącznego zarządcy kraju, miał w swoich rękach wszelkie przywileje i największą część bogactw dziś, można to powiedzieć śmiało, zeszedł na drugie, a nawet na trzecie miejsce. Szlachta wsiąkla w mieszczaństwo, synowie szlacheccy bowiem stali się inteligentami, zajmując się różnymi zawodami wolnymi, przemysłem, kupiectwem, urzędowaniem i t. d. Najlichniesza dotąd warstwa szlachecka to ziemiaństwo, właściciele średnich i większych majątków ziemskich, ale, jak się dowiemy w rozdziale o miastach i o rolnictwie, liczba posiadaczy ziemskich, pochodzących od dawnej szlachty, dziś stała się drobną częścią społeczeństwa i nie rości sobie żadnego prawa do przewodzenia nad innymi warstwami narodu. Nie dąży nawet do tego, żeby dźwigać brzemień obowiązków względem ojczyzny w tym stopniu, jaki nakazuje jej posiadany przez nią majątek. Szlachta skończyła swoje istnienie, jako uprzywilejowana klasa. Niemasz już mowy o tem, żeby miała sięgnąć po władzę w państwie polskim i odsunęła od niej warstwy ludowe, które dziś stanowią najlichnieszą warstwę narodu i które, da Bóg, wezmą z radością na siebie ciężar odbudowania Ojczyzny.

Polska musi być państwem równości, w którym dawny szlachcic, mieszczanin i chłop będą sobie równi w obliczu praw i w równym stopniu będą brali udział nie tylko w prawach, ale i w obowiązkach obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

ZIEMIA, JAKO WŁASNOŚĆ NARODU.

Od tysiąca lat zgórą narody Europy, po wielkiej wędrówce, jaka się odbyła w końcu pierwszego tysiąclecia po narodzeniu Chrystusa, poosiadłały się w pewnych krajach, gdzie zamieszkują na stałe.

Podobnie też i my, Polacy, osiedliliśmy się przed tysiącem lat, a może i dawniej, obok innych słowiańskich szczepów w środkowej Europie. W owe czasy Słowianie sięgali aż do rzeki Elby na zachodzie, a na południu, jak wiadomo, siedzą jeszcze aż do samego morza Śródziemnego (Bułgarowie, Serbowie, Czarnogórcy i t. d.). Na zajętych przez się obszarze każdy naród zakłada sobie t. zw. „Państwo“.

I my posiadaliśmy swoje państwo polskie, które rozciągało się od morza Bałtyckiego na północy aż do morza Czarnego na południu. Na tych wielkich obszarach mieszkali pod jednym dachem państwowym nie tylko Polacy rdzenni, ale i dobrowolnie przyłączeni do Polski Litwini z Białorusinami i inne bliskie nam plemiona.

Otóż cały obszar, zamieszkały przez jeden naród, stanowi jego niezaprzeczoną własność, jego Ojcowiznę, zroszoną krwią i potem przodków. W nim naród ma podstawę do swojego bytu, fundament trwały, na którym buduje swój dom państwowy, na nim się rozwija i żyje. Terytorjum, czyli obszar narodowy, można więc porównać do majątku ziemskiego, z tą jednak ważną różnicą, że ten majątek jest nieraz bardzo obszerny, a właścicielem jego nie jednostka, ale cały naród. Obszar ten nazywa się „terytorjum narodowem“ (terytorjum pochodzi od łacińskiego wyrazu terra, co znaczy ziemia).

W ramach jednego państwa może mieszkać, jakby kilka rodzin w jednym domu, kilka, a nawet kilkanaście narodów. Przykładem takiego państwa była Austrja z Węgrami, w której, jak wiemy, obok Niemców znajdowali się Polacy, Węgrzy, Słowacy, Czesi, Krowaci i Serbowie. Bywają też państwa utworzone przez jeden naród, zamieszkujący pewien obszar ziemi, stanowiący jedną całość.

Przykładem takiego państwa może być Francja, Danja, Włochy. Dlatego to trzeba odróżniać „terytorjum państwowe“ od „terytorjum narodowego“.

My, Polacy, od czasu, kiedy państwa sąsiednie, korzystając z naszej słabości, zagrabiły nam Ojczyznę i podzieliły się jej obszarami, mieliśmy tylko terytorjum narodowe, ale nie mieliśmy terytorjum państwowego. Zamieszkujemy zwartą masą obszary, pomiędzy Bałtykiem na północy a Karpatami na południu. Granice tego terytorjum na zachodzie i na wschodzie nie są ściśle nakreślone, gdyż na jego skrajach ludność polska ma pewną domieszkę sąsiednich narodowości: na zachodzie czeskiej i niemieckiej, na północy litewskiej i niemieckiej; na wschodzie litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. W każdym razie jednak Polacy zajmują pewne dające się dość dokładnie zakresić terytorjum, pewien obszar w Europie, który właśnie nazywamy naszym „polskiem terytorjum narodowym“. Powiedziałem, że na kresach ludność rdzenna polska pomieszala się z sąsiednimi narodami, bo inaczej zresztą być nie może. Żaden naród nie potrafi, chociażby chciał, zamknąć się jakby w oddzielnej izbie na jakimś obszarze. Pewne jednostki opuszczają rodzinne strony, udają się w okolice dalsze i osiedlają się pomiędzy sąsiadami. Jeżeli tam im jest lepiej, niż w domu, albo jeżeli dom własny stał się za ciasny, to pozostają w nowych siedzibach na stałe. To właśnie nam tłumaczy owo pomieszanie narodów, które najwyraźniej występuje na kresach obszarów narodowościowych. Pewna część bardziej przedsiębiorczych ludzi puszcza się nawet za morze, np. do Ameryki i tam albo tworzy nowe kolonie, albo też miesza się z obcymi narodami i po pewnym czasie zapomina ojczyzstego języka, swego pochodzenia, przybiera miejscową mowę, obyczaje, słowem wynaradawia się w pierwszym pokoleniu, czy w następnych; albo też tworzy jakby odłamek narodu, przeniesiony na obce terytorjum narodowe: np. Polacy w Ameryce.

Takie pomieszanie narodów na kresach albo w nowopowstałych państwach, np. w Stanach Zjednoczonych, jest zatem zjawiskiem codziennem.

Zobaczymy jednak, jakie następstwa pociąga za sobą takie przenikanie jednego narodu w ciało drugiego. Jeżeli jakiś naród stanowi spójną całość, podobną do jednolitej epoki, i jeżeli potrafił dzięki swojemu wysokiemu rozwojowi stworzyć silne państwo — to może on spokojnie żyć na swoim terytorjum narodowym, zwłaszcza, gdy nie grożą mu silniejsi ości sąsiedzi.

Rzadko jednak trafia się taki szczęśliwy naród, chyba, że zamieszkuje jakieś mało dostępne kraje, albo wyspy. Zwykle ma sąsiadów słabszych czy silniejszych od siebie. Jeżeli ten sąsiad jest bitny, nie zadowala się swoim, wówczas wybuchają wojny, które kończą się zwykle zwycięstwem silniejszego państwa.

Dawniej takie wojny były częste. Silniejszy podbijał słabszego, łupił go, zamieniał w niewolnika, słowem wojny były prosto rozbójniczymi wyprawami i ujarzmieniem słabszego przez silniejszego.

Oprócz jednak takich podbojów z bronią w rękę, zdarzają się inne, pokojowe, dokonywane z biegiem lat nieznacznie, bez użycia siły. Naród szybciej się rozradzający, bardziej przedsiębiorczy, energiczniejszy niezacznie przenika do domu sąsiada. Naprzód osiedlają się pojedynczy koloniści, a jeżeli sąsiedzi temu nie przeszkadzają, a nawet uważają przybyszów za pożądanych, wówczas to przesiedlanie się narodu do sąsiednich krajów odbywa się coraz liczniej i szybciej. Po jakimś czasie naród mniej energiczny, słabiej się mnożący nie stanowi już większości w pewnych okolicach swego terytorjum narodowego. Obcy przybysze, którzy się nie wynarodowili, koniec końców zaczynają się uważać za właścicieli ziem, na których się osiedlili i gdzie się znajdują w większości. I oto wybuchają na tem podłożu zatargi pomiędzy sąsiednimi narodami.

Boć każdy rozumie, że w jednym domu nie może być dwóch gospodarzy. Ostatecznie naród słabszy, nieopatrzny, nie umiejący obronić swojego terytorjum narodowego przed cheiwym i energicznie rozszerzającym się sąsiadem, powoli zostaje wyrugowany ze swoich odwiecznych siedzib. Jeżeli nie umie rozszerzać się z kolei gdzieś na terytorja swych sąsiadów, to prędzej czy później albo zostaje doszczętnie wynarodowionym przez przybyszów, albo musi znosić mnóstwo upokorzeń, musi stać się z pana niewolnikiem, sługą tego, kto go wyzuc potrafił z ojcowizny, z gospodarza we własnym domu jest niecierpianym — komornikiem.

Taki smutny los czeka zatem nie tylko każdego próżniaka i lekkomyślnika, który roztrwoni nieopatrznie ojcowiznę i nie potrafi się obronić przed cheiwym i zabiegliwym sąsiadem, ale i każdy naród, który, dla braku ładu, energii i pracowitości, czy innych swoich wad, nie zdołał oprzeć się zbrojnemu czy pokojowemu wtargnięciu sąsiada na swoje terytorjum narodowe.

Przykładów na poparcie tego, cośmy powiedzieli, jest bez liku.

Irlandczycy dali się naprzód podbić energicznym Anglikom, pozwolili sobie zabrać znaczną część terytorjum narodowego i teraz

wależą o odzyskanie utraconej niepodległości, choć daremnie usiłowałyby wyprzeć Anglików z hrabstwa Ulsterskiego, które ci mają w swem ręku i stanowią tam już większość. Czesi w Austrii, ustępując przed zbrojnym a później pokojowym oporem Niemców, nie stanowią już przeważnej większości w północnych Czechach, skutkiem czego Niemcy uważają się za gospodarzy tej części kraju dawniej czeskiego i dążą do oderwania go raz na zawsze od czeskiego terytorjum narodowego. Ale poco szukać daleko. Na naszej własnej ziemi doskonale można się przypatrzeć temu zbrojnemu i pokojowemu przenikaniu obcych narodów na nasze terytorja narodowe.

Każdy wie, że z Niemcami od 500 lat nie prowadziła Polska wojny, a jednak Niemcy, razem z Austrią i Rosją dokonały zaboru ziem polskich, wiedząc, że Polska jest za słaba, aby się obronić orężem. Zabrać jednak obcy kraj, to jeszcze nie znaczy zniszczyć jego ludność i zająć jej miejsce, Niemcy musieli więc przedsięwziąć inne środki, oprócz orężnych, żeby nas wyprzeć z naszego terytorjum narodowego. Mają oni zadanie znacznie ułatwione, gdyż Polacy, naród miłujący pokój, naród rolniczy, nie tak posunięty w rzemiosłach, sztukach, rolnictwie i urządzeniach miejskich i słabiej zaludniony od Niemiec, sam musiał sprowadzać kolonistów niemieckich. — głównie rzemieślników, którzy osiedlali się po wsiach i po miastach. To też miasta w Polsce były przed kilkuset laty niemieckie i stan mieszczański w Polsce, skutkiem tego, nie mógł się wytworzyć i do dziś dnia go nie masz.

W zaborze pruskim rząd niemiecki popierał energicznie kolonizację niemiecką, głównie przy pomocy t. zw. komisji kolonizacyjnej, która wykupywała z rąk polskich ziemie i odprzedawała ją Niemcom. Skutki tej kolonizacji były dla Polaków bardzo niebezpieczne, gdyż Niemcy, coraz liczniej osiedlając się na naszym terytorjum narodowym, po pewnym czasie mogliby się w Poznańskim osiedlić w większości, jak o się już stało w Prusach Zachodnich i wtedy odwiecznie polskie dzielnice stałyby się niemieckimi, — nasze terytorjum narodowe uszczupliłoby się. Straciwszy ziemię pod nogami, ten najważniejszy fundament polskości, zamienilibyśmy się na bezdomnych włóczęgów, szukających kawałka chleba po całym świecie, podobnie jak dziś Żydzi.

Rosjanie także usiłowali kolonizować nasze kresy wschodnie, ale chłop rosyjski, gorszy rolnik od naszego włościanina, nie tak, jak on pracowity, nie zdołał się długo utrzymać i albo uciekał do Rosji, albo się polszczył zczasem. Ze strony rosyjskiej kolonizacja nie była i nie będzie nigdy dla nas groźna dla powyższych przyczyn,

a także dlatego, że w Królestwie Polskiem zaludnienie jest gęściejsze, niż w Rosji. Całkiem jednak inaczej jest na kresach zachodnich. Zaludnienie w Niemczech jest mniej więcej takie same, jak u nas, ale Niemcy przewyższają nas pracowitością, solidarnością narodową, znajomością rzemiosł, zdolnościami do handlu i do przemysłu, energją, lepszym zrozumieniem własnego i narodowego interesu. Walka przeto z takim przeciwnikiem, który w dodatku ma poparcie własnego potężnego państwa, robiącego mu liczne i ważne udogodnienia, nie jest łatwa. A jednak prowadziliśmy tę walkę, nie uciekając się do żadnych niedozwolonych środków gwałtownych, stawialiśmy opór w Poznaniu temu przenikaniu Niemców na nasze terytorjum narodowe. Tamtejsi właścianie rozumieją już, że, sprzedając swoją ojcowiznę Niemcom, wyrządzają wielką krzywdę swoim rodakom, odbierając im najważniejszą podstawę istnienia narodowego. Wprawdzie ten i ów przyparty koniecznością, złym stanem majątkowym, a co gorsza zlakomiony wysokimi cenami, które płacili Niemcy za ziemię, sprzedawał ojcowiznę; ale tacy ludzie stają się coraz rzadszem zjawiskiem; w ostatnich latach przed wojną ziemia polska bardzo wolno przechodziła w ręce niemieckie i daj Boże w przyszłości zdołamy utrzymać się przy swojej ojcowiznie, mając swoje państwo. Ale żeby skutecznie stawiać opór zalewowi niemieckiemu, niedość jest powiedzieć sobie: „nie damy się“! trzeba jeszcze mieć broń skuteczną w postaci energii, świadomości narodowej, jaką szkodę ponosi naród, jeżeli traci ziemię przodków: trzeba podnosić rolnictwo, żeby Polak gospodarował dobrze i nie lękał się współzawodnictwa niemieckiego rolnika; jego interesy muszą stać tak dobrze, iżby mu nie groziła przymusowa sprzedaż za długi. Słowem trzeba stać się pracowitym, gospodarnym, energicznym, trzeba nauczyć się oszczędności, zapobiegliwości, trzeba gromadzić kapitały, które mogłyby pomóc zagrożonym bez własnej winy właścicielom ziemskim. To jest właśnie ten pokojowy oręż, którym my, Polacy, walczyliśmy o naszą ziemię z Niemcami. Walka ta nie rozegra się w ciągu jednego pokolenia; trzeba ją toczyć bez przerwy dziesiątki, a kto wie nawet, czy nie setki lat z wielkim zaparciem się. Trzeba zrozumieć dobrze i przejąć się do głębi serca tem, że dobro narodowe ma pierwszeństwo przed prywatnem, żeby wzbudzić w sobie ducha obywatelskiego, powiedzieć: „utrzymanie w polskiem ręku polskiej ziemi jest jednym z najważniejszych interesów narodu polskiego, i tego interesu nie wolno nikomu zaniedbywać, naruszać, nawet wówczas, jeżeli mógłby stąd osiągnąć dla siebie korzyści pieniężne“.

Z zadowoleniem możemy powiedzieć, że polski włościanin na zachodnich kresach już rozumie ten interes ogółu, przejmując się nim w stopniu dostatecznym, umie utrzymać, mimo wszystko ziemię pra-ojców w swoim posiadaniu. Trzeba jednak, żeby wszyscy Polacy, we wszystkich dzielnicach Polski, mieli to samo zrozumienie interesu narodowego, żeby sobie utrzymanie ojcowizny poczytywali za jeden z głównych i świętych obowiązków. Wówczas dopiero będziemy mogli mieć tę pewność, że nic nie uronimy z naszego terytorjum narodowego, że nasze dzieci i nasze wnuki będą miały pod sobą ten najważniejszy fundament, jakim jest dla każdego ziemia ojczyzna. I wszystko jedno, czy będziemy zagrożeni przez kolonistę niemieckiego, czeskiego, rosyjskiego, czy jakiegokolwiek innego, to nie zmienia postaci rzeczy; powinniśmy strzec przed każdym obcym ojcowizny, bo, utraciwszy raz nasze terytorjum narodowe, uszczupliliśmy je w jakimś miejscu, gotujemy naszym następcom smutny los bezdomnych, pogardzanych tułaczów, albo też zmusimy ich do wyparcia się wiary i mowy pra-ojców.

Utrzymanie ziemi polskiej w polskiej ręku stanowi przeto jeden z naczelných interesów narodowych polskich, o tem każdy Polak nie powinien ani na chwilę zapominać.

PODZWIGNIJMY ROLNICTWO POLSKIE.

I. W b. Królestwie Polskiem.

Praca rolnika wytwarza produkty, będące podstawą bytu człowieka; w przeglądzie wytwórczości polskiej i jej najpilniejszych potrzeb wytwórczość tę musimy przeto postawić na pierwszym miejscu.

Ojczyzna nasza, rozdarta na trzy zabory, znajdowała się od stu lat w niejednakowem położeniu na całym swym obszarze, stąd też rozwój rolnictwa kroczył odmiennymi drogami w każdym zaborze, a wyniki osiągnięte w tej dziedzinie nie są wszędzie jednakie. W rozdziale tym musimy sobie odpowiedzieć na następujące pytania:

Jak wielką jest wytwórczość rolna w całej Polsce?

Czy Polska może dostаточно wyżywić wszystkich swych synów?

Co należy zrobić dla podniesienia wytwórczości rolnej w Polsce, ażeby starczyło płodów nie tylko dla wzrastającego ciągle zaludnienia, ale żeby można nadmiar sprzedać sąsiadom i tą drogą zdobyć środki do zaspokojenia innych potrzeb?

Rzućmy naprzód okiem na stan rolnictwa w Królestwie Polskiem i porównajmy jego wytwórczość z innemi dziedzinami Polski.

Niezadługo po uwłaszczeniu włościan rolnictwo u nas stanęło wobec doniosłych zmian. Włościanin zdobył gotówkę i stał się, podobnie jak większy właściciel, pozbawiony pracy pańszczyźnianej, która zaspokajała większą część jego potrzeb, nabywcą wytworów fabrycznych. Pociągnęło to za sobą z jednej strony upadek wielu gałęzi przemysłu włościańskiego, z drugiej zaś oddzielenie się przemysłu wogóle od rolnictwa. Odtąd rolnictwo stało się niezależną gałęzią pracy i musiało liczyć już na własne siły, żeby nie ulec w walce z wyżej rozwiniętą wytwórczością rolną zachodnich krajów, zwłaszcza Ameryki, która, rzuciwszy nagle na rynki europejskie wielkie ilości swojej pszenicy, wywołała gwałtowny spadek cen na zboże.

Rolnictwo w Królestwie przetrwało to ciężkie przesilenie, głównie dzięki temu, że średni właściciele parcelowali zagrożone majątki

i odprzedawali je włościanom, a także dzięki temu, że przeszło do bardziej intensywnych systemów gospodarstwa. Rozwinęły się: hodowla i mleczarstwo. powstały krochmalnie, cukrownie i t. d., uprawiać poczęto więcej traw, grochu, nasion oleistych, pozakładano towarzystwa i syndykaty rolnicze, spółki i kooperatywy włościańskie. Słowem, podnoszono kulturę rolną z jednej strony, z drugiej zaś pomagano rolnictwu przez dostarczenie rolnikom tanich nasion, narzędzi, nawozów sztucznych i t. p.

Chociaż rolnictwo nasze, dzięki wymienionym środkom, uniknęło ruiny, to jednak w ostatnich kilkunastu latach przed wielką wojną zaszła tu bardzo doniosła zmiana. Oto w ciągu 19-go wieku Królestwo nie tylko samo się wyżywiało, ale jeszcze mogło wywozić za granicę swoje płody rolne. W końcu zaś zeszłego stulecia zaczęto, przeciwnie, wwozić do nas więcej zboża (zwłaszcza mąki rosyjskiej), niż go wywożono. Już w r. 1898 przewyżka dowozu nad wywozem wynosiła zgórą 17 milionów pudów. Znaczy to, że od owej przelomowej chwili zaczęliśmy więcej zjadać, niż wytwarzać na roli, a więc przestaliśmy sami sobie wystarczać. I o tem należy pamiętać.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat obszar gruntów rolnych ciągle się powiększał, a lasów zmniejszał. Przeznaczenie gruntów ulegało licznym zmianom. Zwiększała się ilość gruntów branych pod ziemniaki, żyto, pszenicę, owies i buraki cukrowe. Najwięcej gruntów było pod żytem i pod owsem. Gruntów mieliśmy ogółem 22 miliony morgów; z czego ornych 12.358.000 morgów, lasów 3.960.000 morgów, łąk 1.758.000 morgów, pastwisk 1.482.000 morgów. Reszta znajdowała się pod placami, budowlami, ogrodami i nieużytkami. Na tych obszarach wytworzyliśmy w roku 1913 w okrągłych liczbach następujące ilości ziemiopłodów, wyrażone w kwintalach (kwintal, czyli centnar metryczny, ma 100 kilogramów, czyli około 6 pudów):

Pszenicę zebrano	6.600.000	centnarów metr.
Żyta	23.700.000	„ „
Owsa	12.500.000	„ „
Jęczmienia	6.600.000	„ „
Gryki	700.000	„ „
Grochu	1.700.000	„ „
Prosa	400.000	„ „
Kartofli	106.300.000	„ „
Buraków	13.000.000	„ „

Siana zebrano	23.000.000 centnarów metr.
Linu i konopi	300.000 „ „

To nam daje pojęcie, ile wynosiła nasza wytwórczość rolna. Ale o stanie i dojrzałości, że tak powiem, rolnictwa w naszej dzielnicy te liczby nie nam nie mogą powiedzieć. Trzeba więc wyjaśnić, że jakkolwiek plon średni z morga w ostatnich dziesięcioleciach podniósł się znacznie, to jednak jest on daleko mniejszy od przeciętnego plonu nie tylko w Europie zachodniej, ale nawet w dobrze zagospodarowanych dzielnicach Księstwa Poznańskiego. Zato ten przeciętny plon u nas znacznie przewyższa średnie plony w Rosji Europejskiej.

Następująca tabliczka jest bardzo pouczająca dla tych, którzy zadadzą sobie ten trud, żeby się w nią baczniej przeczytać. Widzimy bowiem na niej liczby, wykazujące, jaki jest przeciętny plon w różnych dzielnicach Polski i w różnych krajach Europy, gdzie rolnictwo stoi bardzo wysoko. Tabliczka ta zatem pokazuje nam, na jakim stopniu rozwoju w porównaniu z innymi krajami stoi rolnictwo u nas i co trzeba jeszcze zrobić, żeby tym, wyżej postawionym krajom dorównać w wytwórczości rolnej.

Lata 1911—12	Król. Pol.	Galicja	Poznańskie	Prusy król.	Litwa i Białoruś	Ruś	Austria	Niemcy	Anglja	Francja	Belgja	
	zebrano z jednego hektara centnarów metr. (6 pud.)											
Pszenyicy . . .	13	13	22	23	6 do 15	10 do 14	13	21	23	14	26	
Żyta	11	12	18	16	7— 9	8—12	13	18	—	10	23	
Jęczmienia . .	13	12	23	23	5— 8	9—12	15	20	18	14	29	
Owsa	10	10	23	20	5— 9	10—12	12	14	17	13	24	
Ziemniaków . .	78	107	156	126	50	76	74—86	92	150	162	84	176

Widzimy zatem, że nawet Poznańskie, tak bardzo posunięte naprzód, że wyprzedziło wszystkie ziemie polskie, nie dorównywa swoją produktywnością Belgji, a stoi jedynie na poziomie Anglji i Niemiec. Jest to jednak już bardzo wiele i życzyłyby należało, żeby pozostałe dzielnice, a przedewszystkiem Galicja i czarnoziemne nasze Kujawy, oraz Sandomierskie, gdzie są przednie grunty, dorównało tamtej dzielnicy. W takim razie wytwórczość rolna Polski niezmiernieby się podniosła. Jeszcze więcej pozostaje do zrobienia na Litwie i na Białorusi, gdzie, jak widać z powyższej tabliczki, bardzo jeszcze mało uczyniono dla podniesienia rolnictwa.

O środkach, jakich po temu użyć należy, będziemy mówili na samym końcu rozdziału.

W okresie czasu od roku 1867 do 1909 obszar uprawny w Królestwie nieco się rozszerzył, obszar łąk zmniejszył się, pastwisk powiększył, a nieużytki zmniejszyły się nieomal o jedną trzecią część. W lasach też mamy znaczny ubytek, bo o jedną czwartą. Co do przeznaczenia gruntów, to ulegało ono licznym przemianom. W 1913 roku pod żytem, owsem i kartoflami znajdowało się trzy czwarte ogólnej powierzchni rolnej. Największą przestrzeń zajmuje uprawa żyta: drugie miejsce co do obszaru owsa, trzecie ziemniaków, czwarte dopiero pszenicy. Jęczmień stoi na piątym miejscu.

Wydajność gruntów w Królestwie ciągle się zwiększała. Dla porównania powiemy, że np. żyta z jednego morga w r. 1900 zebrano około 20 pudów, w r. zaś 1913 już nieomal 37 pudów. Kartofli w r. 1900 282 pudów, a w r. 1913 331 pudów. Postęp jest więc niezaprzeczony. Ale pomimo to plon ten jest jeszcze daleko mniejszy, niż w Europie zachodniej. W produkcji pszenicy pierwsze miejsce zajmuje ziemia lubelska (Hrubieszowskie), drugie ziemia warszawska (Kujawy), ostatnie ziemia suwalska i łomżyńska.

Mówiąc o rolnictwie, trzeba też wziąć pod uwagę leśnictwo. Przed wojną lasy w Królestwie zajmowały piątą część z okładem całego obszaru, ale Niemcy porobili w nich wielkie spustoszenia, wywożąc za kilkanaście miliardów marek drzewa. Nasze drzewo szło przed wojną, jako kłocce, belki, krokwie, podkłady kolejowe, klepki i t. d. Wisłą do Gdańska. Częściowo tylko obrabiano materiał drzewny na miejscu.

Lasów u nas jest znacznie mniej, niż w Niemczech i we Francji. Zaniedbujemy, ku wielkiej naszej stracie, korzystać z nasion leśnych, grzybów i jagód, które jada za granicę i po przerobieniu tam wracają do nas. Musimy zwrócić baczną uwagę na nasze gospodarstwo leśne i zatrzymać w kraju miljonowe zyski, które z tego źródła ciągnęli obcy.

Ogrodownictwo, sadownictwo i warzywnictwo nie jest należycie rozwinięte. Wywoziliśmy z Królestwa 6 tys. pud. jabłek, a przywoziliśmy 663 tys. pud. (w 1911 r.), gruszek zaś 83 tys. pud., śliwek 144 tys. pud. (wywóz 31 tys. pud.), cebuli przywożono do Królestwa 318 tys. pud. (wywożono 83 tys. pud.).

Co do hodowli, to nie stała ona na zadowalającym poziomie w Królestwie. Koni w 1900 r. liczono 1,392,000, w 1912 r. tylko 1,235,000, z czego przynajmniej trzecią część zabrali nam Niemcy.

Trzeba więc bardzo podnieść hodowlę koni, żeby pokryć zezasem tę stratę.

Bydła rogatego w 1912 r. mieliśmy 2 miliony 210 tysięcy sztuk, a i tutaj skutkiem wojny straciliśmy nieledwie połowę; w każdym razie jedną trzecią część. Trzeba przytem zauważyć, że od 1890 r. liczba bydła rogatego ciągle spadała i od r. 1890 do 1912 zmniejszyła się z 3 milionów na 2 miliony 200 tysięcy, t. j. o jedną czwartą. Jeżeli więc mięso wołowe nie ma się stać niedostępnem dla ludności uboższej, to trzeba hodowlę tę podnieść.

Owiec, które się mniej teraz oplacają, mieliśmy w 1912 roku 838 tysięcy (w 1890 r. zaś 3.755.000). Upadek ten wywołał dowóz taniej wełny i baraniny z Rosji, ale teraz Rosja nie ma, więc musimy hodować więcej owiec, jeżeli chcemy mieć materiał surowy dla fabryk wełnianych.

Podobnie w ostatnich latach przed wojną upadła hodowla świń. W 1900 r. liczone w Królestwie 1.400.000 świń, w 1912 tylko 588.000.

Ponieważ i tu zasilala nas Rosja, która skutkiem gospodarki bolszewików jest doprowadzona na długie lata do ruiny i sama jeść co nie ma, więc podniesienie hodowli nierogacizny do poprzedniej wysokości staje się ważną potrzebą krajową.

Hodowla drobiu, produkcja jaj i mleczarstwo rozwijało się dobrze, ale jest to źródło mało jeszcze wyzyskane i możnaby zeń ciągnąć znaczniejsze, niż dotąd, zyski.

Gospodarstwo rybne jest niedostatecznie rozwinięte. Ryby drogie, niedostępne dla ogółu. Raków możnaby dużo wywozić, gdyby je hodowano. Z myśliwstwa nic prawie nie mamy, bo ochrona zwierzyny jest niedostateczna i kłusownictwo się rozwieliło. Trzeba temu zaradzić.

Pomiędzy rokiem 1900 a 1913 ceny ziemi w Królestwie wzrosły wdwójnasób, a prawdopodobnie po wojnie będą wzrastały dalej.

Dokonałiśmy krótkiego przeglądu stanu rolnictwa w Królestwie i jego potrzeb, ale dopiero wówczas dowiemy się, co jeszcze u nas pozostało do zrobienia w tej dziedzinie, kiedy się przypatrzemy Pozańskiemu i Śląskowi.

II. Rolnictwo w dzielnicach zachodnich Polski.

W Prusach Zachodnich już w r. 1799 zniesiono pracę pańszczyźnianą; zato na Śląsku, który dawno odpadł był od Polski, położenie włościan pod batem pruskim było okropne, nieporównanie gorsze, niż u nas.

Ziemie b. zaboru pruskiego, znajdując się pod panowaniem państwa, które dbało bardzo o podniesienie rolnictwa u siebie, odznaczają się dziś daleko wyższym poziomem gospodarstwa, niż rolnictwo w Królestwie, nie mówiąc już o Litwie i Rosji.

Gleba w zachodnich naszych dzielnicach z natury nieosobliwa, ale klimat tamtejszy, wilgotniejszy, lepiej sprzyja rolnictwu. Kultura rolna dosięgła tam znacznej wysokości. Panuje tam gospodarka intensywna, która wymagała powiększenia inwentarza, użycia nawozów sztucznych, płodozmianu, drenowania, przemysłu rolnego, dobrych narzędzi, ułatwień kredytowych, dobrych dróg i t. d.

Wszystko to Poznańczycy mają u siebie.

Gospodarstwa włościańskie dotrzymywały kroku większej własności. Włościanin poznański pracuje na podstawie naukowej, stosując płodozmian i nawozy sztuczne; ma dobre narzędzia, hoduje konie i nierogaciznę, uprawia pod miastami warzywa i t. d.

Pragnęlibyśmy, żeby Królestwo i Galicja jak najprędzej dorównały Poznańskiemu.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia w tej dzielnicy produkcja rolna.

Naprzód jednak podamy, jak jest podzielony cały obszar Księstwa Poznańskiego według przeznaczenia gruntów.

Otóż, przestrzeń ta, wynosząca 2.897.000 hektarów¹⁾, była zużytkowana, jak następuje:

Na 100 hektarów było: pod rolą 63, pod łąkami 8, pod pastwiskami 3 z okładem, pod lasami 20, reszta pod budynkami, ogrodami, drogami, wodą i t. d. W Poznańskim nieużytków wcale niema. Nie zajmuje się więc w tej dzielnicy nowych obszarów pod pług, ale się ciągle podnosi wydajność z morga, a także dochód z pomocniczych gałęzi rolnictwa, jak z hodowli, z przemysłu rolnego i t. d.

Zobaczmy, jaka przestrzeń znajduje się pod uprawą w różnych dzielnicach Polski:

W Poznańskiem jest pod rolą 63 morgi na każde 100 morgów obszaru, w Królestwie 56, w Galicji 48, w Prusach Zachodnich 55, na Rusi 54, na Litwie i Białorusi tylko 31 (lasów zato jest tam 33 morgi na 100).

W Prusach Zachodnich (Królewskich), mających obszaru 2 mil. 553 tysiące hektarów, przypadło na każde 100 hektarów: roli 55 hektarów, łąk i pastwisk 17, lasów 22.

¹⁾ Hektar ma 10 tys. metr. kwadr. czyli jedna i ośm dziesiątych morga. Morg trochę więcej niż 1/2 hektara.

Na Śląsku Górnym z ogólnej przestrzeni 1.323.000 hektarów role zajmowały 53 na 100 jednostek obszaru, lasy 29.

We wszystkich czterech dzielnicach zachodnich Polski na każde 100 hektarów obszaru znajduje się średnio 57 hektarów pod uprawą. — Największa przestrzeń w dzielnicach zachodnich jest wzięta pod uprawę żyta, jak u nas w Królestwie, potem pod ziemniaki. Owies zajmuje trzecie miejsce z rzędu, czwarte jęczmień, piąte pszenica.

Co do inwentarza, to można w ogólności powiedzieć, że w dzielnicach zachodnich liczba koni, bydła, świń stale wzrastała. Jest tam jednak w porównaniu z Królestwem mniej koni i bydła; najwięcej bydła przed wojną miała Galicja, najmniej Królestwo. Owiec i nierogacizny najwięcej było przed wojną w dzielnicach zachodnich, świń najmniej było w Królestwie.

Ceny ziemi w Poznańskim były przed wojną dwa razy wyższe, niż w Królestwie, co najlepiej świadczy, że rolnik tańtejszy potrafi wyciągnąć z niej daleko większy dochód, niż u nas, chociaż, co prawda, kapitał przynosi tam mniejszy odsetek, niż u nas, co także należy brać pod uwagę.

III. Rolnictwo w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim.

Galicja, posiadająca wyborowe gleby, dużo lepsze niż zabór pruski, a nawet Królestwo, zaledwie dorównywała naszej dzielnicy swoją wytwórczością rolną. Niższość Galicji staje się tem bardziej uderzającą, jeżeli ją porównać ze wzorowo zagospodarowanemi Czechami. A jednak rolnik galicyjski korzystał z opieki rządu. To poparcie, pozwalając na powiększenie dochodowości majątków drogą uboczną, nie przyczyniło się jednak do postępu w rolnictwie.

Skoro rolnik galicyjski nabierze wiedzy rolniczej, której mu brak, i zacznie gospodarować intensywnie, to wydajność rolniczą Galicji uda się podwoić.

Co do włościan, to, dzięki swym własnym usiłowniom, zrobili oni znaczny postęp od 1850 r., kiedy gospodarka chłopska była jeszcze w pieluchach. Dziś włościanin stosuje nawozy sztuczne; w ostatnim dziesięcioleciu rozpowszechniła się uprawa roślin pastewnych, chów nierogacizny i bydła, a z nim rozwinęło się mleczarstwo. Od najprostszych narzędzi chłop przeszedł w tym okresie do ulepszonych. Dzięki wzrostowi oświaty i uświadomienia politycznego, licznym stowarzyszeniom i kółkom rolniczym, dziś włościanin galicyjski na zachodzie sam już nieźle gospodaruje, często lepiej, niż jego sąsiad-obszarnik na kilkuset morgach. Ale gospodarstwo włościańskie w Galicji wschodniej ustępuje znacznie zachodnio-galicyjskiemu.

Na Śląsku Cieszyńskim jest inaczej, niema tam bowiem zupełnie średniej własności ziemskiej; są tam tylko polscy włościanie i Niemieccy wielcy posiadacze. Uprawa roli stoi na tym poziomie, co w Galicji.

Obszar gruntów galicyjskich, wynoszący ogółem 7.840.000 hektarów, był podzielony według użytku, jak następuje: na każde 100 hektarów przestrzeni było pod rolą 48 hektarów, pod lasami 26, pod łąkami i pastwiskami 21. Reszta pod placami, ogrodami, nieużytkami, wodami i t. d.

Na Śląsku Cieszyńskim przestrzeń, znajdująca się pod uprawą, a wynosząca 228 tysięcy hektarów, tak się dzieliła według przeznaczenia: roli było 108 tysięcy hektarów (47 na 100), łąk 5 na 100, lasów 31 na 100, pastwisk 11 na 100, wreszcie nieużytków (góry) 3 na 100.

Jeżeli chcemy sobie wyrobić pojęcie o wydajności z hektara w Galicji, to powróćmy do tabliczki na str. 53. Stamtąd widać, że co do pszenicy np., to w Galicji zbierano z jednego hektara dwa razy mniej, niż w Prusach Zachodnich, w Belgji lub Holandji o wiele mniej, niż w Poznańskim. Tak samo wydajność żyta, jęczmienia i owsa z hektara, podobnie jak w Królestwie, jest bardzo mała.

Tylko co do wytwórczości kartofli Galicja stoi wyżej od Królestwa, a nawet Poznańskiego, chociaż ustępuje znacznie Niemcom. Zbiór siana łąkowego jest także niemal dwukrotnie niższy, niż w Poznańskim. To samo da się powiedzieć o burakach cukrowych i o konioczynie.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę te liczby, to dojdziemy do przekonania, że rolnictwo w Galicji znajduje się jeszcze w bardzo średnim stanie i że możnaby, przy umiejętnej gospodarce, zebrać w tym kraju dwa razy więcej ziemiopłodów, niż przed samą wojną, a więc jest tam jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Co do lasów, to Galicja jest w nie znacznie bogatsza, niż Królestwo: zajmują one więcej, niż czwartą część powierzchni kraju, a na Śląsku Cieszyńskim jest ich jeszcze więcej. Ale gospodarstwo leśne, z wyjątkiem wielkich majątków, było prowadzone licho. Mniej niż połowa drzewa galicyjskiego idzie na użytek budulcowy i przemysłowy, więcej zaś idzie na opał.

Galicja wpośród wszystkich krajów byłego cesarstwa austriackiego najwięcej dawała koni. Liczono tam zgorą 900.000 koni przed wojną. Wojsko austriackie prawie wyłącznie zaopatrywało się w konie w Galicji. Konie tamtejsze należą do swoistej rasy polskiej, mającej domieszkę krwi arabskiej. W Galicji zachodniej hodowlą dobrych koni zajmowali się także i włościanie zamożniejsi. Porównyując jednak hodowlę bydła w Galicji z hodowlą w innych krajach, trzeba zaznaczyć, że choć było tam dużo rogacizny, to nie wystarczała ona na potrzeby krajowe. W Galicji na 100 hektarów ziemi przypadało tylko 45 sztuk bydła, podczas gdy w Austrii było 50 sztuk, w Niemczech 58, w Holandji zaś 94, a w Belgji 98. W dodatku, skutkiem bezmiernych rekwiizycyj podczas wojny liczba bydła w Galicji zmniejszyła się bardzo znacznie, strata w niektórych powiatach dochodziła do połowy,

a przeciętnie dla całego kraju wyniosła około 40 odsetek, to jest nieco mniej niż połowę. Brak ten należy dopełniać usilnie, ażeby dojść chociażby do tego stanu mało zadowalającego, jaki tam panował przed wojną. Daleko lepiej przedstawiał się chów nierogacizny w Galicji, zaspokajada ona nie tylko potrzeby krajowe, ale pozwalala jeszcze wywozić świnie poza granice kraju, dając znaczny dochód rolnikowi. Hodowlą zajmowali się przeważnie włościanie, czerpiąc stąd znaczne zyski. W górach zwłaszcza prowadzi się w Galicji hodowla owiec, przeważnie na mięso i skóry, nie zaś na wełnę. Ale hodowla owiec upada tam dość szybko. Sery owcze i bryndza wyrabia się przeważnie w okolicach górskich. Hodowlę drobiu prowadzi się zarówno w większych, jak w mniejszych gospodarstwach, ale poziom jej nie jest bynajmniej wysoki, chociaż jaja, drób i pierze stanowiły znaczny przedmiot wywozu. Galicja miała około półtora miliona krów mlecznych, które dawały około 1000 litrów (kwart) mleka rocznie na sztukę. Nie jest to zadowalająca wydajność i możnaby ją podwoić. Wyrób masła i serów mógłby dawać znaczne zyski krajowi temu w przyszłości, gdyby się postarano podnieść mleczarstwo.

Pszczelnictwo, zwłaszcza w Galicji wschodniej, zaczynało się ładnie rozwijać przed wojną. Pszczoły hodują przeważnie włościanie, nauczyciele i księża. Gospodarstwo rybne, od czasu wydania ustawy rybackiej w 1887 r., uporządkowało się i znacznie ulepszyło. Są tam różne gatunki ryb, gdyż istnieją w kraju górskie potoki, gdzie hodować można ryby pstrągowe i lososiwate. W stawach zachodniej Galicji jest prowadzone racjonalne gospodarstwo rybne, hodują przeważnie karpie. We wschodniej zaś Galicji oprócz ryb jest dużo raków, które wywożono za granicę i czerpano stąd ładny dochód.

Myśliwstwo w Galicji, tak jak w Królestwie, jest raczej rozrywką, niż dochodową gałęzią gospodarstwa.

IV. Rolnictwo w dzielnicach wschodnich.

Skończywszy przegląd rolnictwa w Królestwie, w b. zaborze pruskim i austriackim, musimy pokrótce zająć się także rolnictwem na wschodnich kresach Rzeczypospolitej, na Litwie, na Białorusi, w Inflantach, Kurlandji i na Rusi właściwej czyli na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Kraje wymienione noszą najsilniejszą cechę rolniczą, bo przemysł w nich jest jeszcze bardzo mało rozwinięty. Panuje tam gospodarstwo t. zw. ekstensywne, w przeciwieństwie do krajów zachodnich, gdzie się gospodaruje intensywnie. Przestrzenie zajęte pod rolę zajmują w dziel-

niach wschodnich zaledwie jedną trzecią całkowitego obszaru, a w dodatku znaczne przestrzenie leżą pod ugorami, gdyż panuje tam jeszcze t. zw. trzypółwka. Dlatego to przy gospodarstwie intensywnem i wyzyskaniu pod uprawę całego zdatnego obszaru, plony dałoby się tam wielokrotnie pomnożyć. Na urodzajnych obszarach Rusi ludność rolnicza korzysta z przyrodzonej urodzajności gruntów, przeważnie czarnoziemnych, które i przy ekstensywnej gospodarce dają obfite plony. Litwę ze Żmudzią i Białoruś można podzielić na dwa obszary: Południowy z Polesiem, gdzie kultura rolna znajduje się jeszcze na bardzo niskim poziomie i gdzie zaludnienie jest małe, i na północny, lepiej zaludniony, o wyższej technice rolnej. W porównaniu jednak z Rosją właściwą poziom rolnictwa stał tu wyżej.

W tych krajach włościanie po uwłaszczeniu otrzymali większe działki gruntów, i głód ziemi odczuwają znacznie słabiej, niż inne dzielnice b. Rzeczypospolitej. Sadownictwo jest tam znacznie lepiej postawione, niż w Królestwie. Mleczarstwo także dobrze się przed wojną rozwijało; duże maślarnie, postępowo prowadzone, wysyłały masło do Anglii za dobre pieniądze. Wielką mlecznością odznaczają się tamtejsze krowy rasy litewsko-białoruskiej, mało wymagającej. Równiny na Podolu nadają się do prowadzenia na wielką skalę hodowli bydła. Produkcja jaj i drobiu była znaczna. Wywożono dzięki licznym jeziorom dużo raków do Niemiec, ale gospodarstwo rybne niedość było rozwinięte dla braku odpowiednio wykształconych fachowców. Myśliwstwo zato, z powodu obecności obszernych lasów, traktowano tam poważniej i ciągnięto z niego znaczny dochód. Podobnie też leśnictwo stanowiło poważne źródło dochodów w gospodarstwach. Zysk z lasów pozwolił nieco zaniedbywać gospodarstwo rolne. Drzewo spławiano Niemnem i Dźwiną do portów Bałtyckiego morza, skąd wywożono je statkami do Europy zachodniej. Dnieprem zaś spuszczano je do pozbawionych lasów gubernij południowych państwa rosyjskiego. Ale leśników fachowych jest tam brak wielki, stąd też leśnictwo nie daje takich dochodów, jakieby dać powinno.

W Kurlandji gospodarstwo rolne stoi lepiej. Nabiał, hodowla owiec i leśnictwo dawały tam niezłe zyski posiadaczom majątków większych, a także włościanom.

Rusi (nazwa ta obejmuje Wołyń, Podole i Ukrainę) nie można w całości rozpatrywać, gdyż dzieli się ona naturalnie na trzy okręgi: Poleski, zajmujący północną część Wołynia i Ukrainy, ma duże obszary błot, moczarów i nieużytków, a rolnych gruntów mało. Drugi okrąg, lesisto-stepowy, zajmujący większą część Rusi, ma znakomitą glebę

i dużo gruntów ornych. Tutaj uprawia się sławna pszenica podolska i burak cukrowy. Trzeci wreszcie okrąg, stepowy, wytwarza głównie zboża i kukurydzę, tę ostatnią zwłaszcza nad Dniestrem, na Podolu.

Gospodarstwo rolne na Rusi może się w przyszłości świetnie rozwijać. Dziś jednak panuje tam jeszcze gospodarka ekstensywna w porównaniu z dzielnicami zachodnimi. Na Wołyniu możnaby pobudować liczne cukrownie, bo buraków tam rodziłyby się dość po temu. Możliwe także podnieść bardzo wysoko hodowlę bydła rogatego i świń, pozakładać obszerne sady na żyznych gruntach ruskich. Ale trzeba by tam pobudować liczne koleje. W takim razie rozwinęłyby się na Rusi także mleczarstwo, hodowla drobiu. Ma się rozumieć, należałoby tam porobić wielkie nakłady, zaprowadzić gospodarstwo intensywne, pozakładać różne zakłady przemysłowe, obrabiające produkty rolne krajowe, a głównie rozszerzyć oświatę między tamtejszym barbarzyńskim ludem, który, niestety, dał dowody wielkiej swojej dzikości. Zbyteczne dodawać, że Ruś, nie wyłączając Polesia, wystarcza zupełnie na swoje potrzeby i nawet dużo wywoziła pszenicy do nas i do Rosji. Jest to wielka spiżarnia dla całej Europy, która mogłaby wyżywić trzy, a nawet pięć razy liczniejsze rzesze, niż te, jakie obecnie tam mieszkają. Jeżeli wziąć cały obszar kraju pod uwagę, to wypadnie z obliczeń, że na Litwie i Białorusi znajduje się pod rolą zaledwie jedna trzecia część obszaru, na Rusi zaś więcej niż połowa, na Podolu nawet 7 dziesiątych obszaru jest pod pługiem. Na Litwie i Białej Rusi uprawiano najwięcej żyta i owsa. Na Rusi zaś żyta, pszenicy i owsa, ziemniaków znacznie mniej, niż u nas i w dzielnicach zachodnich. Co do wydajności gruntów, to jedynie Podole i Ukraina, gdzie grunty są znakomite, dorównują wydajnością z morga Królestwu Polskiemu, które przecież w porównaniu z dzielnicami zachodnimi nie jest bynajmniej najlepiej zagospodarowanym. Ile możnaby otrzymać z morga, gdyby na tych doskonałych, czarnoziemnych gruntach gospodarować tak jak w Poznańskim?

Z ziem litewsko-białoruskich najlepiej stoi gospodarka na Żmudzi i w Kurlandji.

Hodowla inwentarza przed wojną ciągle się w dzielnicach wschodnich powiększała. Owce hodują tam dość licznie i włościanie.

W r. 1912 było we wszystkich dzielnicach wschodnich: koni 3.893.000, bydła rogatego 7.134.000, owiec 5.200.000, świń 4.466.000 sztuk.

Na Litwie i Białorusi własność włościańska stanowiła przed wojną połowę całego obszaru, szlachecka nieco więcej, niż jedną trzecią. Na Rusi szlachta ma mniej, niż na Litwie, bo tylko jedną trzecią, a ten

obszar zmniejszył się skutkiem wywłaszczeń Polaków i niszczenia bezlitosnego folwarków polskich przez ukraińskich włościan.

Na tem skończyliśmy przegląd stanu rolnictwa w różnych dzielnicach Rzeczypospolitej Polskiej historycznej. Teraz, wiedząc, jak się rzeczy mają, zastanówmy się nad drugim z kolei pytaniem. Czy Polska może dostаточно wyżywić wszystkie swoje dzieci?

Ażeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, należy obliczyć, ile ziemiołódów zebrano przed wojną na obszarach, zamieszkałych przez ludność polską i zobaczyć, ile przypada tych ziemiołódów na każdego mieszkańca.

Otóż obliczenia zbiorów przedstawiają się, jak następuje:

Tablica zbiorów w całej Polsce w roku 1913.

Liczby podane są w tysiącach centnarów metrycznych¹⁾.

	Król. Polskie	Dzieln. zach.	Galicja i Ciesz.	Dzieln. wsch.	Ogółem
Pszenica	6600	5100	7700	17300	36700
Żyto	23700	24600	8800	42200	99300
Jęczmień	6600	6200	3800	11900	28500
Owies	12500	10600	7000	23700	58800
Ziemniaki	106300	99600	53800	80600	340300
Gryka i proso . .	1100	—	600	6500	8200
Strączk. rośl. . .	1700	—	1100	4600	7400
Buraki cukrowe . .	15000	34700	1600	50400	101730
Len i konopie . .	300	—	100	1300	1500
Rzepak ²⁾	—	—	70	300	370
Siano i koniec . .	23600	38900	26800	75500	164800
Buraki pastewne . .	—	—	8600	—	8600
Kukurydza	—	—	700	2200	3000
Słoma	114000	110000	60000	230000	500000 około

Pamiętajmy, że liczby, podane w powyższej tablicy, wyrażają tysiące centnarów metrycznych. Jeżeli więc chcemy wiedzieć, ile np. zebrano w Królestwie pszenicy, to czytamy: 6.600.000 centnarów metrycznych, to jest 6 razy tyle pudów, a mianowicie 39.600.000 pudów.

Liczby powyższe można wyrazić nie w tysiącach centnarów, ale w centnarach, wówczas będzie. Pszenicy w Królestwie wyprodukowano 6.600.000 centnarów metrycznych, albo 39.600.000 pudów rosyjskich.

Podajemy to małe objaśnienie, żeby czytelnik nie popełnił jakiej pomyłki, odczytując liczby z tablicy.

¹⁾ Liczby powyższe należy pomnożyć przez 6, a rezultat wypadnie w tysiącach pudów.

²⁾ Kreski oznaczają, że zbiór nieobliczony.

Wiemy zatem w przybliżeniu, ile ziemiopłodów otrzymano przed samą wojną na wszystkich ziemiach, które dawniej wchodziły w skład Rzeczypospolitej Polskiej, gdyż włączono tutaj także Ruś.

Lasów przed wojną było na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej:

W Królestwie Polskiem	2.300.000 hektarów
W dzielnicach zachodnich	1.746.000 ..
W Galicji ze Śląskiem Cieszyńskim	2.086.000 ..
W dzielnicach wschodnich	13.026.000 ..

Razem w granicach dawnej Polski było lasów 19.158.000 hektarów, licząc hektar po niecałe dwie morgi (jedna morga i osiem dziesiątych).

Co do inwentarza żywego, to było na całym obszarze ziem wchodzących w skład Polski przedrozbiorowej:

Koni	6.872.000 sztuk
Bydła	14.381.000 ..
Owiec	7.518.000 ..
Świń	10.192.000 ..

Ubytek w lasach, wyrąbanych na potrzeby wojenne i zrabowanych przez Niemców, jest wielki. Ale większy jeszcze w inwentarzu żywym. Koni straciliśmy mniej więcej połowę, bydła rogatego około jednej trzeciej części, nierogacizny ze dwie trzecie (w samej Galicji świń ubyło do połowy roku 1918 63 na 100, czyli milion zgóra). Największe straty w inwentarzu poniosły obszary dworskie.

Obliczyliśmy zatem w przybliżeniu, ile ziemiopłodów zebrano na ziemiach historycznej Polski, a teraz podajemy, ile z tego przypadało na każdego mieszkańca.

Liczyb te znajdujemy w poniższej tabelce:

W 1912 roku	Na jednego mieszkańca przypadało dziennie w gramach (funt 400 gr.)	
	zbóż rozmaitych	ziemiaków
W Król. Polskiem	660 gramów	1150 gramów
W dzieln. zachodnich	1250 „	2070 „
W Galicji ze Śląskiem Ciesz.	550 „	880 „
W dzieln. wschodnich	630 „	440 „
Na wszystkich ziemiach	710 gramów (funt i 3 ćwierci)	880 gramów (zgóra 2 funty)

Ale ilość żywności jest znacznie większa, gdyż nie policzyliśmy tutaj ani strączkowych, jak np. grochu, bobu, ani gryki, ani prosa, ani warzyw, które, jak np. kapusta, są spożywane w znacznych ilościach przez mieszkańców. Do tego dodać trzeba jeszcze owoce, mleko, masło, ser, jaja, drób, ryby, zwierzynę. Jeżeli to wszystko wziąć pod kredkę, to wypadnie znacznie większa ilość żywności na głowę, jak podana w tabliczce.

Świadczy to dobitnie, że pomimo gospodarki, która była jeszcze daleką od doskonałości, ziemie polskie mogłyby się łatwo same wyżywić, nie biorąc od sąsiadów. Ale jak powiedzieliśmy, nie można myśleć o dniu dzisiejszym, boć, jak wiadomo, zaludnienie w Polsce szybko wzrasta. ą rolnictwo podczas wojny mocno podupadło. To nam każe rzucić okiem w przyszłość i zadać ostatecznie pytanie z owych trzech, jakie postawiliśmy na początku niniejszego rozdziału: co należy zrobić dla podniesienia wytwórczości rolnej w Polsce?

Jeżeli potrafiłibyśmy w ciągu kilkunastu lat najbliższych pomnożyć znacznie wytwórczość, to zdobylibyśmy środki na wyżywienie tych z pomiędzy naszych rodaków, którzy muszą w poszukiwaniu kawałka chleba wyjeżdżać za morze, albo też zaofiarować naszą pracę sąsiadom, którzy wzamian za to jak najgorzej się z nimi obchodzili przed wojną, a podczas wojny światowej zatrzymali ich przemocą u siebie, zamieniając na niewolników, pozbawionych opieki prawa międzynarodowego.

Wiele, bardzo wiele potrzeba, jak widzieliśmy, zdziałać, żeby stanąć na tym poziomie, co Niemcy, nie mówiąc już o Belgji. Możemy sobie to zobrazować na następującym przykładzie, albo, lepiej powiedzmy, porównaniu: Najlepiej, jak wiadomo już czytelnikowi, stoi rolnictwo w zachodnich dzielnicach. Otóż wyobraźcie sobie drabinę o stu stopniach. Drabina ta stanowi drogę rozwoju naszego rolnictwa dotychczasowego. Poznańskie znajduje się już u samego szczytu tej drabiny. boć nieużytków już tam wcale niema. i ziemia jest najlepiej wyzyskana. Prusom Zachodnim brak jeszcze 22 szczebli, żeby, idąc po tej drabinie, dorównały Poznańskiemu, Galicji 32; Królestwo musi podnieść się o 35 szczebli, żeby dorównać Poznańczykom. Ruś przebyła zaledwie pół drogi i musiałaby podnieść się jeszcze o 56 szczebli wyżej, wreszcie Litwa i Białoruś przebyły dopiero 22 najniższe szczeble, bo wyzyskały zaledwie piątą część swych naturalnych bogactw. Wiele ziemi bowiem leży tam odłogiem, czekając na pług rolnika, a i te ziemie, które znajdują się pod uprawą, nie są należycie wyzyskane.

To nam wskazuje drogę, po której państwo polskie kroczyćby mogło, gdyby ziemie białorusko-litewskie stanowiły jedną całość poli-

tyczną z pozostałymi dzielnicami. W takim razie nadmiar naszej ludności możnaby osiedlać w tamtych słabo zaludnionych dzielnicach, które skorzystałyby stąd podwójnie. Naprzód tamtejsza kultura rolna podniosłaby się znacznie, potem zaś kraj dźwignąłby się bardzo skutkiem gęściejszego zaludnienia i lepszej organizacji.

Ale mylili by się ten, ktoby sądził, że naszemu większemu czy drobnemu rolnikowi jest potrzebna tylko sama ziemia. Przecie porównywając dzielnice zachodnie z pozostałymi, widać jasno, jak na dłoni, że na tamtejszych, gorszych niż nasze, gruntach można otrzymać dwa razy więcej ziemiopłodów, niż w Królestwie, czy w Galicji. Obok więc obdarzania ziemią bezrolnych i małorolnych, trzeba zwrócić baczną uwagę na podniesienie wydajności gruntów. Wówczas, stanąwszy na tym poziomie wysokim, na jakim znajduje się dziś Poznańskie, możemy łatwo wyżywić dwa razy większą ludność w Polsce, niż ta, jaka w niej dziś mieszka.

Ażeby do tego dojść, należy w miarę możliwości naśladować Poznańskie. Przypomnijmy sobie, jakimi sposobami nasi bracia Poznańscy zdołali tak pięknie rozwinąć u siebie rolnictwo.

Środki po temu są liczne i można je podzielić na dwie grupy: W pierwszej grupie postawimy te, których dostarczyło państwo; w drugiej zaś te, które są wynikiem wysiłku samego rolnika, dobrze pojmującego swoją korzyść.

Do pierwszej grupy zaliczamy:

Dostarczenie rolnikom łatwego i taniego kredytu na meljoracje rolne, jak np. drenowanie, odwadnianie i nawadnianie, zakładanie lasów, zabezpieczenie od wylewów rzek (regulacja rzek środkami państwowymi), liczna i szeroko rozgałęziona sieć dróg lądowych (trakty) i wodnych (kanały splawne), dobry rząd, sprzyjające rozwojowi rolnictwa prawa i rozkład podatków, rozumnie przeprowadzona reforma rolna, komasacja, czyli scalenie gruntów i kolonizacja, zniesienie serwitutów, ład i porządek w kraju, zabezpieczający rolnikowi spokojną pracę na roli, oświata ogólna i fachowa, podnosząca sprawność pracy rolnika. Wszystko to nie da się osiągnąć środkami prywatnemi. Państwo musi je dać z ogólnych zasobów. A do tego potrzeba, żeby państwo miało na czele mądrych ludzi i duże środki pieniężne, osiągnięte z pożyczek i podatków, któreby szły na cele pożytku ogólnego. Mamy nadzieję, że taki rząd już mamy, albo go niebawem mieć będziemy. wolność polityczna nie mało przyczyni się do poprawienia naszych warunków rozwoju na wszystkich polach, a więc i na tem. Będziemy panami na swoim i pracowali dla własnej, nie zaś cudzej korzyści.

Nie odrazu jednak Kraków zbudowano, powiada przysłowie. Trzeba, jak to każdy rozumie, szeregu lat i pracy usilnej, żeby stworzyć państwo, dobrze się rządzące, oświatę, drogi i kanały.

Do drugiej grupy można zaliczyć te środki, które są dostępne dla prywatnego człowieka, a zmierzają do podniesienia rolnictwa w kraju. Należą tutaj: zakładanie szkółek i spółek rolniczych, podniesienie intensywności gospodarstw, zniesienie dzierżaw, tak aby każdy pracował na własnym warsztacie, podniesienie hodowli inwentarza, zamiana pastwisk, zwłaszcza wspólnych, na łąki, racjonalny płodozmian, zakładanie fabryk narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, ogrodów i sadów pod miastami, zakładów przemysłowych przerabiających płody rolnicze na miejscu, a więc krochmalni, gorzeln, cukrowni i t. p. drenowanie.

Wymieniliśmy najważniejsze środki, pomijając milezeniem wiele innych, mniej ważnych.

U nas, w Królestwie Polskiem, gdzie ludność (poza obu Śląskami) jest najgęściej, potrzebna jest reforma rolna, polegająca na tem, żeby bezrolni i małorolni mogli dojść do posiadania własnego zagona. Nie wiemy, po jakiej drodze państwo polskie pójdzie, ażeby osiągnąć te cele, gdyż uchwalona przez Sejm reforma rolna nie da się ani łatwo, ani szybko przeprowadzić. Zapewne będzie wielki bank parcelacyjny, który będzie ułatwiał nabywanie włościanom działek, pochodzących z rozparcelowania większych majątków, niektórych dóbr państwowych, powiadamy niektórych, gdyż państwo musi zachować w swych rękach pewien zapas ziemi dla tych, którzy po nas się urodzą i także będą mieli prawo do własnego zagona. Ma się rozumieć, że sprawiedliwość wymaga, żeby za ziemię nabywca zapłacił. Ale ceny będą niskie, spekulanci nie będą tutaj pośrednikami i nie do ich kieszeni nie wpłynię. Poza tem spłata ziemi będzie rozłożona na lat kilkanaście, żeby nabywca bez trudu mógł się wypłacić za otrzymany grunt. Zniesienie średniej własności nie jest pożądane, gdyż, jak na dziś, produkuje ona więcej z morga, niż posiadłość włościańska. Jeżeliby więc odrazu oddać włościanom na spłaty średnią własność, to nastalby głód, a z nim ogólna klęska. Ziemia może przechodzić we władanie włościańskie powoli; równocześnie trzeba podnosić oświatę rolniczą, żeby na mniejszych gospodarstwach rolnik nauczył się wytwarzać tyle, ile produkują większe gospodarstwa. Poza tem średnia własność jest wzorem dla mniejszych gospodarstw, ma bowiem środki na wprowadzenie różnych ulepszeń, które później przyjmują się u włościan.

Reforma agrarna, jak ją nazywają, musi zatem mieć na widoku dwie drogi: dać warsztat bezrolnemu i małorolnemu, a równocześnie podnosić poziom rolnictwa, tak aby rolnik z tego gruntu, jaki dziś ma w rękę, potrafił wyciągnąć dwa albo nawet trzy razy większy dochód, niż obecnie.

Zły gospodarz w interesie ogólnym na warsztacie rolnym siedzieć nie powinien, bo to byłoby marnotrawstwem środków, jakimi rozporządza cały naród polski.

PRZEMYSŁ POLSKI ŻYWICIELEM BEZROLNYCH.

Od kilkudziesięciu lat jesteśmy świadkami bardzo ciekawej zmiany we wszystkich zachodnich krajach Europy. Oto ludność ze wsi powoli, ale stale przenosi się do miast i osad fabrycznych na stały pobyt, skutkiem czego obecnie w Królestwie Polskiem w mieście mieszka zgorą jedna trzecia część całej ludności kraju. Na zachodzie jeszcze bardziej daje się to zauważyć.

Dla porównania powiemy, że u nas w r. 1857 na stu mieszkańców wogóle liczono na wsi 76, w mieście zaś 24, w r. zaś 1914 na wsi mieszkało już tylko 63 ludzi, a w miastach 37. Skutkiem tego rozrastać się poczęły wielkie miasta. W naszych czasach powstała Łódź, która przed samą wojną liczyła przeszło pół miliona mieszkańców, Sosnowiec z okolicami, Warszawa urosła do wielkiego miljonowego miasta, powstało dużo nowych osad fabrycznych.

Krótko mówiąc, ludziska wynoszą się ze wsi, szukając zarobku po miastach. Tam, jak wiadomo, albo oddają się rzemiosłom, albo idą do służby, albo, co najczęściej, udają się do fabryk i tam pracują jako robotnicy.

I nie powinno to nas dziwić: na wsi robi się coraz ciasniej, roli dla wszystkich braknie. Liczba bezrolnych przed wielką wojną wynosiła w Królestwie milion kilkaset tysięcy (w r. 1901 było bezrolnych 1.432.000). Dzieje się to skutkiem dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że w gospodarstwach sześciomorgowych jedno z rodzeństwa ma prawo spłacenia braci i sióstr i pozostania wyłącznym właścicielem, reszta zaś musi sobie szukać chleba w innym zawodzie, o ile nie może kupić ziemi, po drugie zaś, że ludność w Polsce wogóle silnie się powiększa, daleko szybciej, niż w innych krajach Europy.

Tak samo, jak powiedzieliśmy, dzieje się w innych państwach zachodnich, gdzie w miastach mieszka znacznie więcej ludzi, niż u nas: we Francji np. na 100 mieszkańców w miastach mieszka 42, w Niemczech 58, w Anglii nawet 78.

W poszukiwaniu chleba ludzie udają się w trzech głównych kierunkach: jedni do miast w kraju, drudzy wędrują na zarobki rolne na lato do Niemiec i do Danji, wreszcie pewna liczba udaje się za morze, do Ameryki. To znaczy, że ludność polska ma nadmiar rąk roboczych i wywozi je do obcych krajów na obce potrzeby. Sprzedaje się u nas, mówiąc inaczej, pracę ludzką obcym. Praca ta, zamieniona na gotówkę, powraca do kraju w postaci zaoszczędzonych pieniędzy, za które ludziska starają się kupić sobie na własność kawałek ziemi z rozparcelowanych folwarków.

Ale skutkiem tego cena ziemi rośnie coraz bardziej, zwłaszcza że i wydajność ziemi coraz bardziej się u nas podnosi.

Słowem, panuje u nas ruch wychodźczy do miast na saksy i za morze. Tego ruchu nie należy tamować, bo dowodzi on istnienia potrzeby wychodźstwa i braku pracy w kraju. Ale też nie można powiedzieć, żeby wychodźstwo było pożyteczne dla kraju. Przeciwnie, nigdzie nie może być za wiele ludzi; im ludność większa, tem lepiej. Trzeba tylko, żeby ta ludność znajdowała pracę u siebie w kraju i nie potrzebowała szukać jej u obcych, żeby nasz robotnik rolny, czy fabryczny, mógł zarobić tyle u siebie, ile mu dają za granicą, wówczas, ma się rozumieć, pozostanie w swojej ojeźźnie i nie będzie potrzebował tułać się między obcymi i narażać się na poniewierkę. Ale jak dać pracę tylu setkom tysięcy ludzi i ustrzec ich od smutnej konieczności wędrowania za morze, albo na saksy?

Na to jest jedna tylko odpowiedź: trzeba stworzyć w kraju wielkie warsztaty pracy, a takim wielkim warsztatem jest właśnie przemysł fabryczny.

Trzeba to zaznaczyć, że przed wojną Królestwo miało już dość znaczny przemysł fabryczny, który dawał zajęcie pół miljonowi robotników. Przemysł ten powstawał zwolna i rozwijał się z wielkimi trudnościami. Początki jego znajdujemy jeszcze w dawnej Polsce przed rozbiorami. Wówczas szlachta, widząc jak wielki haracz musi płacić za towary przywożone z zagranicy, zaczęła zakładać różne warsztaty u siebie. Zwłaszcza wiele zrobił w tym kierunku Tyzenhaus, podskarbi litewski, który w końcu osiemnastego wieku założył na Litwie pod Grodnem osady fabryczne z różnemi zakładami wytwórczemi. Popierano także rozwój górnictwa i hutnictwa. Ale niebawem przekonano się, że te zakłady nie rozwijały się, gdyż pracowali w nich nie wolni robotnicy, ale chłopci pańszczyźniani; poza tem brakło majstrów, znających się na rzemiosłach i fabrykacji. Fabryki zatem upadały. Lepiej nieco działało się miejskim zakładom przemysłowym, posługującym się

najemnym robotnikiem. Energia w zakładaniu i tworzeniu przemysłu polskiego wydałaby jednak niebawem owoce pożądane, gdyby nie nieszczęsne rozbiory, które odrazu zabiły go w zarodku. Ojczyznę naszą podzielono na trzy części, które, odcięte jedna od drugiej, i co gorsza, znajdujące się pod obcimi rządami, nie mogły już wspomagać się wzajemnie. Jeden zabór dla drugiego nie był już rynkiem zbytu: przeciwnie, dzielnice rozbiorowe w Austrii i w Niemczech napotykały się ze współzawodnictwem starszego przemysłu niemieckiego, który pobijał młody i niedoświadczony, nieudoszkalony jeszcze przemysł polski. Tak więc przemysł polski upadł. W Galicji do niedawna nie istniał wcale, dopiero na kilkanaście lat przed wojną zaczął się nieco podnosić, pomimo przeszkód, stawianych przez rządy austriackie; w Niemczech Polacy mieli do czynienia z przemożnym przemysłem niemieckim, a jednak w Poznańskim i w Prusach Zachodnich powstało sporo zakładów przemysłowych. Najlepiej jednak rozwinął się przemysł w Królestwie, odkąd zniesiono granicę celną pomiędzy Królestwem a Rosją, pobudowano linje kolejowe i szosy, i odkąd rozpoczął swoją działalność Bank polski. Bank ten postawił sobie bowiem za zadanie popierać rozwój przemysłu wszelkimi środkami. Pożyczał ludziom przedsiębiorczym pieniądze na zakładanie albo na rozszerzanie fabryk, przyjmował w zastaw towary, udzielał na nie pożyczki i to na długie terminy, sam zakładał fabryki i huty, słowem, zachęcał jak tylko mógł. Rząd rosyjski, który niechętnie patrzył na usiłowania Polski stworzenia przemysłu, w r. 1885 przerobił Bank polski na oddział Banku Państwa i w ten sposób położył kres popieraniu młodego przemysłu polskiego. Ale nastaly lepsze czasy, przemysł mógł się już rozwijać nawet bez pomocy rządu, a nawet pomimo przeszkód, jakie rząd stawiał na każdym kroku. Tylko, że do tego polskiego przemysłu zaczęły napływać pieniądze nie krajowe, bo tych było za mało, lecz zagraniczne, belgijskie, niemieckie, francuskie i inne, głównie jednak niemieckie. Nasi kapitaliści trzymali się zdala od przemysłu. Tak więc przemysł w Królestwie Polskiem przed samą wojną znajdował się przeważnie w obcych rękach, ale zato dawał zarobek polskiemu robotnikowi. Był ten robotnik porządnie wyzyskiwany, poniewierany, nie wolno mu było bronić się przed tym

Dużo materiału faktycznego, dotyczącego stosunków ekonomicznych wszystkich ziem polskich, można znaleźć w pracy Daszyńskiej-Golińskiej „Samodzielność gospodarza“ w Królestwie oraz w pracy Z. Pietkiewicza „Z naszych stosunków ekonomicznych“ (Arct. Bibl. dla wszystkich) i „Stan przemysłu w Królestwie Polskiem“.

wyzyskiem, ale bądź co bądź ludziska, zmuszeni uciekać do miast ze wsi przeludnionej, znajdowali kawałek chleba i powoli rugowali dawniej przybyłego robotnika niemieckiego. Ale było źle znowu z tego powodu, że fabryki nasze, zamiast wyrabiać towary niezbędne dla krajowych potrzeb, wytwarzały je na wywóz do Rosji i dalej na wschód. Zato do nas wwożono z Niemiec i z Rosji mnóstwo towarów, które powinny być robione w kraju polskimi rękami. Słowem, przed wojną mieliśmy przemysł założony przez obce kapitały, pracujący dla obcych. ręką przeważnie polskiego robotnika.

Jak wyglądał ten nasz przemysł, nie możemy się tutaj zagłębiać w to obszerniej dla braku miejsca. Możemy powiedzieć o tem słów niewiele, żeby sobie czytelnik wyrobił o rzeczy jakie takie pojęcie.

Otóż mieliśmy przemysł wielki fabryczny, średni i mniejszy, mieliśmy przemysł rzemieślniczy, drobny, wreszcie przemysł domowy, włościański i miejski. Najwięcej rozwinął się wielki przemysł fabryczny i ten najwięcej wytwarzał. Drugie miejsce z kolei zajęły rzemiosła, a na końcu dopiero stanął przemysł domowy. Z pomiędzy różnych gałęzi przemysłu wielkiego najlepiej stanął przed wojną przemysł włóknisty (wyroby bawełniane, wełniane, płócienne, jutowe, konopne, dywanów, koronek, tasiemek i t. d.), a z nich znów najwięcej bawełniany (wyrób perkalów na wywóz do Rosji i Persji). Osiedlił się on w Łodzi i jej okolicach. Niewiele ustępował mu przemysł wełniany, który także się rozwinął. Potem idą Sosnowiec, Częstochowa, Pabjanice i t. d. W r. 1910 wytwarzano w tej gałęzi towarów za 341 miljonów rubli rocznie. Przemysł spożywczy (cukrownictwo, gorzelnictwo, krochmalnictwo, browary i t. d.) w r. 1910 wyprodukował za 65 miljonów rubli. Niemaló też robiliśmy papieru i innych towarów, związanych z papiernictwem. Rozwijał się też dobrze przemysł drzewny, zwierzęcy (wyroby ze szczieciny, rogu, pierza, kości, mydlarstwo i t. d.). wyprodukowano w tych gałęziach w r. 1910 za 30 miljonów bez mała. Przemysł chemiczny wytworzył także za 30 miljonów, przemysł kruszcowy ziemny (metalowy i mineralny, jak np. cement, wapno, gips, garncarstwo, cegielnie, szklarstwo i t. d.) za 110 miljonów rubli.

Jeżeliby dodać wartości wytworzonych towarów w różnych gałęziach przemysłu w Królestwie w r. 1910, to wypadłoby, że mieliśmy wówczas prawie 11 tysięcy różnych fabryk, które zatrudniały 401 tysięcy robotników i wytwarzały za 860 miljonów rubli rocznie. Ponieważ zaś w kilku latach przedwojennych przemysł rozwijał się bardzo szybko dalej, przeto w r. 1914 śmiało można było liczyć tak:

wartość wytworzonych w naszym przemyśle towarów wynosiła około tysiąca miljonów rubli rocznie, a zajęcie znajdowało we wszystkich warsztatach około pół miliona osób.

Z tego widać najlepiej, jak wielką pomocą był dla nas przemysł, jeżeli potrafił zatrudnić aż pół miliona osób, które inaczej musiałyby wędrować za morze, w najlepszym zaś razie do Niemiec na saksy, albo mrzeć z głodu na wsi.

Jakże więc postąpić, aby te półtora miliona bezrolnych i bezrobotni znaleźli korzystne zajęcie i nie potrzebowali porzucać ojczyzny?

Ano, rozwijać jeszcze bardziej po wojnie nasz przemysł. do tego stopnia, żeby wszyscy, którzy muszą sprzedawać swoją pracę obcym i ich wzbogacać swoim potem, mogli pracować u siebie i dla siebie, dla zaspokojenia potrzeb kraju. Środkiem zapobiegającym emigracji w znacznym stopniu może być uprzemysłowienie rolnictwa, stworzenie na roli różnych gałęzi przemysłu przetwórczego, wreszcie rozwój hodowli.

To jest konieczne dla Polski, jeżeli nie ma ona corocznie wywozić za morze i do obcych setek tysięcy rąk roboczych.

A pamiętajmy, że rąk tych ciągle będzie przybywało, bo ludność naszego kraju przyrasta najszybciej w całej Europie. Trzeba zatem zawczasu myśleć o tem, żeby miała ona w kraju zarobki, żeby Polska nie wyludniała się przymusowo i nie szła na służbę do obcych, co jest wielkiem nieszczęściem dla naszego narodu.

Otóż teraz zadajmy sobie pytanie, czy stworzenie tak licznych warsztatów pracy, żeby wszyscy Polacy zająć mogli przy nich miejsce, jeżeli będą tego potrzebowali, jest sprawą możliwą do przeprowadzenia, czy też nie?

Dla każdego przemysłu podstawą są surowe materiały, czyli surowce, bez nich nie może się żadna wytwórczość rozwijać. Otóż surowców mamy bardzo wiele w Polsce¹⁾. Posiadamy naprzód wielkie zasoby węgla kamiennego, który sam jeden może już służyć za podstawę dla przemysłu wielkiego. Węgiel w Królestwie znajduje się w Zagłębiu Dąbrowieckim, w Galicji zaś w Krakowskim. Starezy go na kilkaset lat. Mamy prócz tego wielkie ilości nafty w Galicji. Źródło to nie jest jeszcze wyzyskane. Mamy dużo soli: Wieliczka, Bochnia, okolice Ciechocinka, wreszcie okolice Innowrocławia w Poznańskim — oto niespożyte zasoby tej cennej dla przemysłu kopa-

¹⁾ Patrz: Bogactwa Ziemi Polskich.

liny. Mamy także (w Galicji) wielkie pokłady soli potasowych, ważne dla rolnictwa, mamy żelazo, cynk, ołów, siarkę, gips, dostatek wapna. różnych gliniek na wyroby ceramiczne (cegły, dachówki, kafle, porcelanę, fajans, cement). Bardzo bogate stare torfowiska w dolinach Bzury, Pilicy, Przemszy, Wieprza. Ze starych torfowisk można oprócz opału wydobywać smołę, olej oświetlający, który nawet przewyższa dobrocią naftę amerykańską, wreszcie olej do smarowania i sole amonjakalne i t. d.

W Tatrach są olbrzymie góry granitowe, które mogą dostarczyć materiału na odbudowę i zabudowę kraju, na szosy, na bruki i t. d. Słowem. jeżeli idzie o surowce mineralne, to na brak ich Polska uskarżać się nie może. Stanowią one podwalinę, na której może się rozwinąć wielki przemysł.

Drzewa mamy niewiele, ale na nasze potrzeby starczy, zwłaszcza. jeżeli Wileńszczyzna i Mińszczyzna na Litwie byłyby w związku z Polską. Kartofli jest dość na wyżywienie i jeszcze sporo można oddać do przerobienia w gorzelniach i krochmalniach: gleba naogół urodzajna, dostarcza surowców roślinnych i zwierzęcych i, jak wiemy z obliczeń w rozdziale o rolnictwie, możemy się sami wyżywić, bez uciekania się do pomocy obcej, skoro tylko rolnictwo nasze podniesie się z upadku powojennego. Słowem, istnieje pewna podstawa do budowania na niej wielkiego przemysłu, zwłaszcza że rąk do pracy nie brakuje.

Ale niestety, przemysł nasz jest w chwili, kiedy piszemy te słowa, zrujnowany skutkiem przejść wojennych i z trudem wielkim dźwiga się na nogi. Należy tu zaznaczyć, że Niemcy unyślnie doprowadzili go do upadku przez rekwizycję surowców, psucie maszyn, nieraz niezmiernie drogich, wywożenie obrabiarek, i na wszelkie inne sposoby. Mieli oni podwójny cel na widoku: raz zrabować nas, jak każdy kraj okupowany i nieprzyjacielski, powtóre zaś obawiali się współzawodnictwa naszego przemysłu. Dlatego nie oszczędzili nawet niemieckich fabrykantów w Łodzi, rabując ich narówni z Polakami. Chcieli oni uzależnić nas od swojego przemysłu, żebyśmy, nie mogąc swoich potrzeb zaspokoić własną pracą, sprowadzali od nich za drogie pieniądze towary fabrycznego pochodzenia, a wzamian zato sprzedawali im tanio nasze plody rolnicze, bo Niemcy sami nie mogą się ze swej produkcji rolnej wyżywić. Niedosć na tem. Nasyłają nam teraz płatnych wichurczyeli, którzy namawiają naszych robotników do ciągłych strajków, bając im, że są one niezbędne do wywalenia sobie lepszego utrzymania. A niektórzy nasi robotnicy zapominają

o tem, że podwyżki zarobków na nie się nie przydadzą w kraju, gdzie niemasz dość środków spożywczych, niemasz mnóstwa przedmiotów wyrabianych w przemyśle, bez których obejść się nie można. Podwyżki pójdą do kieszeni zagranicznych fabrykantów, którzy nam będą po szalonych cenach przysyłać swoje wyroby, albo do kieszeni paskarzy, a ogół robotniczy nic nie zyska, chociaż będzie zarabiał dziesięć razy więcej, niż przed wojną. Pieniądz bowiem jest niczem, plewami niemal, a praca wszystkim; ona to narody wzbogaca; próżnowanie zaś i strajkowanie bez istotnej potrzeby zmniejsza tylko produkcję, a co za tem idzie, wciąga w coraz to głębszą otchłań całe społeczeństwo, a robotników z niem razem, i sprowadza spadek naszych pieniędzy, co z kolei podraża życie i t. d. bez końca.

Trzeba się zatem wziąć do pracy w przemyśle, nie dać się ludziem niemieckim agitatorom, którzy mają na celu uniemożliwienie przemysłowi polskiemu podniesienie się na nogi z upadku.

Strajki mają także i tę złą stronę, że ośmielają fabrykantów do puszczenia w ruch fabryk i do łożenia pieniędzy na sprowadzenie drogich surowców z zagranicy. Jakże nie mają się namyślać, kiedy nie wiedzą, czy dalsze wymagania robotników nie zmuszą ich zamknąć niebawem fabryki na nowo, albo że towar wypadnie im tak drogo, że nie będą go mogli sprzedać z jakim takim zyskiem i wytrzymać konkurencję z niemieckimi i belgijskimi wyrobami, gdzie ludzie odrazu po wojnie wzięli się do pracy całą parą.

Socjaliści zwalczają kapitalizm i wyzysk kapitału, robotnicy zaś, którzy niedość dobrze rozumieją, na czym polega kapitalizm, uważają nie tylko fabrykanta, ale i sam kapitał za swojego wroga. Tymczasem praca nie może się obejść bez kapitału, bo ten jest naszym narzędziem pracy: bez kapitału praca byłaby jałowa, nieprodukcyjna, niemożliwa nawet w dzisiejszych warunkach. Dlatego też robotnicy powinni oszczędzać od zagłady kapitał, to znaczy nie popychać go w przepaść, jeżeli widzą, że już nad nią stanął z winy wojennych okoliczności. Jeżeli będą niszczyli kapitał, zmuszając fabrykantów do zamykania fabryk, to w takim razie i sami pozbawią się narzędzi pracy, skążą się na przymusową bezczynność, pograżą kraj w nędzę, jeszcze gorszą, niż ta, jaka się nam daje we znaki obecnie. Dlatego też żądania robotników powinny być tego rodzaju, żeby nie podcinały korzeni przemysłowi, który nam jest niezbędnie potrzebny. Obecne warunki bardzo sprzyjają skąd inąd przyptywowi kapitałów zagranicznych do krajowego przemysłu, bo za franka Francuz dostanie 15 marek polskich i może zakładać nowe fabryki nawet przy dzi-

siejszej drożyznie materiałów i maszyn. Ale żeby kapitalista francuski, czy angielski, chciał dać pieniądze na fabrykę w Polsce, musi mieć tę pewność, że mu one nie przepadną i że będzie miał z nich procent. Patrzy więc, co się w Polsce dzieje, czy robotnicy chcą tam pracować, czy jest w kraju porządek i spokój, czy agitatorowie niemieccy i bolszewicy mają czy nie mają posłuchu między ludem pracującym; jeżeli się dowie, że w Polsce panuje próżniactwo i anarchja, to ulokuje swoje pieniądze w innym kraju, a ponieważ u nas kapitału jest za mało na stworzenie wielkiego przemysłu, przeto nie będziemy go weale mieli i będziemy klepali biedę jak dotąd, wysługując się naszym wrogom-Niemcom. To sobie powinien gruntownie rozważyć każdy robotnik fabryczny, każdy rolnik, który nie może wyżyć na swoim kawalku roli i musi oglądać się za zarobkiem w fabryce. Trzeba za wszelką cenę wziąć się do pracy, żeby powiększyć wytwórczość krajową, inaczej w Polsce będzie panowała bieda, zamiast dobrobytu; popadniemy znów w zależność od sąsiadów, którzy nas tylko namawiają do próżnowania, a sami pracują, śmiejąc się z naszej łatwości i głupoty. Na szczęście znaczna część robotników zrozumiała, że trzeba pracować, i mamy nadzieję, że stanie do warsztatów, skoro tylko te na nowo się pootwierają. Przemysł wielki i różnorodny, zdolny zaspokoić wszystkie nasze potrzeby bez sprowadzania towarów z zagranicy, jest, powtarzam, niezbędny dla Polski i musimy go jak najprędzej stworzyć. Niektórzy włościanie rozumują sobie tak: na folwarku, który dotąd jest obrabiany przez dwudziestu parobków, dajmy na to, może siedzieć trzy razy tyle ludzi i wyżywić się, jeżeli go rozparcelować; trzeba więc oddać ziemię włościanom. Jest to bardzo niebezpieczne rozumowanie. Ziemia bowiem powinna być uprawiana z jak najmniejszym nakładem pracy rąk. Poco ma robić stu ludzi na danym kawalku, jeżeli dwudziestu w zupełności wystarczy dla wyciągnięcia z niego tyle ziemiopłodów, ile on może dziś dać?

Ziemię należy obrabiać, ile możności, przy pomocy maszyn, oszczędzających rąk ludzkich, a zaoszczędzone siły skierować do innej pracy wytwórczej, a więc do górnictwa i przemysłu. Tylko w ten sposób można podnieść zamożność w kraju. U nas za wiele ludzi siedzi na roli, i to jest właśnie źle. Weźmy inne kraje za przykład. Taka Belgja jest krajem gęsto zaludnionym: mieszka tam na jednym kilometrze kwadratowym trzy razy tyle ludzi, co u nas. Wieś jest tam jednak pusta, niemal wszyscy bawią w miastach i żyją z pracy po fabrykach dostatniej, niż gdyby siedzieli na roli. To samo Anglja. Tam, jak widzimy z porównania ludności miejskiej z wiejską, zaled-

wie 22 Anglików mieszka na wsi, ogromna większość pracuje w miastach, oddając się przemysłowi; a Anglja jest jednym z najbogatszych krajów na świecie. Dlaczego? Bo ma potężny przemysł i górnictwo, które żywią tych, co nie mogą pracować na roli.

U nas są także dzielnice przemysłowe i rolnicze. Przyjrzyjmy się poniższej tabliczce, która nas wiele nauczy. Zobaczymy z niej, że im prowincja jest bardziej uprzemysłowiona, tem mniej ludzi pracuje w niej na roli, bo większość znajduje dostatnie zarobki w fabrykach.

Na 1000 mieszkańców w różnych dzielnicach Polski w latach 1897 do 1907 pracowało osób:

	w rolnictwie:	w górnictwie:	w handlu:
Galicja	768	90	78
Królestwo	566	260	84
Księstwo Poznańskie	540	234	87
Prusy Zachodnie	499	241	92
Śląsk Austrjacki	350	90	78
Śląsk Pruski	310	424	102.

Z tych liczb widać, jak na dłoni, że w Galicji, Królestwie i Ks. Poznańskiem za wiele ludzi pracuje na roli, gdyż niema tam potrzebnego przemysłu. W Galicji rolnik klepie biedę; w Królestwie również. Ale w Księstwie rolnictwo stoi wysoko i daje dostatek ziemiopłodów, przez co ludzie żyją jako tako. Zato na obu Śląskach ludność utrzymuje się przeważnie z przemysłu i górnictwa: Na Śląsku Austrjackim (Cieszyńskie) jest tylko 35. a na Śląsku Górnym 31 rolników na stu mieszkańców. A przecież nikt nie powie, że na Śląsku ludzie biedują; przeciwnie. A gdyby chcieli utrzymać się na roli, to wszyscy cierpieliby głód, bo ziemia nie zdołałaby wyżywić gęstej ludności tych prowincyj.

To nas powinno przekonać, że niesłusznie się upieramy przy tem, żeby pracować na wsi, bo równie dobrze można zarobić na utrzymanie w fabryce, albo gdzie w kopalni.

I Polska, chcąc nie chcąc, musi iść po tej samej drodze, co jej najbardziej zaludnione dzielnice i kraje Europy zachodniej, musi stworzyć u siebie wielki przemysł i górnictwo, inaczej dla przybywających wciąż nowych Polaków chleba nie starczy w Ojczyźnie i będą musieli, jak to już nieraz zaznaczaliśmy, iść po niego do obcych i kości złożyć na cudzej ziemi.

Rząd polski musi popierać przemysł, ale robotnicy ze swej strony muszą energicznie współdziałać z temi usiłowaniami, i nie odstraszać

kapitałów zagranicznych. Dobrze byłoby, żebyśmy mieli polskie pieniądze w naszym przemyśle, ale niestety, niema dość bogatych ludzi w Polsce. My nie umiemy oszczędzać, więc nie mamy kapitałów, jesteśmy, w porównaniu z Francuzami, Anglikami, czy Belgami, nędzaczami. Musimy się więc narazie pogodzić z tem, że w naszym przemyśle będą czynne obce kapitały; dopiero zczasem, kiedy nasz kraj wzrośnie w zamożność, kiedy będziemy mieli środki, to fabryki, zakładane przez cudzoziemców, powoli będą przechodziły w polskie ręce i obcy nie będą wywozili dochodów z przemysłu za granicę. Teraz niema o tem co marzyć nawet, żebyśmy bez pomocy zagranicznych kapitalistów potrafili stworzyć przemysł, którego nam brakuje. Na to potrzeba tysięcy milionów, a tych w kraju niema!

Musimy to sobie wyraźnie powiedzieć, że nie utrzymamy się z samego rolnictwa, bo, mimo reformy rolnej, nie starczy ziemi dla nas wszystkich, że przeto należy jak najprędzej i najenergiczniej zabrać się do przemysłu i rękodzielnictwa, nie zaniedbując i handlu.

Jest nadzieja, że niebawem Polska cała, tak jak oba Śląski, stanie się krajem przemysłowym, że będzie nie tylko zaspokajała własne potrzeby, ale jeszcze będzie w stanie wywozić owoce swej pracy na wschód i stąd czerpać dla siebie bogactwa. Nie samo bowiem rolnictwo daje nam chleb; takim samem obfitem źródłem dobrobytu narodowego może być i przemysł z handlem.

UNARODOWIENIE MIAST.

Zanim zajmiemy się dzisiejszemi miastami polskimi, nie od rzeczy będzie rzucić okiem daleko poza siebie i przyjrzeć się temu, co się przed wiekami działo w Polsce.

Polacy byli od niepamiętnych czasów rolnikami i wojakami. nie zajmowali się weale rzemiosłami, przemysłem i handlem. Widząc jednak, do jakiego rozkwitu doszły miasta w Niemczech i na zachodzie Europy i jakie korzyści stąd płynęły dla tych krajów, postanowili zakładać w Polsce grody. Ponieważ zaś sami jako rolnicy nie mogli się w nich licznie osiedlać, sprowadzili przeto, głównie z Niemiec, rzemieślników i kolonistów i nadali im osobne niemieckie prawa, zwane magdeburskimi, które, w porównaniu do praw polskich, były znacznym przywilejem, i ostatecznie, niemal żywcem przeniesiono miasto niemieckie na grunt polski. Za Jagiellonów mieszczenie otrzymywali od królów coraz to nowe dowody łaski. Miasta posiadały zupełną niezawisłość sądowniczą, rządziły się same, t. j. miały samorząd, korzystały prawie narówni ze szlachtą z praw obywatelskich, słowem, posiadały zarodek praw politycznych: nie ponosiły też zbyt ciężarów i cieszyły się wielkim dobrobytem, zajmując się handlem i przemysłem. Kupiec polski był mile widzianym gościem na Litwie, na Węgrzech, w Austrii.

Ale ten dobrobyt i te piękne zadatki potęgi miast polskicli spoczywały, niby zamek na łożdzie, gdyż opierały się na umowie pomiędzy królem a mieszczaństwem. Władza królewska niebawem jednak uległa ograniczeniu na korzyść szlachty, czyli stanu rycerskiego, która nauczyła się bronić spólnie swoich interesów. Pódezas tego zaś, kiedy szlachta zdobywała sobie coraz to szersze prawa i przywileje, mieszczaństwo zachowywało się zupełnie obojętnie wobec własnych, stanowych interesów. Co gorsza, miasta współzawodniczyły między sobą, tak iż mieszkańcy jednego miasta gotowi byli narazić jak najbardziej interesy innych miast, aby tylko im samym działo się dobrze. Chcąc uzyskać jakieś prawa, trzeba było także wziąć na siebie pewne obowiązki dla państwa, trzeba było brać udział w wojnach, w podat-

kach. Tego nie uczynili mieszczanie polscy. nie było ich w szeregach walczących pod Grunwaldem rycerzy i byli obojętni na wszelkie sprawy, dotyczące państwa polskiego. Szlachta, która ponosiła największe ciężary dla Polski, która przelewała krew w jej obronie, zaczęła niechętnem, zawistnem okiem patrzeć na wzbogacających się w pokoju mieszczan. Na domiar złego, mieszczanie w Polsce byli Niemcami; przyjmowali wprawdzie powoli narodowość polską i zlewali się z miejscową ludnością, ale, bądź co bądź, byli plemiennie obcymi. Dlatego niechęć przeciwko nim wzmagala się, zwłaszcza po wojnie krzyżackiej. Doszło do tego, że szlachta zaczęła zarzucać mieszczanom nie tylko obojętność, ale nawet zdradę i jeła pozbawiać ich coraz to innych praw, które im były przyznane przez królów. Samorząd miejski doznaje uszczuplenia, nawet pogwałcenia, bo wojewodowie zaczynają pociągać przed swoje szlacheckie sądy mieszczan, którzy okazują się nieposłuszni ich rozkazom. Szlachta zmusza mieszczan do opłat na cele wojenne, nakazuje, im dostarczać piechoty na wojny. Oddziela się od mieszczan murem pogardy i przesądów, zaczyna ich nazywać „brudnymi, rzemieślnikami“, wyłącza nawet ze swojego stanu tych szlachciców, którzy „brukają się“ zajęciami mieszczanскими, jak np. handlem i rzemiosłem. Tak, iż w 16-ym wieku miasta polskie utraciły już wszelki swój wpływ polityczny, zostały odarte ze swoich praw obywatelskich, mając na swoim czele nie burmistrzów, ale urzędników królewskich, którzy ich srodze prześladować zaczynają. Szlachta zajmuje wszystkie urzędy, zagarnia dla siebie wszelkie przywileje, sprowadza bez żadnych opłat celnych wszelkie potrzebne towary z zagranicy, wpuszcza obcych kupców do Polski z uszczerbkiem wielkim mieszczaństwa polskiego. Miasta szybko upadają i ubożeją, najazdy szwedzkie dopełniają klęski, tak iż za czasów królów obieralnych miasta polskie doszły do zupełnej ruiny. Ludność miejska, prześladowana przez żołnierstwo, gnębiona przez morową zarazę, przez nakładane na nią ciężary, rozprasza się po kraju, pozostawiając kamienice na łasce Opatrzności. Tak w końcu ośmnastego wieku największe miasta w Polsce, nie wyłączając Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna, Piotrkowa, Radomia i t. d., znajdują się w bardzo smutnym stanie. Handel w rękach żydowskich, z ulic wieje pustka i nędza okropna. słowem, miasta, uciemiężone przez szlachtę, pozbawione wszelkich praw obywatelskich, są spustoszone, wniwecz obrócone. Dawna zamożność ustąpiła miejsca zupełnej nędzy.

Do tego tak głębokiego upadku przyczyniła się głównie szlachta, która w swych miastach dziedzicznych, mając prawo

poberania czynszów za grunty, pod domami się znajdujące, dopuszczała się wielkich nadużyć. W miastach zaś królewskich, t. j. należących do króla, starostowie, czyli urzędnicy królewscy, chciwością swoją i bezprawiami doprowadzali mieszczan do nędzy i uciezki. Mieszczanie w dziedzicznych grodach stali się niewolnikami, którymi rządził starosta, zwykle kupujący sobie urząd, będący dobrym kawałkiem chleba. Ci starostowie nie tylko przywłaszczali sobie grunty miejskie, ale osadzali takowe żydostwem, które niemiłosiernie wyzyskiwało ludność. Stan szlachecki żywił głęboką pogardę dla stanu mieszczańskiego, wkońcu wyzuto mieszczan ze wszystkich praw obywatelskich. ogołociono ze wszystkiego, nawet ze czci, i wykreślono ich w 1778 r. z liczby stanów w Polsce. Odtąd Rzeczpospolita Polska miała się składać jedynie z trzech stanów, t. j. z „króla“, „senatorów“ czyli panów i rycerstwa, czyli szlachty. Taka jest smutna historia miast w Polsce. Były one w swoim czasie w kwitującym stanie, ale upadły głównie dlatego, że nie chciały brać udziału w życiu państwa, nie chciały ponosić ciężarów, stały, że tak się wyrazimy, poza państwem. Stąd nauka dla każdego stanu. Ale w ten sposób powstała w Polsce próżnia, dotkliwie dająca się we znaki oddawna, próżnia, która do dziś dnia nie jest zapełniona, z wielką szkodą dla narodu polskiego.

Boć w każdym państwie zachodniem mieszczaństwo istnieje i okazuje się niezbędnym potrzebem dla utrzymania równowagi pomiędzy stanami w narodzie, nie pozwalając jednemu z nich zagarnąć całej władzy w swoje ręce z krzywdą innych. Niema polskiego mieszczaństwa. miejsce jego zajęli Żydzi.

Miasta dziś jeszcze bardziej zyskały na znaczeniu, odkąd zaczęła się odbywać powszechna wędrówka ze wsi w pogoni za zarobkiem w przemyśle. Przemysł, jak wiemy, umieszcza się w miastach, gdyż tam znajduje najdogodniejsze dla siebie warunki; miasta wzrastają nie tylko liczebnie, ale i pochłaniają coraz więcej ludności kraju, jak to widać z następującej tabliczki:

W roku	Na stu mieszkańców kraju mieszkało na wsi	w miastach
1857	76	24
1872	74	26
1897	69	31
1909	65	35
1914	63	37

Miasta zatem wzrastały dwa razy prędzej, niż ludność całego kraju.

W ostatnich latach przed wojną więcej niż 20-tu z każdego 30-tu nowoprzybywających ludzi w Królestwie Polskiem przenosiło się do miasta.

Miast przed wojną liczyliśmy w Królestwie 116, a osad miejskich, które dawniej były miastami, ale rząd rosyjski przemianował je na osady, liczono w kraju 357; razem mieliśmy przeto siedlisk miejskich około 500 w samem Królestwie Polskiem, nie licząc naturalnie Galicji i Księstwa Poznańskiego, ani Litwy. Z tego 48 miast miało więcej niż 10.000 ludności. Największem miastem jest Warszawa, licząca około miliona mieszkańców, na drugiem miejscu stoi Łódź z ludnością powyżej 500.000, oprócz tego Częstochowa, Sosnowiec, Lublin i Dąbrowa Górnicza liczą od 50 do 100.000 ludności. Rozwijały się silnie przed wojną: Radom, Kalisz i Lublin, nie mówiąc już o Łodzi, która w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat z nędznej wioszczyzny urosła do rzędu wielkich miast. Najwięcej rozwijały się miasta fabryczne. Miasta nasze jednak przed wojną, pozbawione samorządu, miały życie nieuporządkowane, gospodarstwo zaniedbane, rząd nie dbał o ich potrzeby, nie zakładał szkół, nie ulepszał bruków, oświetlenia, kanalizacji, ani wodociągów, trzymał wszystko w zależności od władz petersburskich, stawiając przeszkody rozwojowi miast na każdym kroku. W jednym tylko Królestwie Polskiem miasta nie miały samorządu. We wszystkich miastach w Królestwie Polskiem mieszkało prawie 5 milionów osób (4.812.000) na 13 milionów ogółu ludności kraju. Najwięcej ludności miejskiej mają zachodnie okolice Królestwa, gdzie jest najwięcej przemysłowych zakładów. Najmniej Poznańskie, Litwa i wschodnie okolice kraju. Co do narodowości, to, jak już powiedzieliśmy, w miastach niema, prócz Warszawy, większości Polaków; dotyczy to zwłaszcza małych miasteczek, gdzie, niestety, trzy czwarte, a nawet niekiedy i więcej — to Żydzi. Domy w miastach należą w większości do Polaków, ale Żydzi mają ich bardzo dużo (41 na 100 domów znajduje się w posiadaniu Żydów). W Lublinie dzieje się najgorzej, bo tam polska własność miejska wynosi jedną trzecią część własności wogóle. To samo da się powiedzieć o wielu innych mniejszych miastach, jak Będzinie, Płocku, Łomży, Siedlcach i wielu, wielu pomniejszych.

Widzimy stąd, że Żydzi posiadają w wielu miastach polskich więcej domów, aniżeli Polacy. To samo dotyczy i handlu, Żydzi niemal wyłącznie wzięli go w swoje ręce. Nie będziemy tedy dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że większa część miast polskich znajduje się pod panowaniem Żydów, którzy stanowią tu większość ludności,

posiadają większą część domów i zajmują się wyłącznie niemal handlem.

Inaczej mówiąc, miasta nasze nie są polskie.

Nie mamy zwartej polskiej mieszczaństwa.

Zastanówmy się teraz nad tem, czem jest miasto w życiu każdego, a więc i naszego narodu, czem być powinno.

W mieście, zwłaszcza większem, jak widzimy, nagromadza się ludność ze wsi w poszukiwaniu zarobku, tam mieści się większość zakładów przemysłowych, sklepów. W mieście mieszkają adwokaci, inżynierowie, lekarze, uczeni, artyści, ludzie zamożni, którzy pragną kształcić swoje dzieci, a przy nich nauczyciele, słowem, miasto jest siedzibą warstwy inteligentnej narodu. Inteligencja jest niejako mózgiem: myśli za naród, wskazuje mu drogę, oświeca go, zachęca do rozmaitych czynów, mających na celu polepszenie dobrobytu i poziomu oświaty. W mieście powstają różne stowarzyszenia, instytucje społeczne, gdzie ludzie zaprawiają się do zbiorowego życia. W mieście wydaje się gazety i różne czasopisma, książki, które roznoszą oświatę na kraj cały. Tutaj znajdują się teatry, muzea czyli zbiory osobliwości, ku nauce i pożytkowi całego narodu służące. Miasto, wielkie zwłaszcza, nadaje kierunek na drodze postępu i doskonalenia się całemu narodowi, jest niejako wielkiem ogniskiem, z którego rozchodzi się światło i ciepło na kraj, czy na okolicę. Miasto to mózg kraju, w niem się kuje to, co się nazywa kulturą narodu, oświatą; z miasta idą wzory postępowania dla kraju, tam się robi wielka polityka, od której zależą losy całego narodu. Bez miast zatem żaden naród obejść się w żaden sposób nie może, zwłaszcza dzisiaj, kiedy prawie połowa ludności w nich się osiedliła. A dla Polski miasto ma jeszcze większe znaczenie, niż dla innych krajów, które posiadają niezależność polityczną. Zastanówmy się, czem byłaby wieś, gdyby nie owe promienie, które rozchodzą się na nią z miast; jak życie gnuśniałoby w kraju, gdyby nie podsycalo go miasto? A przecież miasta nasze nie są polskimi w tym stopniu, w jakim być powinny i to stanowi dla nas, Polaków, i dla naszej Ojczyzny wielkie, wielkie niebezpieczeństwo.

Wyobraźmy sobie, jakby wyglądały nasze miasta, gdyby zaprowadzono w nich samorząd, oparty na prawie wyborczem, według którego większość mieszkańców miałaby wyłączne prawo wysyłania swoich posłów, czyli przedstawicieli, do Rady miejskiej.

Nie można wątpić, że większość miast w Królestwie miałyby rady miejskie składające się z samych Żydów, albo też Żydzi mieliby w nich większość i rządiliby bez udziału Polaków.

W takim razie mieliby oni możność nakładania na całą ludność, a więc i na polską, podatków i rozporządzać temi podatkami według swojego uznania. Za nasze pieniądze mogliby sobie zakładać szkoły żydowskie, wspomagać ubogich Żydów, stwarzać dla nich różne zakłady dobroczynne, budować teatry żydowskie, popierać handel i przemysł żydowski, słowem, mogliby rozporządzać naszemi pieniędzmi, działając na swoją wyłącznie korzyść, a na naszą szkodę. To samo, rzecz prosta, działałoby się tam, gdzie, zamiast Żydów, większość mieszkańców przedstawiałaby jaką inną, niepolską narodowość. Miasto polskie, zamiast być ogniskiem kultury polskiej, zamiast przyczyniać się do rozwoju polskości w kraju, zamiast być kuźnią dobrobytu dla narodu polskiego, byłoby warsztatem, gdzie pracowanoby dla cudzych potrzeb, w celu upośledzenia narodowości polskiej.

Oto jakim wielkiem niebezpieczeństwem groziłoby nam pozostawienie nadal miast w rękach obcej narodowości.

Nie potrzeba chyba tłumaczyć nikomu, że taki stan rzeczy, gdyby miał się przedłużyć, byłby dla nas bardzo smutny; musimy zatem całą siłą postarać się o to, żeby miasta nasze stały się polskimi tak samo, jak niemieckimi są miasta w Niemczech, francuskimi we Francji, angielskimi w Anglii i t. d.

Nikt nie może nam tego brać za złe, bo to jest naszym najżywotniejszym interesem narodowym.

Jakie zaś drogi do tego celu obrać należy, to samo rzuca się w oczy.

Najpierw zatem musimy się brać do przemysłu, który, jak wiemy, głównie obiera sobie za siedzibę miasta, i pozbyć się starych przesądów, że handel poniżej, a rzemiosło jest podlejszem zajęciem, aniżeli naprzykład rolnictwo lub nauczycielstwo. Musimy, słowem, wziąć handel i przemysł w swoje ręce. O tem będziemy mówili obszerniej w rozdziale o handlu. W ten sposób ludność żydowska i obcoplemienna, widząc silne współzawodnictwo ze strony Polaków, będzie musiała szukać sobie innych zajęć, wyniesie się z miasta, jak to dzieje się już oddawna w Księstwie Poznańskim, gdzie polski stan mieszczański znacznie się już podniósł w liczbę i zamożność. Musimy przytem czuwać, żeby domy w miastach polskich nie przechodziły na własność Żydów, żeby nauczycielami, lekarzami, inżynierami, uczonymi, artystami byli przeważnie Polacy. Nie mając tego na uwadze,

otwieramy naociecz Żydom dostęp do miast i gruntujemy w nich żydowskość z uszczerbkiem polskości. Posiadanie przez Polaków nieruchomości miejskich jest niemal zupełnie tak samo ważne, jak utrzymanie ziemi w polskich rękach. Inaczej to zło, które dla wsi i kraju wypływa z przechodzenia ziemi w obce ręce, powtórzy się i w miastach, które, zamiast się polszczyć, będą coraz bardziej stawały się obcemi i wrogami dla polskości.

Należy do tego dążyć, nie kierując się żadną nienawiścią do Żydów, którzy mają prawo żyć i pracować, ale poprostu w obronie swojego bytu, w obronie swojej narodowości. Miasto w Polsce musi zostać polskiem. bo inaczej być nie może i nie powinniśmy; trzeba stworzyć polski stan mieszczański, trzeba poświęcać się zawodom miejskim.

Wychodźstwo ze wsi będzie sprzyjało polszczeniu się naszych miast. Na wsi bowiem istnieje silna przewaga Polaków nad Żydami i innymi narodowościami, i ci, nowoprzybywający do miasta Polacy będą coraz bardziej nadawali mu piętno polskości. Ale, jak wiadomo, to nie wystarcza. Musimy z całą świadomością popierać żywioł polski w mieście, gdyż, jak powtarzam, polskość miast jest jednym z naszych najżywotniejszych interesów narodowych.

UNARODOWIENIE HANDLU.

Jak nam już wiadomo, szlachta w dawnej Polsce miała wstręt do handlu i do rzemiosł, uważając dla siebie za poniżające zajmować się czem innym, jak rolnictwem, sprawowaniem urzędów i wojną. Dlatego też handel w naszym kraju nigdy nie znajdował się w rękach szlachty. Z początku, kiedy miasta za Jagiellonów znajdowały się w stanie kwitnym, handlem zajmowali się mieszczanie pochodzenia niemieckiego; kiedy zaś miasta za królów obieralnych pod wpływem zazdrosnej szlachty zaczęły chylić się do upadku, handel stanowił wyłączne niemal zajęcie Żydów, którzy zastępowali mieszczaństwo polskie, rozproszone i zubożałe. Starostowie w grodach królewskich na odebranych mieszczanom gruntach pozwalali osiedlać się Żydom, i odtąd ciągle słyhać skargi na tę narodowość, która od niepamiętnych czasów stanowiła naród w narodzie i państwo w państwie, nie łącząc się z rdzenną ludnością polską. Żydzi mieli swój samorząd, rząd ich ześrodkował się w kahałach, niemal zupełnie niezależnych od władz państwowych. nawet znaczna ilość spraw sądowych między Żydami starszyzna żydowska rozstrzygała. Żydzi z tego samorządu byli bardzo zadowoleni, cieszyli się bowiem zupełną swobodą religijną i obyczajową, to też zwali Polskę drugą ziemią obiecaną. nową Jerozolimą zaś mianowali Kraków. Najdogodniej było im osiedlać się po miastach i zajmować się w nich handlem, zwłaszcza, że nie mając żadnych praw obywatelskich, nie sprawowali żadnych urzędów: nie wolno im było nawet trudnić się zawodami t. zw. wolnemi; pozostały im jeno rzemiosła. Wyrabiali oni przedmioty tanie, ale liche i dlatego robili silną konkurencję chrześcijańskim rzemieślnikom, którzy na nich ciągle narzekali. W ciągu wieków Żydzi wyrobili w sobie duże uzdolnienie do handlu, głównie przebiegłość, rzutkość, wytrwałość, a że przytem, tak jak do dziś dnia, nie przebiorają w drogach i chętnie dla pożytku kieszeni poświęcają inne względy, przeto działo się im weale nieźle w dawnej Polsce. Mieszczanie ciągle na nich narzekali, że psuli rzemiosła fuszerką, że rujnowali miasta, że dopuszczali się w handlu nadużyć, że przez nich handel polski podupadł, że nie trzymali

się ani miar przepisanych, ani cen, ani wag, słowem, te same narzekania, co dawniej, do dziś dnia słyszymy na Żydów kupeców.

Za ostatnich Jagiellonów, dla ocalenia chrześcijan, wydawano prawa, ograniczające pobyt Żydów w miastach; ale ci zawsze umieli obchodzić niekorzystne dla nich postanowienia rządu polskiego. A jednak w r. 1768 piąta część miast polskich pozbyła się u siebie Żydów, zwłaszcza miast większych: w pozostałych Żydom zabraniano zajmować się rzemiosłami, należeć do cechów i t. p. Rozpraszali się więc Żydzi po wsiach, brali się do dzierżaw, zwłaszcza na Ukrainie, gdzie dla pokrycia wysokich opłat, jakie od nich ściągali właściciele, dopuszczali się licznych nadużyć i krzywdzili miejscową ludność. Zajmowali się faktorstwem, szynkowaniem, rozpajając lud i doprowadzając go do nędzy; słowem, żyli, jak do dziś dnia, kosztem najuboższej ludności miejscowej, nie jej wzamian nie dając dobrego. Z powodu tego wyzysku ludu, Żydzi ściągnęli na siebie powszechną pogardę i oburzenie. Ponieważ zawarto przed nimi wrota do godziwego zarobku, przeto coraz bardziej upadali moralnie, dopuszczali się wszelkich nadużyć, byle wyżyć. Surowe prawa, przeciwko nim uchwalane, nigdy nie były z całą surowością wykonywane, umieli się o to postarać i czuli się w Polsce bardzo dobrze, nie myśląc jej opuszczać; nazywali ją rajem. W drugiej połowie ośmnastego wieku przejawiała się dążność do pozbycia się Żydów z kraju przez wydalanie tych, którzy nie mieli środków do utrzymania. Poruszano sprawę żydowską na wielkim sejmie, chciano ich podnieść moralnie, zmusić do zlania się z ludnością miejscową, ale rozbiory Polski podały w zapomnienie te sprawy. I do dziś dnia Żydzi pozostali takimi samymi, jak byli sto i dwieście lat temu, tak samo mają w swych rękach handel u nas i te same słyszymy na nich narzekania.

Żeby poprzeć te słowa, zaczerpnięte z pism Władysława Smoleńskiego, naszego znanego historyka („Stan i sprawa Żydów polskich w 18-ym wieku“, Pisma historyczne, Kraków 1901 r.), zajrzyjmy do innych źródeł, np. do Rocznika Statystycznego za rok 1914, gdzie w rozdziale p. t. „Powierzchnia i ludność Królestwa Polskiego“ znajdujemy takie same za siebie mówiące liczby: handel zatrudniał w 1897 roku 481.000 Żydów, czyli że na stu Żydów w kraju naszym handlowi oddawało się aż 38. Głównie zajmowali się Żydzi poza tem wyrobem obuwia i odzieży, urzędowaniem w interesach handlowych i służbowaniem. W handlu Żydzi stanowią więcej, niż połowę handlujących. Handlowi trunkami nie oddawali się tak, jak dawniej, bo rząd rosyjski ograniczał Żydów w tej gałęzi. Ale zato handel wędrowny,

handel skórą, zbożem, odzieżą, maszynami Żydzi opanowali niemal wyłącznie. Nie brakowało ich także w innych gałęziach. W przemyśle zajmowali się głównie wyrobami tytoniowymi, narzędzi lekarskich, octu i wód mineralnych, obuwia i odzieży, przemysłem przewozowym, wyrobami pochodzenia zwierzęcego, jubilerstwem, ale najwięcej Żydów zajmowało się nie rzemiosłami, lecz handlem. To stanowiło ich ulubione zajęcie, boć handel, to praca lekka, nie wymagająca takiego natężenia sił, jak w górnictwie, w rolnictwie, w przemyśle fabrycznym, a dająca duże zyski. Dość powiedzieć, że zaledwie 6 Żydów na 1000 zajmowało się rolnictwem, 7 górnictwem, a 6 ceglarstwem.

Te liczby dają nam, jak sądzę, podstawę do powiedzenia, że handel istotnie znajduje się dziś przeważnie w rękach żydowskich. Żydzi zarabiają wielkie pieniądze w tem zajęciu, zwłaszcza, że nie mają wiele skrupułów; lubią różne sztuczki, za które nieraz bywają pociągani przed sądy i karani. Oni właśnie swoją nieuczciwą konkurencją nie pozwalają rozwinąć się porządnemu handlowi chrześcijańskiemu, kupiec Polak musi współzawodniczyć z tymi, którzy obniżają ceny przez niedoważanie, złe miary, gorszy gatunek towaru i na inne sposoby; ma więc zadanie bardzo trudne, gdyż pozostaje mu nieraz do wyboru albo naśladować Żydów, albo też zbankrutować; wybiera często to pierwsze. Nie można się więc dziwić, że podczas wojny zwłaszcza, handel chrześcijański okazał się tak samo niemortalny, tak samo nasi kupcy niemiłosiernie wyzyskiwali ludność, jak i Żydzi, którzy rej wodzili w „paskarstwie“.

Tak być jednak nadal nie może i nie powinno. Handel jest równie popłatnem i dobrem zajęciem, jak każde inne, a może nawet korzystniejszym od innych gałęzi pracy, jeżeliby przeto chrześcijanie jemu się oddawali, sami wyszliby na tem najlepiej. Polska nie tylko jest, ale będzie jeszcze w znaczniejszym stopniu krajem, prowadzącym rozległy handel pomiędzy wschodem a zachodem Europy, leży bowiem w pośrodku tej części świata, jest naturalną drogą pomiędzy zachodnimi państwami a wielkimi obszarami Rosji, Ukrainy i Azji. Słowem, handel ma wielką przyszłość w Polsce, będzie się coraz więcej rozwijał i może dawać coraz to większe korzyści nam Polakom, jeżeli się do niego weźmiemy ze znajomością rzeczy i uczciwością, bo tylko to może mu zapewnić rozwój na przyszłość. Trzeba, żeby zubożała szlachta polska, nie mająca już ziemi, poświęcała się jak najliczniej handlowi, pozbywszy się starych przesądów.

Ale niedość jest powiedzieć sobie „wezmę się do handlu“ i na tem koniec. Kto nie jest do tego zawodu odpowiednio przygotowany,

ten łatwo straci włożone w sklep pieniądze i zamiast zachęcić innych do naśladownictwa, przeciwnie, zniechęci, zamiast pożytku dla ogółu, wyrządzi mu krzywdę. Jak powiedziałem, do handlu trzeba mieć pewne wrodzone zdolności i pieniądze, potrzebne do prowadzenia interesu; poza tem przygotowanie fachowe. Każdy mniej więcej czuje, czy się nadaje do tego zawodu. Ludzie sprytni i obrotni łatwo znajdą pieniądze, jeżeli własnych im zabraknie; najważniejsze jest przygotowanie.

Ażebym przygotować kupców polskich, którzy mogliby skutecznie spótzawodniczyć w handlu z Żydami, należy pozakładać wiele szkół handlowych, zwłaszcza niższych i średnich, gdzieby młodzież mogła nabywać wiedzy handlowej, niezbędną, jak mówię, potrzebnej dla osiągnięcia powodzenia w tym zawodzie. Jeżeli tych szkół będzie za mało, to nigdy nie stworzymy zdrowego handlu polskiego.

Młodzież powinna szukać praktyki w dobrze prowadzonych handlach, zanim się weźmie do tego zajęcia na własną rękę. Niedosć na tem: państwo musi koniecznie popierać te usiłowania, a to w ten sposób, żeby ułatwiać młodzieży wyjazd za granicę dla praktycznego obznajmiania się z handlem i jego tajemnicami, musi urządzać wystawy towarów, pokazy, musi wskazywać, jakimi gałęziami handlu Polacy przedewszystkiem zająć się winni, np. handlem zbożem i wogóle produktami rolniczemi, maszynami rolniczemi, tem wszystkiem, czego potrzebuje rolnik polski, żeby go uczynić niezależnym od obcych. Wogóle wszystkie wytwory rolnictwa i przemysłu krajowego powinny być sprzedawane przez Polaków.

Trzeba dalej dać zdrowe podstawy moralne handlowi polskiemu, gdyż wiadomo, iż kupiec rzetelny, grzeczny, dbały o nabywcę, umiejający go zachęcić, zawsze będzie robił dobre interesy, gdy przeciwnie, kupiec nieuczciwy, goniący za jednorazowym, łatwym zyskiem, dopuszczający się szachrajstw, zraża sobie nabywców i koniec końców musi stracić, albo ustąpić miejsca uczciwemu i dobrze rozumiejącemu swój interes współzawodnikowi.

Jeżeli uda się nam na tych podstawach stworzyć niezadługo handel polski, to niemało się tem przyczynimy do spolszczenia naszych miast, co jest bardzo ważnym, palącym interesem narodowym. Musimy iść naprzód pod hasłem: „Polski handel w polskich miastach!“ Musimy dać utrzymanie tym wszystkim, którzy dziś klepią biedę po miastach, nie wiedząc, do czego się wziąć mają. Kooperatywy też przyczynią się do podniesienia handlu ¹⁾.

¹⁾ Patrz rozdział „Zrzeszajmy się“.

DOBRE DROGI—JEDNA Z NAJPILNIEJSZYCH POTRZEB POLSKI.

Kto bywał w zachodnich krajach Europy, we Francji, w Niemczech, w Belgji, albo w Danji, ten miał sposobność przekonać się, że drogi są tam daleko liczniejsze i utrzymane nieporównanie lepiej, niż u nas. Każde, małe nawet, miasteczko, co mówię, każda wieś, ma doskonale połączenie z okolicznymi miejscowościami. Po tamtejszych szosach jedziesz z wielkim ciężarem w parę koni, jak po stole, równo i szybko. Ludzie nie mogą sobie tam wyobrazić, jak naród ucywilizowany oszczędłby się bez dobrych dróg. Obok rozległej sieci dróg bitych, zwanych inaczej traktami, albo gościńcami, istnieje równie niemal gęsta sieć dróg żelaznych, sięgających do takich zakątków, jakie u nas nie roszeją pretensji chociażby tylko do szosy drugiego rzędu. Nawet taki górski kraj, jak Szwajcarja, ma obfitość szos i kolei żelaznych, które przedzierają się tunelami, wierconymi w górach niebotycznych, do sąsiednich krajów. Dzięki doskonałym drogom, Szwajcarja nie jest dziś, jak przed wiekiem, odcięta od reszty Europy, ale równie dobrze, jak inne kraje, stanowi część ucywilizowanego świata. Dziś bowiem, należy to zaznaczyć wyraźnie, nie ma przeszkód dla inżynierów; byle im dać dostatek pieniędzy, potrafią wszędzie przeprowadzić drogę żelazną, nawet przez góry wysokie, ponad rzekami największemi, ponad przepaściami, ba, nawet na szczyty górskie. Ludzie na Zachodzie nie żałują pieniędzy na dobre drogi, zapewne dlatego, że lepiej, niż my, potrafią oceniać płynące stąd korzyści.

Rzeki, kanały, drogi lądowe, zwykłe czy żelazne, są dziś niezmiernie ważne dla dobrobytu narodowego, są ważnem uzupełnieniem bogactwa krajowego. Kolej, szybko przewożąca ludzi i towary, skraca niejako odległości pomiędzy daleko od siebie położonemi dzielnicami kraju, zbliżając miejsce wytwarzania pożytecznych towarów z rynkami, na których te towary mogą znaleźć zbyt łatwy. Szybkość, a i taniość przewozu z drugiej strony ułatwia dostarczanie zakładom

przemysłowym surowych materiałów, niezbędnych do wytwórczości. Dziś i ze środka Brazylii, i z wnętrza Afryki, dzięki morzu, okrętom i kolejom, otrzymujemy drzewo, rudy i mnóstwo innych surowców, które dawniej marnowały się bezużytecznie. Rolnik nasz ma narzędzia, sprowadzane z Ameryki, a kosztujące nieraz taniej, niż wytworzone na miejscu. Każda nowo przeprowadzona droga żelazna stwarza dla rolnika i przemysłowca nowe rynki zbytu, a połączenie kolejowe z dalszemi krajami pozwala nam zbywać nasze zbożowe plody i fabryczne wyroby nawet w Chinach, w Persji i w Afryce! Koleje wzmagają obrót towarów nie tylko w obrębie jednego kraju, ale i ułatwiają stosunki handlowe pomiędzy bardzo nawet od siebie odległemi krajami, rozbudzają ruch przemysłowy i handlowy, dlatego że wzdłuż powstających dróg żelaznych powstają liczne fabryki, jak np. wzdłuż naszej drogi Warszawsko-wiedeńskiej. Ta sama kolej nie tylko dostarcza fabrykom łódzkim i warszawskim węgla z Dąbrowy, ale pozwala wywozić gotowe towary w głąb kraju i na daleki Wschód. Bez kolei nie można by wytwarzać na wielką skalę towarów, bez nich ludność robocza nie mogłaby łatwo szukać sobie pracy w okolicach, odległych o dziesiątki mil od miejsca urodzenia, bez nich towary nie byłyby tak tanie, jak obecnie to jest możliwe. Widzimy, że podczas wojny, kiedy koleje, zajęte przewożeniem wojska i materiałów wojennych, a także zniszczone mocno i rozprzężone, nie spełniają należycie swego zadania, ceny na wszystkie towary niezmiernie się podniosły. Zdarza się, że w jednych prowincjach zboże nagromadzone gnije, bo go nie można wywieźć, gdzie indziej zaś ludność przymiera głodem. Wojna najlepiej nas mogła nauczyć, jakie dogodności wypływają z licznych i sprawnie działających dróg, a jakie klęski spadają na nas, kiedy środki przewozowe nie mogą sprostać potrzebom. Dla rolnika zwłaszcza drogi są ważne, gdyż dzięki im podnoszą się ceny zboża, bydła, wełny, nabiału, spadają zaś ceny na maszyny rolnicze, na nawozy sztuczne, na dreny, cegły, metale i wszelkie inne wytwory przemysłu fabrycznego, bez których rolnik nie może się obejść. W krajach, mających dostatek dróg, opłaca się robić nakłady w gospodarstwo, ażeby podnieść wydajność ziemi, by rozwijać mleczarstwo, hodowlę inwentarza i t. d.

Ale koleje i dobre drogi szosowe mają znaczenie nie tylko dla życia rolniczego i przemysłowego, wydają one dobre skutki we wszystkich dziedzinach życia narodu, podnoszą jego znaczenie zarówno polityczne, jak cywilizacyjne.

Kiedy już teraz rozumieć poczynamy, jak wielkie znaczenie posiadają dla każdego narodu dobre drogi, porównajmy nasze drogi gruntowe i wodne z drogami w innych państwach Zachodu i Wschodu, ażebyśmy wiedzieli, co u nas jest na tym punkcie do zrobienia, żeby zrównać się z sąsiadami.

Najlepiej przedstawiał się stan kolei żelaznych przed wojną w Poznańskiem i wogóle w zaborze pruskim. Wprawdzie te dzielnice Polski miały nieco mniej kolei w porównaniu z całym państwem niemieckiem, ale dosyć, jeżeli brać pod uwagę ich mniej gęste zaludnienie. Podczas gdy w całym państwie na tysiąc kilometrów kwadratowych powierzchni kraju przypadało 100 km. kolei, to w Poznańskiem było ich 92 km., w Prusach Zachodnich 88 km., na Śląsku Górnym zaś 111 km.

Można także porównywać liczbę mieszkańców i długość linii kolejowych. Otóż w całym państwie niemieckiem na jeden milion mieszkańców było 910 km. kolei, - w Księstwie Poznańskiem zaś 1270 km., w Prusach Zachodnich 1320 km., na Śląsku Górnym zaś 870 kilometrów.

Widzimy zatem, że jeśli brać pod uwagę liczbę mieszkańców i długość linii kolejowych, to dzielnice polskie w państwie niemieckiem nie stały gorzej od reszty państwa.

Znacznie już gorzej przedstawiał się stan kolei w Galicji, którą władze państwowe austriackie traktowały po macoszemu.

W całym państwie austriacko-węgierskiem na milion mieszkańców przypadało 930 km. kolei, w Galicji zaś było ich tylko 520. Na każdy tysiąc kilometrów kwadratowych obszaru cała Austria miała 65 km. kolei, Czechy 135 km., a Galicja tylko 53 km.

Ale gorzej jeszcze przedstawiał się stan kolei w Królestwie Polskiem, które w r. 1911 miało zaledwie 3394 km. dróg żelaznych, nie licząc podjazdowych (169 km.), co wynosi zaledwie 240 km. na milion mieszkańców, a więc prawie połowa tego co w Galicji.

Najlepiej zda sobie czytelnik sprawę z upośledzenia ziem polskich pod zaborem rosyjskim, o ile chodzi o koleje. z poniższej tabliczki porównawczej.

Kraj	Ile było km. kolei na 1 milion mieszk.	Ile km. kolei przy- padało na 1000 km. powierzchni
Całe Austro-Węgry	930	65
Galicja	520	53
Całe Państwo Niemieckie	910	100

Kraj	Ile było km. kolei na 1 milion mieszk.	Ile km. kolei przy- padało na 1000 km. powierzchni
Księstwo Poznańskie	1270	92
Prusy Zachodnie	1320	88
Prusy Wschodnie	1357	74
Śląsk Górnym	870	111
Rosja Europejska	435	11
Królestwo Polskie	300	28
Litwa, Białoruś i Inflanty	420	21
Kurlandja	804	27
Ruś (Wołyń, Podole i Ukraina)	315	23
Finlandja	2760	21
Szwecja	2260	27
Szwajcarja	1430	120
Francja	1175	89
Danja	1100	80
Norwegja	830	8
Belgja	910	220
Anglja	880	120
Holandja	530	110
Włochy	500	60
Hiszpanja	720	30
Rumunja	550	27
Portugalja	500	28
Bułgarja	300	20
Serbja	240	14
Tureja	300	11
Cała Europa	700	35

Powyższa tabliczka doskonale nam wykazuje, co jest do zrobienia w Polsce, jeżeli mamy zrównać się w rozwoju kolejnictwa chociażby z Niemcami, nie mówiąc już o takiej Szwajcarji albo Belgji. Królestwo Polskie, jeśli brać pod uwagę długość kolei na każdy milion mieszkańców, zajmuje wśród ziem polskich ostatnie miejsce, ustępuje nawet ziemiom litewsko-ruskim, gdzie, jak wiadomo, zaludnienie jest rzadsze. Mamy mniej kolei, niż w całej Rosji, dziewięć razy mniej od Finlandji, pięć razy mniej niż Szwajcarja, cztery razy mniej niż Francja albo Danja. Tak samo upośledzona jest nasza dzielnica Polski, jeżeli porównywać długość kolei i obszar; i tutaj bowiem zajmuje w Europie jedno z ostatnich miejsc. Ile to trzeba

jeszcze pobudować nowych dróg żelaznych, żeby dorównać chociażby zaborowi pruskiemu! Przynajmniej cztery razy tyle, ile ich teraz mamy. A bez kolei nie można nawet myśleć o podniesieniu rolnictwa i przemysłu w Królestwie Polskiem. Jest to więc jedna z najpilniejszych potrzeb kraju.

I drogi bite, wobec rozwoju samochodów, przedstawiają bardzo ważny dorobek i bogactwo narodu. Zobaczmy, jak wyglądają ziemie polskie, jeżeli idzie o drogi gruntowe, czyli inaczej kołowe. Są one, jak dotąd, w wielkiem zaniedbaniu. Rząd rosyjski nie dbał o ulepszenie dróg, nawet te szosy, które dawniej porobiono, ostatniemi czasy przestano poprawiać. Są liczne okolice Królestwa, całkiem pozbawione dróg bitych. Tak zwane polskie drogi nigdy nie mogą zastąpić szos, a w dodatku są u nas okropne jesienią lub wiosną i chyba przeszkadzają jeździć, niż ułatwiają komunikację, zamieniają się bowiem w grząskie błoto.

O tem, jak mało mamy dróg bitych w porównaniu z innymi dzielnicami ziem polskich, da nam niejakię pojęcie następujące zestawienie:

Nazwa dzielnicy	Jeden kilometr dróg bitych obsługuje obszar
W Poznańskiem	40 km. kw.
W Prusach Zachodnich	36 „ „
Na Śląsku Górnym	29 „ „
W Galicji	52 „ „
W Królestwie Polskiem	140 „ „
Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie	710 „ „
Na Litwie i Białej Rusi	735 „ „

Ażeby zatem Królestwo Kongresowe mogło zrównać się z Poznańskiem co do długości dróg bitych, to trzeba ich pobudować 3 do 4 razy więcej, niż ich jest dzisiaj. Na szczęście materiału na nie nie brak, na polach leży mnóstwo granitu, który dostarczy szabru na szosy, a jeżeli kamienia zabrakłoby kiedyś, to można go przywieźć ile tylko potrzeba z Tatr, gdzie, jak pisaliśmy, całe góry składają się z tej skały.

Dróg bitych trzeba nam gwałtownie, budowa ich może dać zarobek setce tysięcy robotników¹⁾, pozbawionych chleba z powodu

¹⁾ Na budowę szos powinno być wydać miliony ministerstwo robót publicznych, zamiast trwonić je na mało potrzebne roboty około rozbierania fortów pod Warszawą

zrujnowania przez Nieniców przemysłu. Będą mogli tutaj pracować także i nasi, co musieli przed wojną wędrować na saksy. Były tylko fundusze na drogi znalazły się, to w przeciągu paru lat wiele bardzo dałoby się tutaj zrobić, i kraj bardzoby się dzięki nowym traktom podniósł.

Równie silną naszą bolączką są drogi wodne, które pozwalałyby przewozić bardzo tanio na znaczne odległości nawet takie towary, których koleją nie opłaciłoby się przesyłać. Drogi wodne są najtańszym środkiem przewozowym i dlatego właśnie rozwój ich ma wielkie znaczenie dla naszej ojezyny. Mamy przecie naszą kochaną Wisłę, która, doprowadzona do porządku razem ze swemi dopływami, może nam oddać wielkie usługi, jako droga wodna. Oprócz Wisły mamy przecież jeszcze i Wartę, i Niemen i sporo rzek pomniejszych, a na Wschodzie Dniestr. Prypeć z dopływami, nie mówiąc już o mniej ważnych. Opatrzność tedy dała nam dość dróg wodnych, ale nie potrafiliśmy z nich dotąd korzystać należycie. Główną przyczyną słabego rozwoju komunikacji wodnej jest nieuregulowanie Wisły w granicach Królestwa Polskiego, a częściowo także w Galicji. Tylko w zaborze pruskim Wisła jest uregulowana. U nas potrzeba pobudować wały ochronne dla zabezpieczenia ludności nadbrzeżnej od wylewów, które corocznie wyrządzają wielkie szkody, zwięzić i pogłębić koryto matki rzek naszych, a wówczas stanowić ona będzie doskonałą drogę, przecinającą ziemie polskie od południa aż do północy.

Rzeki galicyjskie także wymagają na gwałt uregulowania. Nabrałyby one jeszcze większego znaczenia, gdyby pokopano odpowiednie kanały, tak długo i daremnie obiecywane przez rząd austriacki Galicjanom. W roku 1902 uchwalono uregulować Wełtawę i Rabę w Czechach i zbudować kanały, łączące Dunaj z Odrą, Odrę z Wisłą a Wisłę z Dniestrem. Wojna przeszkodziła wykonaniu tych ważnych robót wodnych, które naszym obowiązkiem jest natychmiast wznowić i doprowadzić do skutku możliwie najprędzej. Ważnym bardzo jest kanał Wisła—Dniestr, któryby połączył drogą wodną morze Bałtyckie z morzem Czarnem w sposób możliwie najkrótszy. Najlepiej stoi sprawa połączeń wodnych w b. zaborze pruskim, gdzie Wisła przez kanał Bydgoski łączy się z Odrą. Warta w granicach Ks. Poznańskiego jest, tak jak i Wisła, uregulowana. Ziemie polskie nie mogłyby jednak swobodnie rozwijać się gospodarczo, jeżeliby nadal były pozbawione wolnego dostępu do morza, które stanowi drogę do dalekich krajów świata całego, jest jakby piersią dla każdego państwa, służącą do szerokiego oddechu. Na szczęście zwycięska koalicja

pomyślała o tym wielkim braku i umożliwiła nam korzystanie z portu w Gdańsku, doskonale dla nas położonego u samego ujścia Wisły do Bałtyku. Ten port morski będzie miał niezmiernie ważne znaczenie dla handlu polskiego; będzie on jakby koroną szeregu portów na Wiśle: toruńskiego, fordońskiego, chełmskiego, grudziądzkiego, warszawskiego i innych. Do Gdańska będą szły towary, spławiane z całej Polski Wisłą i jej dopływami, a stamtąd okrętami wprost do Anglii, Francji i innych krajów Zachodu. Polska będzie miała do swego rozporządzenia najtańszą drogę wodną, jaką jest droga morska. Trzeba tylko zbudować, lub nabyć odpowiednią liczbę okrętów handlowych, któreby nam posłużyły do wywozu i dowozu towarów za morze i z za morza. Otwiera się, dzięki portowi morskemu, zupełnie nowa era dla handlu polskiego, nowe źródła bogactw trysnęły, dzięki koalicji, dla naszej ojczyzny. Obyśmy tylko potrafili z nich korzystać. Zależy to od naszej energii i przedsiębiorczości, od zrozumienia, czem jest morze dla każdego wielkiego narodu.

OŚWIATA NAJWAŻNIEJSZĄ POTRZEBĄ POLSKI.

Narody zachodnie oddawna zrozumiały, że oświata najprędzej i najpewniej prowadzi do bogactwa, wolności i potęgi, dlatego też rządy nie żałują pieniędzy na cele oświatowe. Ale i nasi wrogowie, Rosjanie, pamiętali o tem, że oświecony i świadomy swej siły naród nie dałby się trzymać w niewoli, dlatego też wszelkimi środkami starali się tamować rozwój oświaty w Królestwie Polskiem, i doszliśmy skutkiem tego do bardzo smutnego stanu rzeczy, gdyż stanęliśmy na szarym końcu wśród narodów ucywilizowanych, dalej nawet aniżeli sami Rosjanie, którzy do niedawna uchodzili słusznie za najbardziej na tem polu zacofanych.

To zło należy co najprędzej usunąć dla bardzo wielu powodów. Ciemnota jest najważniejszą zaporą dla rozwoju narodowego, ona to na każdym kroku będzie udaremniała najuczciwsze nasze dążenia do rozmaitych korzystnych dla narodu zmian na lepsze. Lud ciemny będzie odnosił się z nieufnością do każdej reformy, będzie się starał ją udaremnić, bo nie będzie w stanie zrozumieć jej doniosłości i pożytku.

Wiadomo bowiem, że człowiek nieoświecony jest nieufny. a z drugiej strony bardzo łatwo wyprowadzi go w pole sprytny szalbierz, który potrafi wykorzystać przesądny, który wmówi mu, że białe jest czarnem i naodwrot. A skąd pochodzi ta nieufność prostaka i ta jego łatwowierność zarazem? Właśnie stąd, że nie umie zasięgnąć prawdy z bezstronnego źródła, że dopiero znajomość czytania, pisania i rachowania, t. j. styczność z dobrą książką, daje mu możność wyrobienia sobie własnego niezależnego zdania o każdym zajmującym go przedmiocie.

Dopóki zatem nasz lud nie otrzyma chociażby do ręki tego klucza do oświaty, jakim jest umiejętność czytania i pisania, dopóty wszelka praca dla ludu i przy pomocy tegoż ludu będzie niezmiernie w Polsce utrudniona, dopóty nie będzie można nigdy przewidzieć, jak ten lud przyjmie usiłowania swych przedstawicieli, dążące do poprawienia jego bytu i do podniesienia kraju.

Co gorsze, będzie on ofiarą różnych nieuczciwych polityków i niebieskich ptaków, którzy, schlebiając jego słabostkom, albo wykuszując jego nieświadomość, będą jego kosztem się tuczyli i przygotowywali grunt pod zepsucie w polityce. Oświata jest więc najlepszą bronią odporną dla szerokich mas, a z drugiej strony daje rękojmę oświeconym jednostkom, że ich uczciwa praca znajdzie poparcie i uznanie ogółu.

Ale nie idzie tutaj jedynie o politykę, o urządzenie Polski na ład europejski w najbliższej przyszłości. Trzeba pamiętać, że nadechodzą inne, nowe czasy, w których nasz lud musi stanąć jako równy z równym do walki o byt z innymi warstwami społecznymi. Chłop z Królestwa musi zacząć gospodarować równie dobrze jak chłop poznański, niemiecki, łub duński, bo inaczej grozi mu wyrzucenie z ojczystego zagona, jeżeli nie podola ciężarom, jakie na jego barki musi włożyć państwo, przez niego także rządzone i dla jego dobra istniejące. A czyż nasz włościanin potrafi sprostać tym ciężkim obowiązkom, jeżeli go nie oświecimy? Podobnie też przemysł, powołany do nowego życia, będzie wymagał inteligentnego robotnika, który potrafi i chce pracować, oraz zna się na tajnikach swojego fachu; rzemieślnika, którego wyroby będą mogły wytrzymać konkurencję z wyrobami zagranicznymi. Handlu w swoje ręce nie ujmie człowiek, nie umiejący doskonale czytać, pisać i liczyć, nie znający się na towarach. To są wszystko prawdy widoczne dla każdego bardziej rozwiniętego człowieka. Oświata jest nam potrzebna na każdym kroku. Bez niej człowiek jest niby kaleką, niezdolnym dorównać zdrowym swoim współzawodnikom. Jeżeli więc chcemy zostać naprawdę wielkim, zasobnym, potężnym narodem, godnym stanąć w jednym rzędzie z zachodnimi ludami Europy, to musimy za wszelką cenę rozniecić w Polsce ogniska oświaty.

A zadanie to, niestety, bardzo trudne do przeprowadzenia, wymagające dużo czasu i środków.

Najważniejszą i najpilniejszą sprawą jest usunięcie strasznej, trapiącej nasz ogół kłęski, zwanej analfabetyzmem; mówiąc innymi słowami, trzeba dać zarówno ludziom dorosłym, jak i dzieciom umiejętność chociażby tylko czytania i pisania, postawić ich na pierwszy szczebel tej wielkiej drabiny, która nazywa się wiedzą.

A my, niestety, gorzej stoimy, jeśli idzie o to, aniżeli nawet wiele ludów wyspiarskich, zamieszkałych gdzieś na krańcu świata. Australja, Nowa Zelandja, Południowa Afryka, Japonja, Chiny, prawie że nie mają ludzi nie umiejących czytać. Wstyd to wielki dla nas,

Polaków. Mamy na swoje usprawiedliwienie to jedno chyba, że żyliśmy dotąd pod rządem, który za nauczanie czytania sadzał do kozy.

Liczby, które przytaczamy, są bardzo wymowne.

W r. 1897 w Królestwie Polskiem umiało czytać zaledwie 41 mieszkańców na 100. Najwięcej przytem w b. gub. Warszawskiej, bo 51 na 100, najmniej w b. gub. Radomskiej i Kieleckiej, bo zaledwie 30 na 100. Rosja, wzięta jako całość, nie stała niżej na tem polu, chociaż do niedawna uchodziła za najbardziej zacofane oświatowo państwo. W r. 1904 w Rosji Europejskiej umiało czytać 54 na 100, a w r. 1905 już nawet 59 na 100 popisowych czytało i pisało.

Trzeba więc zacząć oświatową pracę od założenia w Polsce wielkiej liczby kursów czytania i pisania dla dorosłych przy pomocy państwa; należałoby do nauki zachęcać wszystkich, którzy nie ukończyli jeszcze 40 roku życia. Równocześnie postarać się o to, żeby w każdej wsi znajdowała się czytelnia pożytecznych i zajmujących książek, z którejby mogli korzystać wszyscy, pragnący rozszerzyć swoje wiadomości.

Najważniejszą jednak sprawą jest postawienie na trwałych podstawach szkolnictwa początkowego. Tylko bowiem dobrze urządzone szkolnictwo powszechne, połączone z obowiązkiem rodziców posyłania do szkoły dzieci, wszystkich bez wyjątku, może z biegiem czasu przygotować grunt do oświaty szerokich mas narodu polskiego. Nauczanie początkowe powinno być przytem bezpłatne, a więc dla każdego najuboższego nawet dostępne. A szkolnictwo początkowe, jak obecnie, stoi bardzo kiepsko w Królestwie. I na tem polu pobija nas nawet Rosja!

Jedna szkoła początkowa u nas przypadała na 2448 ludności, w Rosji Europejskiej zaś na 1432. Od r. 1880 do 1911 liczba szkół początkowych w Rosji zwiększyła się bardzo znacznie w porównaniu z Królestwem. W Galicji było znacznie lepiej, tam bowiem wprowadzono, na papierze przynajmniej, oddawna nauczanie powszechne i obowiązkowe. Jedna szkoła przypadała na 1483 ludności, a zatem szkolnictwo stało tam (na tym poziomie, co w Rosji Europejskiej. Wszystkich szkół ludowych było w tej dzielnicy przed wojną 5412.

Prusy, należy to przyznać, są krajem w Europie, gdzie szkolnictwo było może najlepiej postawione. Między rekrutami nie znalazłbyś tam niepiśmiennego, chyba jednego na 100 co najwyżej. Dzielnica poznańska korzystała z urzędniców ogólnopaństwowych i chociaż szkoła tamtejsza nie była polską, lecz niemiecką, nie mniej przeto każdy Poznańczyk umie czytać i pisać. To samo da się po-

wiedzieć o Prusach Zachodnich i o Śląsku. W Poznańskim jedna szkoła przypadała na 711, w Prusach Królewskich na 715 ludności! Jakże nam do tego daleko, żeby sprostać naszym braciom z Poznańskiego!

Chcę zrozumieć przepaść, jaka nas dzieli na polu oświecenia od sąsiadów z Zachodu, przyjrzyjmy się jeszcze kilku liczbom, wskazującym, ile dzieci na tysiąc mieszkańców uczy się w szkołach. A więc w 1913 r. w Królestwie Polskiem na każdy tysiąc ludności uczęszczało do szkoły zaledwie 30 dzieci, podczas gdy w Galicji 130, a w Poznańskim aż 193, to znaczy niemal sześć razy tyle, co u nas! Musielibyśmy zatem założyć sześć razy tyle szkół początkowych, ile ich mamy dzisiaj w Królestwie, żeby dogonić naszych braci z Poznańskiego. to znaczy zbudować 23.000 nowych domów szkolnych, urządzić je, wyposażyć w pomoce szkolne, a co najważniejsze, przygotować dla nich odpowiednio liczny zastęp zawodowych nauczycieli. co jest równie trudną, a może nawet najtrudniejszą sprawą. Ponieważ ci nauczyciele nie istnieją, przeto dla ich wykształcenia należy założyć kilkadziesiąt seminarjów. Szkolnictwo początkowe w samym Królestwie pochłonie zatem wielkie pieniądze i wymaga kilku lat uciążliwej, ale zato błogosławionej w następstwach swoich dla kraju pracy, której w żaden sposób niepodobna odkładać na później: im bowiem prędzej staniemy się oświeconem społeczeństwem, tem rychlej osiągniemy korzyści, stąd wypływające. Inaczej nie zdążymy się urządzić w nowej, rozszerzonej i wyzwolonej ojczyźnie i znowu możemy, jako słabi, nie rozumiejący swoich interesów, popaść w zależność od sąsiadów. Na szkolnictwo nie należy zatem skąpić ani grosza, ani trudu.

Jest to jednak dopiero pierwsza, choć narazie najważniejsza część. wielkiego zadania oświecenia Polski od nizin aż do szczytów. Dla osiągnięcia tego wielkiego celu musimy zaprowadzić rozumną reformę nauczania. Mojem zdaniem, należy podzielić szkoły na trzy stopnie: szkołę ludową, (powszechną), szkołę średnią i szkołę wyższą. Każda z tych szkół dałaby swoim wychowankom wykształcenie ogólne, któreby było uzupełnione wykształceniem zawodowem.

Teraz bowiem musimy naprawić zło, polegające na tem, że nie posiadamy dostatecznej liczby ludzi zawodowo wyszkolonych, zdolnych do objęcia wielu placówek, które muszą być w najbliższym czasie obsadzone. Nie mamy dostatku ani rolników fachowych, czy to drobnych, czy wyżej wykształconych, nie mamy, jak powiedziałem, nauczycieli. brak nam gwałtownie lekarzy, inżynierów, którzy będą mogli

dźwignąć i rozszerzyć nasz przemysł po wojnie; nie posiadamy dość prawników na urzędy sędziowskie i inne, ani dość wykwalifikowanych urzędników, słowem, jesteśmy ubodzy w inteligencję zawodową, średnią i wyższą.

Trzeba więc tę inteligencję przygotować. Szkoła ludowa powinna być uzupełniona przez szkołę niższą zawodową, w której synowie drobnych rolników znaleźliby przygotowanie naukowe czy to w rolnictwie, czy w rzemiośle, czy w handlu. Nie można bowiem obniżać fachowej nauki przez zaszczipianie jej na nowinie.

Podobnie szkoła średnia, odpowiadająca w przybliżeniu dawnej szkole wojewódzkiej, czteroklasowej, w której młodzież nabierałaby nieco wyższego zasobu wiadomości ogólnych, byłaby uzupełniona średnimi szkołami zawodowymi, przygotowującymi pracowników inteligentnych w przemyśle, rolników na nieco większych obszarach, kupców mniejszych, dobrych rzemieślników i t. p.

Z takiej szkoły fachowej średniej wychodziłby najliczniejszy zastęp pracowników, uzdolnionych do różnych zawodów i mogących w razie nieodzownej potrzeby, zastąpić wyżej wykształconych zawodowców.

Wreszcie do wyższych szkół t. zw. akademij, młodzież przygotowywałaby się w szkołach 8-klasowych, odpowiadających dzisiejszym gimnazjom. Przechodziliby ten przydługi nieco kurs nauk średnich ludzie, zamierzający kształcić się na prawników, profesorów, lekarzy, inżynierów, budowniczych, wojskowych, słowem, najwyżej wykształconych zawodowców. Koroną tego systemu byłyby akademje (uniwersytety) z kursem nauk 4-ro lub 5-letnim. Szkoła średnia ogólna i zawodowa narazie powinny być wzięta w największą opiekę przez państwo, ażeby w możliwie najkrótszym czasie przygotować dla Polski zastęp uzdolnionych pracowników na wszystkich polach. W tym celu należałoby założyć kilkaset szkół tego poziomu z kursem 3-letnim.

Wyższych uczelni także mamy, jak dotąd, za mało. Uniwersytety w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Lublinie i Wilnie w połączeniu z akademją w Poznaniu, to za mało na dwudziestokilkomiljonowy naród. Pamiętajmy, że taka Szwecja, licząca 7^{1/2} miliona mieszkańców, ma siedem wyższych uczelni, czyli jedna uczelnia przypada na milion mieszkańców. Jeżeliby równie dobrze ehać zaopatrzyć Polskę, to należałoby założyć jeszcze z 10 przynajmniej uniwersytetów. Trzeba prócz tego ze 3 jeszcze politechniki dla przygotowania zastępu inżynierów różnych specjalności. Konieczna jest także akademja wojskowa dla wyższych oficerów armji polskiej. Nie może też kraj

zaniedbać otwarcia pomocniczych zakładów, w których ludzie z wyższym wykształceniem mogliby oddawać się pracy czysto naukowej, mającej na celu robienie nowych odkryć na różnych polach wiedzy ludzkiej. Idzie bowiem o to, żeby nauka polska rozwijała się, żeby nasi badacze dorzucali do ogólnego skarbcza ludzkości swój własny dorobek.

Widzimy z tego pobieżnego przeglądu naszych potrzeb oświatowych, jak wielkie zadania czekają zmartwychpowstałą Polskę na tem polu. A zadania te, powtarzamy, są pilne, i nie możemy odkładać ich wypełnienia na później, bo jeżeli nie skorzystamy jak najprędzej z przyjaznych warunków, stworzonych przez wojnę, to zaniedbanie to pociągnie za sobą dla nas jak najgorsze następstwa. Pozwolimy się bowiem ubiec naszym wrogom, którzy tylko czyhają na to, ażeby wziąć pod swój płóg zaniedbane przez nas niwy narodowe i uprawiać je na własną korzyść.

Wziąwszy to niebezpieczeństwo pod pilną uwagę, każdy dobrze myślący Polak przyznać musi, że sprawa oświaty jest istotnie jedną z najpilniejszych do załatwienia w Polsce zjednoczonej i niepodległej.

POLSKA MUSI SIĘ DOBRZE RZĄDZIĆ.

Cudem, można to śmiało powiedzieć. odzyskaliśmy niezależność polityczną, cudem, bo czyż nim nie jest zdumiewające runięcie w gruzy trzech największych mocarstw świata. trzech cesarstw. które sprzymierzyły się w swoim czasie na zgubę Polski i rozerwawszy ją, pilnie strzegły swego łupu przez lat sto z okładem. Takiej katastrofy nikt się nie spodziewał, bo trudno było przewidzieć ją nawet dla najbystrzejszego wzroku politycznego. Ale stało się, dzięki rządzeniu Opatrzności spadły z nas wiekowe pęta niewoli, z których ostatnie zrzucamy w wojnie z bolszewikami. Wyrwaliśmy pomimo wszystko. nie daliśmy się zniszczyć, dzięki przywiązaniu do Ojczyzny, które. jak święty ogień, nigdy nie wygasło w naszych sercach, i to wytrwanie może było naszą największą zasługą.

Teraz, kiedy zbliża się nowy okres życia w świetle wolności. musimy sobie powiedzieć, że niedosć jest odzyskać niezależność polityczną: trzeba jeszcze umieć się urządzić w swoim własnym domu, tak żeby w nim wszyscy czuli się dobrze. żeby nikomu nie działa się krzywda, ubezpieczyć na przyszłość ten swój dom. żeby oparł się wszelkim burzom, wszelkim wrogim usiłowaniom naruszenia jego całości.

Słowem. Polska. chcąc być szczęśliwą. potężną, bogatą. musi się dobrze rządzić.

Co to znaczy, dobrze się rządzić? Nie tak łatwo dać odpowiedź na podobne pytanie. Lepiej sięgnąć w niedaleką przeszłość. kiedy to trzech zaborców pastwiło się nad nami, i przypatrzeć się ich rządóm w Polsce. Wówczas będziemy wiedzieli, co to jest zły rząd. Potem już łatwiej zdołamy sobie określić. jakim dobry rząd być powinien.

Najgorszymi były, bez wątpienia. rządy rosyjskie w Królestwie Polskiem; zawsze wrogo dla nas Polaków usposobione. rządziły krajem nie dla naszej korzyści, ale dla korzyści państwa rosyjskiego. Rząd nie tylko nie dbał, żebyśmy się bogacili, ale przeciwnie, robił wszystko. co tylko się dało, żeby nas upośledzić, zubożyć. Nie zaprowadzał sam dobrych praw i urzędzeń. a nawet przeszkadzał nam,

ilekróć chcieliśmy co dobrego zrobić dla kraju. Podatki, czerpane z kieszeni naszych, nie szły na nasze potrzeby, ale głównie na potrzeby rdzennej Rosji, która w dodatku płaciła mniejsze podatki od nas. Tymczasem dobry rząd powinien w równej mierze dbać o potrzeby wszystkich narodowości, wchodzących w skład państwa, baczyć, żeby się grosz publiczny nie marnował. Z dochodów Królestwa, które wynosiły 230 milionów rubli rocznie, w kraju pozostawała zaledwie połowa, a i z tej połowy na produkcyjne wydatki szło zaledwie 2 ruble na jednego mieszkańca, podczas gdy w Rosji rdzennej dwa razy tyle. W dodatku trzeba pamiętać o tem, że urzędnicy rosyjscy ściągali z ludności wiele milionów podatku w postaci łapówek, bez których nikt nie mógł załatwić żadnego interesu.

Jednem ze źródeł dochodów są cła, opłacane od towarów, wwożonych w granice państwa. Rząd rosyjski tutaj bardzo nas krzywdził, Rosjanie kazali bowiem płacić drogo za przewóz towarów naszych do Rosji, a tanio sprowadzali kolejami swoje towary do nas, co na jedno wyniesie, jak gdyby nasze towary obłożyli podatkiem wwozowym do Rosji, a swoim ułatwiali wóz do Królestwa. Działo się tak głównie z naszym zbożem i z naszymi wyrobami tkackimi. Zawierając umowy celne z innymi państwami, rząd miał na uwadze tylko Rosjan, a Polaków traktował jak najgorzej i narażał na szwank nasze interesy. Nie dawał przy tem naszym fabrykantom obstalunków rządowych na uzbrojenie, umundurowanie armji, na materiał kolejowy i t. d. Skutkiem tego przemysł i handel rozwijał się u nas nie tak, jakby należało. Dobry rząd powinien postępować całkiem przeciwnie: popierać rozwój krajowego przemysłu i handlu, żeby robotnik miał lepsze zarobki i nie potrzebował szukać chleba u obcych. Również dbałość o podniesienie rolnictwa jest troską każdego bezstronnego rządu.

Tymczasem co się u nas działo? Rząd nie krzewił ani oświaty rolniczej, ani nie dbał o zakładanie kółek, kooperatyw rolniczych, nie zaprowadził komasacji, nie ułatwił porozumienia się właścicieli większych majątków z chłopami o zniesienie serwitutów, ani nie nakładał ceł ochronnych na zboże, przychodzące z zagranicy, parcelację popierał niedostatecznie, na Litwie nawet osadzał kacapów na polskich gruntach, zakupionych przez bank włościański, sprzedawał parcele nie zabudowane, ale wprost ziemię i niebo, zabraniał nawet chłopom polskim kupować ziemię na Litwie i na Rusi, należeć do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gdzieby mogli korzystać z taniego kredytu, bo się lękał, żeby chłopci się nie zjeżdżali i nie radzili z panami nad poprawą swego bytu i o innych sprawach, które wszystkich powinny

obchodzić. Słowem, rząd rosyjski nie chciał, żeby chłop polski się bogacił i oświecał, wolał dobrze robić rosyjskiemu chłopu, który nie może dorównać naszemu pracowitością i przywiązaniem do ziemi ojców. A rząd powinienby był przecież dbać o rozwój tej najliczniejszej w Polsce warstwy narodu. Rząd polski zaś odrazu zaczął radzić nad tem, jak poprawić byt rolnika drobnego i pragnie ten cel osiągnąć jak najprędzej. O drogach niema co mówić: Moskale nie tylko kradli grosz, przeznaczony na budowę i utrzymanie szos, ale nawet kasować zaczęli przed wojną niektóre stare. A przecież rolnik bez dobrych dróg nie może się obejść.

Ważną bardzo jest sprawa oświaty, jak to wyłożyliśmy w odpowiednim rozdziale tej książki. Dobry rząd popiera ją wszelkimi siłami, wiedząc, że na tej drodze polepszy prędzej czy później dobrobyt mas szerokich, rząd rosyjski zaś tamował wszelkimi siłami rozwój oświaty, karał ludzi, którzy pokryjomu uczyli dzieci wiejskie czytania i pisania po polsku, narzucał nam język rosyjski w szkole zarówno początkowej, jak średniej i wyższej, słowem, wszelkimi sposobami starał się nie wpuścić światła do głowy polskiej.

Dobry rząd powinien zabezpieczyć każdemu mieszkańcowi państwa swobodę wyznania takiej wiary, jaka wydaje mu się najlepszą. A co robił rząd rosyjski? Prześladował religję katolicką na każdym kroku, przerabiał kościoły na cerkwie, wypędzał i więził księży, srodze gnębił unitów na Podlasiu i w Chełmszczyźnie, nie pozwalał na procesje. Rząd polski zaś po wsze czasy odznaczał się tem, że nikogo za przekonania religijne nie prześladował i napewno tak samo będzie na przyszłość postępował. Bez wolności niema dobrych rządów. A wolność trzeba rozumieć szeroko, boć nie sama wolność wyznania jest potrzebna. Muszą istnieć prawa, któreby brały pod opiekę wszystkich zarówno: ubogich i bogatych, szlacheiców, mieszczan i włościan, nie czyniąc żadnej różnicy między nimi. Obywatel państwa dobrze rządzonego niech się czuje jak u siebie w domu, niech ma możność zakładania stowarzyszeń i związków, jakie uzna dla siebie za pożyteczne, niech ma prawo wypowiedania w druku i w słowie swojego zdania o wszystkim, co go interesuje, niech go nie karzą za krytykowanie rządu, jeżeli tenże zasłużył na to swoim postępowaniem, niech nikt nie ma prawa pozbawić go bez należytej winy wolności osobistej, czyli zamknąć w więzieniu, niech urzędnicy nie dopuszczają się żadnych nadużyć, niech sprawiedliwość każdemu będzie szybko i bezstronnie wymierzana, niech wszyscy mają prawo brać udział w rządach przez swych posłów (przedstawicieli), niech urzędy, o ile

możności, będą wybieralne, słowem, niech naród ma sobie zapewnione tak zwane swobody konstytucyjne.

Dziś dopiero, kiedy wypędziliśmy z Polski wrogów i zaborców, możemy zakosztować tej słodkiej wolności, o którą ludy krew chętnie na polach bitew przelewały przez tyle wieków, a my między niemi. Rząd rosyjski najmniej nam zapewniał swobod. Niemcy uchwalali prawa, wymierzone przeciwko Polakom, i nazywali je wyjątkowemi, a w ten sposób gnębili nas niby to legalnie. W Austrii nie działo się wiele co lepiej. Jakże dalecy dziś jesteśmy od tych niedawnych, a tak okropnych czasów, kiedy to znosiliśmy najokrutniejsze prześladowania naszych wrogów, którzy uważali nas za swoich niewolników.

Wolność jednak nie powstaje odrazu, musi się powoli ugruntować, musi tak jak drzewo zakorzenie się głęboko, żeby lada podmuch przeciwnego wiatru nie obalił jej.

Po tem, cośmy powiedzieli o złych rządach i o dobrych, łatwo już pojmiecie, jakie rządy są Polsce potrzebne, żeby naród polski czuł się wolnym i szczęśliwym, żeby dążył do dobrobytu powszechnego. Krótko mówiąc, rząd dobry musi dbać: o powiększenie dobrobytu w kraju, o podniesienie rolnictwa, przemysłu, oświaty. musi dobrze zarządzać funduszami państwowemi i używać ich na użytek wszystkich mieszkańców bez różnicy stanu i wyznania, stopnia zamożności i t. d. Musi rozkładać równomiernie między wszystkie warstwy ludności ciężary, służące dla utrzymania i obrony państwa, musi się starać, żeby długi państwa nie rosły bezpotrzebnie i nieprodukcyjnie, ułatwiać życie obywatelom państwa, zamiast je utrudniać na każdym kroku, słowem, winien być opiekunem narodu, a nie jego wyzyskiwaczem i prześladowcą; zapewnić swobodę sumienia, zebrań, prasy, związków, obsadzać urzędy ludźmi godnymi, zdolnymi i uczciwymi, wymierzać sprawiedliwość każdemu bez różnicy, nikogo nie pozbawiać bez powodów wolności osobistej, tępć złodziejstwa, bandytyzm, to znaczy zapewnić bezpieczeństwo życia i mienia obywatelom, roztaczać nad nimi opiekę nawet zagranicą, jeżeli okaże się tego potrzeba, np. nad emigrantami lub wychodźcami sezonowymi na zarobki; musi prowadzić taką politykę zagraniczną, żeby odsuwać niebezpieczeństwa, grożące krajowi ze strony sąsiadów, zawierać pożyteczne przymierza z innymi narodami, unikać bezpotrzebnych wojen, dbać o to, żeby pieniądze nie uciekały z kraju do obcych, żeby skarb bogacił się, żeby w kraju kursował dobry pieniądz, ceniony zagranicą zarówno, jak wewnątrz państwa; opiekować się nauką polską i sztuką i t. d.

Ma się rozumieć bowiem, że w tym krótkim i pobieżnym zarysie nie o wszystkim da się powiedzieć, ale to, cośmy przytoczyli, wystarczy, jak sądzę, do tego, żeby sobie czytelnik mógł wyrobić pojęcie, na czem polegają dobre, a na czem złe rządy.

Nie wątpimy, że w Polsce zapanują niebawem dobre rządy, że Polak przestanie być niewolnikiem, a stanie się wolnym, korzystającym z pełni praw, obywatelem kraju, zasługującym na szacunek innych ludów, które dawniej, niż my korzystają z dobrodziejstw wolności; wierzymy, że Polska, da Bóg, stanie się dużym, potężnym, wolnym państwem, w którym wszystkim nam będzie dobrze. Ale pamiętajmy, że wszyscy dążyć musimy usilnie do osiągnięcia takiego błogosławionego stanu rzeczy. Jeżeli nie będziemy spełniali swoich obowiązków wobec państwa polskiego, jeżeli poskąpimy mu ofiar z krwi i mienia w razie potrzeby, jeżeli będziemy nadużywali swobód kosztem innych naszych braci, to Polska nigdy nie dźwignie się z upadku, nigdy nie wzniesie się na poziom państw europejskich. Od nas ostatecznie zależy, jaka będzie ta nasza wspólna ojczyzna. Przysłowie słusznie powiada: „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi“.

REFORMY SPOŁECZNE.

Potrzebę szerokich reform społecznych rozumiano już oddawna w Polsce, bo jeszcze przed rozbiorami. Każdemu bowiem rzucały się w oczy braki w urządzeniach społecznych i w organizacji rządu Rzeczypospolitej. Cały zastęp pisarzy wieku osiemnastego, między nimi taki Leszczyński, Jabłonowski, Konarski, Wybicki, księża Popławski i Staszyc, zastanawiali się nad tem, jakie zmiany są potrzebne dla odrodzenia chylącej się do upadku ojczyzny. Nie było takiej dziedziny życia społecznego, do którego by nie zajrzał wzrok tych reformatorów, nie wykrywał braków, nie wskazywał środków naprawy. Wskazywano wówczas na to, że naród polski musi się pozbyć wielu grzechów, jak sobkostwa, przekładania prywatnej korzyści nad publiczną. Słowem, że powinien odrodzić się moralnie, głoszone wzniosłe hasła, między któremi miłość ojczyzny na pierwszym stawiano miejscu, chciano stworzyć nowe polskie szkolnictwo, usunąć poniżenie stanów niższych, przyznać prawa polityczne miastom, zapewnić włościanom wolność osobistą i prawo do posiadania na własność gruntów, zniesienia ponoszonych przez nich ciężarów, zwłaszcza robocizny, chciano naprawy Sejmu, stworzenia dobrego zarządu państwowego, któryby podniósł rolnictwo, przemysł i handel, dążono do stworzenia silnego wojska, wzmocnienia skarbu przez podatki, do których pociągano wolną od nich szlachtę.

Pracowano usilnie przez lat kilkadziesiąt słowem i pismem, ażeby przygotować reformę, którą miał uchwalić wielki Sejm, czteroletnim zwany, gdyż przez lat 4 obradował nad naprawą Rzeczypospolitej. Cicho, powoli, stopniowo dokonywało się wielkie odrodzenie narodu samego i budziły się nowe myśli, nowe dążenia, które obejmowały coraz szersze warstwy.

Ów Sejm miał przed sobą również olbrzymie zadanie, jakie leży przed Sejmem Ustawodawczym odrodzonej do nowego życia Polski po wszechświatowej wojnie. Wówczas, tak jak dzisiaj, należało rozpocząć dzieło od reformy społecznej, gdyż sięgała ona najgłębiej i wymagała największego poświęcenia ze strony szlachty, wszechwładnie wtedy rządzącej w Polsce.

Ale brak silnego rządu i bezład dawały się również silnie odczuwać, zatem rozpoczęto od naprawy rządu, a w dziedzinie społecznej zrobiono bardzo mało.

Reforma, wyrażona w t. zw. konstytucji 3 maja, była istotnie wielką, gdyż dokonała odrazu tego wszystkiego, czego dawniej nawet z osobna nie odważono się wprowadzić, mianowicie: nadała prawa stanom niższemu, uchyliła sławne liberum veto, czyli możliwość zerwania Sejmu przez jednego sprzeciwiającego się uchwałę posła, które tyle szkody zrobiło Rzeczypospolitej, zniósła obieralność królów, a zaprowadziła natomiast dziedziczność tegoż tronu, wzmocniła władzę królewską i rządu, słowem, usunęła wszystko, na co Polska od wieków chorowała, i stworzyła dla niej lepsze warunki bytu. Wielkie to dzieło było dziełem ludzkim, a więc nie mogło rościć sobie pretensyj do doskonałości. W kilku sprawach, a mianowicie w sprawie mieszczniańskiej i włościańskiej wyraźnie konstytucja zaznaczyła, że to, co wprowadza, nie jest najlepszym. wołała jednak obrać drogę pośrednią, gdyż skrajna byłaby jej grunt z pod nóg usunęła.

I tak bowiem znalazło się mnóstwo niezadowolonych, którzy związali się przeciwko nowinom, i popierani przez carową rosyjską, Katarzynę, utworzyli smutnej pamięci „konfederację targowicką“.

Konstytucja 3 maja nie była ślepem niewolniczym naśladowaniem wzorów zachodnich, w Polsce nieznanym, ale nie mniej przeto była reformą wielką, na gruncie narodowym postawioną, i przez to właśnie dostosowanie do potrzeb kraju miała zapewnione wykonanie.

I napewno wcieliłaby się ona w czyn, gdyby nie nieszczęsna katastrofa ostatniego rozbioru, poprzedzona powstaniem kościuszkowskim, i upadkiem tegoż. Wrogi państwu polskiemu sąsiednie potęgi nie życzyły sobie, tak jak i dziś, odrodzenia się Polski, nie chciały, żeby chora Rzeczpospolita uzdrowiła się dzięki lekowi, które sama sobie przyrzędziła.

Nie ulega dziś żadnej wątpliwości, że Polska wówczas, mimo liczne niedomagania, sama zawróciłaby ze złej drogi i zakwitnęła na nowo, gdyby nie obca przemoc i przewrotność trzech państw sąsiednich. Ale chociaż konstytucja 3 maja upadła, nie mniej przeto przyniosła nam korzyść najdonioślejszą, była bowiem odrodzeniem narodu. Przyszła zaś do skutku, trzeba to zaznaczyć wyraźnie, nie przez siłę, nie przez przemoc dobijających się o swe prawa klas upośledzonych, nie przez nacisk ze strony rządu, dążącego do wzmocnienia swej władzy, nie za poparciem obcego państwa, lecz zrodziła się bez krwi rozlewu, z własnej, niczem nie skrepowanej woli samego narodu.

Musiał ten naród mieć wiele siły i hartu w sobie, niestartych całkiem i niespożytych świeżym upadkiem, skoro dzieła takiego dokonać potrafił. Na ciemnym widnokregu dziejów naszych zapalił odrazu słońce tak jasne, że rozproszyło zmrok przeszłości, tak silne, że nam do ostatnich czasów przyświecało i otuchę w sercach nieciło.

Dziś naród, powołany do nowego niepodległego życia, stanął przed podobnem zadaniem, słuszna więc, że rzuciliśmy okiem w przeszłość, żeby z niej zaczerpnąć wzory. Nie drogą rewolucji i rozlewu krwi bratniej naród polski stworzy formy nowego życia społecznego w niezawisłej Ojczyźnie, ale drogą wzajemnych ustępstw, ofiar i braterskiego porozumienia się między stanami. To jest naczelnym drogowskazem na dzień dzisiejszy dla tych, którzy reform pragną i potrzebę ich widzą. Niemasz co do tego dwóch zdań, że wielorakie reformy są w Polsce potrzebne. Mówiliśmy już o najważniejszych naszych niedomaganiach na różnych polach, ale leży jeszcze przed nami rozległa niwa polityczno-społeczna, porośła chwastem, albowiem zaborcze rządy czuwały nad tem pilnie, żeby na tym zapuszczonym od stu lat ugorze pług, dobrą wolą kierowany, nie poruszył skwaśniałej gleby. Im gorzej w Polsce się działo, tem bardziej cieszył się nasz wróg trojaki, widząc w nas łatwą zdobycz w niedalekiej przyszłości. Oto dlaczego czeka nas dziś wielka praca, do której w pierwszym rządzie jest powołany Sejm Ustawodawczy, żeby, co złe, naprawić jak najprędzej, żeby wzniesić trwałe gmach swobód i urzędzeń politycznych.

Od Sejmu oczekujemy uchwalenia konstytucji, któraby zapewniła Polsce rozwój na kilka wieków i uczyniłaby z niej państwo ludowładcze (demokratyczne), na wzór wielkich państw zachodu.

To zdemokratyzowanie Polski od góry do dołu, zniesienie przywilejów, przywiązanych do urodzenia, lub do majątku, nie zaś do zasług i zdolności osobistych, jest jedną z najważniejszych reform, jakich oczekujemy. Nie można zaprzeczyć, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wiele się zmieniło na lepsze: szlachta, która niepodzielnie rządziła w Polsce, trzymała w swem ręku niemal całe bogactwo kraju i korzystała wyłącznie z przywilejów, jakie daje rządzenie, obecnie nie rości sobie już pretensyj do przewodniczenia narodowi: chętnie dla dobra ojczyzny, jak przed stu dwudziestu kilka laty, gotowa jest ponieść ofiary, i to znaczne, i ustąpić tym, którzy na to zasługują, ster rządów. Z tej strony więc niema przeszkód. Jeżeli zatem Sejm uchwali zrównanie wszystkich stanów zniesienie przywilejów rodowych, to

właściwie uświęci tylko prawem ten stan rzeczy, jaki już utrwał się sam przez się.

Dzięki takim demokratycznym prawom, ciężar rządów i obowiązków względem ojczyzny nie będzie spoczywał jedynie na barkach nielicznej garstki, jak dawniej, ale będzie równomiernie rozłożony na wszystkich obywateli kraju. Powiadamy obowiązków, bo nie można zapominać o tem, że niemasz praw bez obowiązków. Kto żąda czegoś od ojczyzny, musi jej wzamian zapewnić obronę ładu wewnątrz, bezpieczeństwo od wrogów na zewnątrz, musi się przygotować do daniny z krwi i mienia, bez której żadne państwo ostać się nie może. Ale lud polski, czując, że nie jest upośledzonym młodszym bratem, ale równym innym stanom, chętnie podejmie wielkie i zaszczytne zadanie służenia ojczyźnie, która da mu wolność i możliwość rozwoju nie tylko moralnego i umysłowego, ale i kawałek chleba dla niego i dla jego dzieci.

Jednakże wolność, ludowładztwo, dobre prawa, równość powszechna pozostaną jedynie pięknymi hasłami bez treści, jeżeli nie będą im towarzyszyły reformy społeczne, które są zawsze trudniejsze do przeprowadzenia, aniżeli reformy polityczne, gdyż krocząc ku nim, spotykamy się z zakorzenionym już mocno stanem rzeczy. Trzeba to, co jest, przebudować powoli z planem, mądrze i ostrożnie obmyślnym, nie burząc do gruntu, bo takie wyrwanie z korzeniem drzewa społecznego jest, jak to widzimy na Rosji, mocno niebezpiecznym przedsięwzięciem, które, zamiast do szczęścia i dobrobytu, prowadzi do ogólnej ruiny i niedoli szerokich mas.

Z pomiędzy reform społecznych, których odkładać nam dłużej nie wolno pod karą wielkich zaburzeń społecznych, wybijają się na czoło dwie, a są niemi: sprawa robotnicza i sprawa rolna, czyli, jak mówią, agrarna.

Zacznijmy od pierwszej, która jest nader trudna do rozwiązania i na jej tle powstał t. zw. socjalizm.

Od czasów kiedy w całym świecie ucywilizowanym powstał wielki przemysł fabryczny, zatrudniającego miliony robotników, sprawa polepszenia bytu rzesz pracowników nabrała wielkiej ostrości z powodu coraz bezwzględniejszego wyzysku ze strony kapitalistów. Socjaliści pragnęliby rozwiązać tę sprawę przez oddanie na własność państwa wszelkich środków wytwarzania bogactw, a więc kopalni, fabryk i ziemi, wyobrażając sobie, że na tej drodze da się polepszyć byt robotnika, gdyż państwo, w którym władzę będzie sprawował właśnie lud roboczy, nie będzie mogło ciągnąć nadmiernych zysków

z pracy tych ostatnich, przez co położy się raz na zawsze tamę wyzyskowi. Takie właśnie upaństwowienie wszelkich środków produkcji stanowi, jak wiadomo, jądro socjalizmu.

Do czasu wielkiej rewolucji w Rosji wydawaćby się mogło, że podobny porządek rzeczy jest do osiągnięcia i przyniesie szczęście ludu roboczego, który pozbędzie się swych wrogów, kapitalistów. Ale pokazało się na Rosji, że takiej reformy w dzisiejszych warunkach w żaden sposób nie da się uskuteczyć. Nie będziemy tutaj zwalczać socjalizmu, chcemy jedynie zwrócić uwagę na kilka zasadniczych trudności, na jakie natknęli się reformatorowie w Rosji i gdzie indziej. Otóż przedewszystkiem okazało się, że zamiast ogółu pracującego, władzę wzięły w swoje ręce najmniej do tego powołane męty społeczne, które przy pomocy postrachu, krwi rozlewu i najgorszych środków, jakich nawet nie używał dla zgnębienia swoich wrogów carat rosyjski, włożyły twarde jarzmo na kark większości narodu. Już ten sam fakt, że nie większość, ale mniejszość rządzi w Rosji podczas ruchu bolszewickiego, wystarcza do jego potępienia; prawdziwa bowiem demokracja, czyli ludowładztwo, opiera się nie na mniejszości, ale na większości narodu. Po drugie, upaństwowienie fabryk, handlu, banków, ziemi nie dało się w praktyce osiągnąć. Robotnicy bez pomocy inteligencji nie okazali się zdolni do prowadzenia zakładów przemysłowych, które skutkiem opieszałości robotników, złej organizacji, przerażająco zmniejszyły wytwórczość, stąd powstał brak najniezbędniejszych przedmiotów powszechnego użytku, a więc żywności, odzieży i t. d. Drożyzna stała się tak straszna, że robotnicy zarabiający dzień i dwadzieścia razy więcej niż przed rewolucją, przymierają z głodu i popadli razem z innymi warstwami narodu w najokropniejszą nędzę.

Po trzecie, moralność ogółu, jak się pokazało, była bardzo niska, mnóstwo najrozmaitszych lichwiarzy, wyzyskiwaczy, niebieskich ptaków, spekulantów i innych szumowin, znalazło tysiące sposobów, żeby obejść zakazy i postanowienia i wyzyskiwać niemilosiernie zarówno robotnika, jak chłopą. Inteligencja, bez której żadne społeczeństwo obyć się nie może, wyginęła niemal doszczętnie, co zatamowało różne ważne dziedziny życia. Cały ustrój społeczny zaczął się chylić do ruiny. Dalej, ponieważ istniał pieniądz, bez którego socjaliści pragnęli się obywać w swoim wymarzonym porządku społecznym, więc pieniądz ten zaczął się różnymi drogami gromadzić w rękach nielicznych jednostek. Dla pokrycia wydatków państwo musiało na miejsce tych ukrytych pieniędzy, wypuszczać coraz to nowe papierki, których przy wzrastającej drożyznie coraz więcej było potrzeba dla podtrzymania handlu

i zabezpieczenia potrzeb bolszewików. Nadrukowanie niezmiernej masy papierków, spowodowało za sobą spadek wartości pieniądza i z kolei jeszcze bardziej powiększyło i tak już nieznośną drożyznę.

Rewolucja, która nie opierała się na większości, ale na postrachu jaki starała się szerzyć wśród ogółu, mniejszość, musiała stworzyć armję karną, dla podtrzymania swojej władzy. W ten sposób odrodził się militarizm, prawo bagnetu, które najzarliwiej zwalczał socjalizm. Co jednak najgorsza, że na czele tego całego ruchu stanęli nie Rosjanie, ale Żydzi, którzy mieli swój widoczny interes w tem, żeby zniszczyć, poniżyć Rosję, pozbyć się inteligencji i zagarnąć w swoje ręce bogactwa wydarte warstwom posiadającym, zburzyć religję przez co zepsuć duszę i zgłuszyć sumienie ludu, popychając go do bezprzykładnych okrucieństw.

Co jednak było największą przeszkodą dla zakorzenienia się tak fałszywie pojmanego socjalizmu w Rosji, to wrogie stanowisko dla nowych porządków ze strony włościanina. Rzecz naturalna, że chłop rosyjski i ukraiński, ciągnący znaczne zyski z posiadanej na własność ziemi, nie chciał oddać jej na własność państwu. Widział w tem krzywdę dla swoich interesów, nie chciał z właściciela dać się zrobić czynszownikiem. Jego całym dążeniem było nagromadzić jak najwięcej gotówki za sprzedawane produkty rolne, zabezpieczyć swój byt nie dając się ogłodzić, poza tem zaś otrzymać ziemię, jeżeli się da bezpłatnie, od wielkich właścicieli. Wprawdzie socjaliści ogłosili, że ziemia wszelka powinna należeć do tych, którzy ją uprawiają własnymi rękami, ale chłop rosyjski i ukraiński, nie bardzo dowierzając trwałości nowych urządzeń, wołałby na stary sposób, to jest drogą wykupu po niewysokich cenach, zapewnić sobie na wieki prawo do ziemi znajdującej się w ręku większych właścicieli. Z drugiej znów strony prześladowania, dokonywane gwałtem rekwizycje produktów żywności po wsiach przez czerwoną gwardję na korzyść robotnika miejskiego, uczyniła z chłopą śmiertelnego wroga socjalizmu. Bolszewicy, widząc wkońcu, że nie zdołają pomimo strasznego przelewu krwi i najostrzejszych środków przymusu, przeciągnąć na swoją stronę włościanstwa, dali za wygraną i zgodzili się pozostawić ziemię w prywatnych rękach, co zrobiło wielki wyłom w ich programach, zgodnie z którymi wszelkie środki wytwórczości, a więc i ziemia, powinna przejść we władanie państwa.

To, a głównie nędza, choroby, zmiatające setkami tysięcy ludność odcięcie Rosji od Europy, co znów pociągnęło za sobą brak towarów najpotrzebniejszych, upadek wytwórczości zarówno fabrycznej jak rol-

nej w całej Rosji, rozstrój kolei, podkopały tak dalece władzę bolszewików, że jesteśmy świadkami jej zupełnego upadku.

Ale te dzieje Rosji bolszewickiej wiele nas nauczyły i powinny być dla nas ostrzeżeniem, że wielkie reformy społeczne nie dają się przeprowadzać drogą gwałtownego surzenia do fundamentów starego porządku rzeczy. Gdyby bowiem taki przewrót narazie dał się osiągnąć, to napewno później upadnie, pociągając za sobą w otchłań tych, co go niebacznie wywołali. Trwałem jest tylko to, co się wspiera na woli większości, świadomej swoich celów i środków, nie ogarniętej szaleńcem zniszczenia, natomiast zdolnej do pracy twórczej.

Niepowodzenie skrajnego socjalizmu, w Rosji, w Niemczech i na Węgrzech, jakiego byliśmy świadkami po wojnie światowej, pozwala nam utrzymywać, że na tej drodze nie da się osiągnąć poprawy bytu warstw upośledzonych. Skoro zaś doszliśmy do tego wniosku, to należy się zastanowić nad innymi drogami, któreby może skuteczniej doprowadziły do ograniczenia biedy i wyzysku klasy robotniczej, bez naruszania podstawy dzisiejszych społeczeństw, t. j. prawa własności.

Mnie się zdaje, że zamiast dążyć tak, jak to robią socjaliści do pomnożenia niezadowolonych z dzisiejszego porządku rzeczy, którzyby potem dostarczyli materiału na rewolucjonistów socjalnych, lepiej byłoby znaleźć sposób uczynienia każdego pracującego współwłaścicielem fabryki, czy kopalni, albo też przez zapewnienie pracującym robotnikom sprawiedliwego udziału w zyskach przedsiębiorstwa.

Socjaliści, wiem z góry, wyśmieją takie zamiary, okrzyczą je za niewykonalną mrzonkę, gdyż tak nakazuje im mówić ich interes. A jednak warto się zastanowić, czy reforma taka nie dałaby się przeprowadzić. Mamy już przykłady z innych krajów, że robotnicy drogą oszczędności i zrzeszania się w t. zw. kooperatywy, przy pomocy fabrykantów i państwa, stają się właścicielami domów z ogródkami, że z nędzarzy, nie nie mających, zamieniają się na ludzi, jeżeli nie zasobnych, to przynajmniej na obywateli, mających zapewniony dach nad głową i odpoczynek na starość.

Powiadamy odpoczynek, gdyż jak wiadomo, prawodawstwo państwowe krajów zachodnich dąży stale do tego, żeby każdy pracujący po dojściu do pewnego wieku miał pensję dożywotnią, czyli rentę starczą. I takie ubezpieczenie państwowe robotników w wielu krajach stało się już rzeczywistością.

Ale takie rozwiązanie sprawy nie każdego może zadowolić. Należy szukać i innych lepszych. Projektów jest wiele. Jedni propo-

nują, żeby robotnicy mieli zapewniony sobie pod kontrolą państwa, udział sprawiedliwy w zyskach z przedsiębiorstw, w których pracują, inni chcieliby ich uczynić współwłaścicielami zakładów fabrycznych przez nabywanie udziałów w tych przedsiębiorstwach. Zadowolającej formy jeszcze nie zdołano znaleźć nie małą ku temu przeszkodą jest ze strony robotników niedostateczne zrozumienie własnych korzyści, wielu z nich bowiem woli cokolwiek większą płacę, niż udział w zyskach, które się wahają, zależnie do warunków wytwórczości w danej gałęzi przemysłu więc są niepewne. Fabrykanci zaś musieliby pociągnąć robotników do udziału w stratach, które może ponieść w złych czasach każde przedsiębiorstwo, a robotnicy nie zgodziliby się na to.

Chcemy tutaj zwrócić uwagę ogółu na pewną książkę, która niedawno się ukazała pod tytułem „P a t e g j a“. W książce tej znajduje się projekt, który ma na celu uczynienie każdego Polaka bez względu na jego wiek i stan, współwłaścicielem wszelakiego rodzaju majątku, jaki społeczeństwo nasze posiadać w przyszłości. (Pategja czyli droga do niezawisłości ekonomicznej przez Jana Jakóba Kowalczyka, Kraków 1919. Nakładem tow. „Żegluga Polska“).

Pategja jest skróceniem nazwy wielkiego towarzystwa współdzielczego, powszechnej kooperatywy, obejmującej cały naród, czyli „Polskiego akcyjnego towarzystwa gospodarczego i ubezpieczeniowego“. Towarzystwo takie powstałoby z funduszy ze sprzedaży udziałów t. zw. akcyj, dla każdego dostępnych, bo niedrogich. Za pieniądze stąd napływające zakładanoby fabryki, kopalnie, towarzystwa żeglugi i handlowe, a także ubezpieczeniowe. Takie akcje dawałyby nie więcej nad dziesiąty procent, a najwyżej dwudziesty, reszta zaś zysków szłaby na zakładanie nowych przedsiębiorstw, które pomnażałyby majątek wielkiej kooperatywy, obejmującej powoli coraz szersze warstwy, aż wkońcu wszelkie przedsiębiorstwa w kraju przeszłyby na własność towarzystwa i nie byłoby w Polsce człowieka, któryby nie posiadał większego lub mniejszego udziału w Pategji. Na tej drodze autor projektu chce osiągnąć podniesienie dobrobytu szerokich warstw społeczeństwa polskiego i zamienić wszystkich pracowników, którzy dotąd nie mają, na współwłaścicieli majątku narodowego, a więc rozwiązać tę sprawę, którą chcą ująć w swoje ręce socjaliści.

Pategja dzieliłaby się na następujące wydziały: Wydział finansowy, gromadzący środki pieniężne, administrujący innemi działami, którym dostarcza środków. Wydział żeglugi morskiej, który miałby za zadanie nabywanie okrętów i zorganizowanie handlu zamorskiego Polski, a dałby wielkie dochody towarzystwu. Wydział handlu hur-

towego zająłby się sprowadzaniem towarów z państw zagranicznych i zamorskich z pierwszej ręki po najniższych cenach, przez co dałoby się usunąć kosztowne pośrednictwo licznej rzeszy kupców i handlarzy drobnych. A więc towary byłyby znacznie tańsze dla spożywey, niż dzisiaj.

Wydział parcelacyjny i kolonizacyjny wzięłby sobie za zadanie ułatwianie bezrolnym i małorolnym nabywanie na własność gospodarstw; w tym celu nabywanoby majątki i kolonizowano je odbierając zarobek różnym spółkom parcelacyjnym, które podbijają cenę ziemi dla nabywcy, gdyż muszą mieć zé swojego przedsiębiorstwa duże zyski. Wydział ten zakładałby całe osady, czy to czysto rolnicze, czy też robotniczo-rolnicze, albo czysto robotnicze w pobliżu wielkich ognisk przemysłowych. Takie parcele robotnicze obejmowałyby około morgi obszaru z domkiem i ogródkiem owocowo-warzywnym, zdolnym zapewnić rodzinie najpierwsze potrzeby. Wydział rozwoju przemysłu zajmowałby się podnoszeniem istniejących gałęzi przemysłu i stwarzaniem nowych, nabywaniem pokładów użytecznych kopalin i zakładaniem nowych kopalń, rozporządzając siłą ludzką, która jest jedną z najważniejszych podstaw przemysłu. Możemy, jak to już powiedziałem na innem miejscu, stworzyć u siebie w kraju niezliczone gałęzie przemysłu, bogacąc siebie jako jednostki, a przez nie znów cały naród polski i państwo. Wydział komunikacji lądowej i żeglugi rzecznej dążyłby do stworzenia odpowiedniej liczby dróg żelaznych i wodnych w Polsce, co jest, jak wiemy, niezmiernie ważne dla rozwoju Polski i pozwoli robotnikowi fabrycznemu mieszkać poza miastami w warunkach zdrowotnych jak wieśniacy, a nawet lepszych. Wydział bankowy ma zakładać nowe banki, co jak się pokazało jest wielce zyskowym interesem. Wydział asekuracyjny będzie ze składek ubezpieczeniowych stwarzał kapitał, który da się użyć w różnych przedsiębiorstwach Pategji. Dochód z tego kapitału będzie służyć do wypłacania ubezpieczeń członkom Pategji w razie śmierci lub niezdolności do pracy. Oprócz tego wydział asekuracyjny zajmowałby się i wszelkimi innymi rodzajami ubezpieczeń.

Jest to więc, jak widzimy z powyższego, bardzo szeroko zakreślony projekt, który w razie jego wykonania mógłby istotnie wywołać wielki przewrót w życiu narodu i rozwiązać w znacznym stopniu trudną sprawę poprawy bytu klas pracujących. Warto się więc z nim zapoznać bardziej szczegółowo.

Gdyby nawet nie wszedł on w wykonanie, to wskazuje nam drogę, po jakiej kroczyć należy, żeby bez użycia gwałtownych środ-

ków, nie prowadzących zresztą do celu, rozwiązać palącą zagadkę społeczną, czyli usunąć nędzę klasy pracującej. Droga ta jest pewna, chociaż nie tak szybko prowadzi do celu, jakby sobie tego wielu życzyło. Kapitału narodowego i dobrobytu nie osiągnie się inaczej, jak pracą, zabiegliwością, oszczędnością, dobrą organizacją. Kto myśli inaczej, ten daje dowód swojej krótkowzroczności i naiwności. Dobra materjalne, służące ogółowi do zaspokojenia najważniejszych potrzeb, nie powstają bowiem z niczego, ale są owocem pracy całego społeczeństwa. Rzecz cała w tem, żeby prawa, wolność, odpowiednia polityka gospodarcza nie stawiały przeszkód ludziom, którzy chcą przysporzyć bogactw narodowi, ale popierały wszelkie w tym kierunku wysiłki.

A taką politykę mającą jedynie dobro narodu, może prowadzić tylko rząd polski, wyłoniony z sejmu, w którym zasiadają przedstawiciele wszystkich stanów, wybrani na zasadzie głosowania, w którym biorą udział wszyscy obywatele Rzeczypospolitej bez różnicy.

.

Druga z rzędu najważniejszych spraw, to „reforma rolna“, którą uchwalił sejm polski ustawodawczy. Reforma ta narzuca się siłą konieczności. Stwierdziliśmy bowiem na innem miejscu, że znaczna część ludu roboczego musi szukać zarobków na obczyźnie, nie mogąc znaleźć pracy w ojczyźnie. Dwie są po temu główne przyczyny: jedna, że nie posiadamy przemysłu, któryby mógł zatrudnić tych, co na roli nie znajdują dla siebie zajęcia, druga to fakt niezaprzeczony, że włościanie polscy przeważnie siedzą na drobnych gospodarstwach, które nie mogą ich rodzinom zapewnić dostatecznych środków utrzymania.

Ten wywóz pracy za granicę, przeważnie na użytek Niemców, naszych odwiecznych wrogów, jest jedną z największych bolączek, na które właśnie reforma rolna ma posłużyć kojąco. Zobaczmy, czy można ją uważać za lek, który tę biedę chłopu polskiego może usunąć raz na zawsze.

Treścią reformy rolnej jest: rozparcelować ziemię znajdującą się w posiadaniu większych właścicieli pomiędzy bezrolnych i małorolnych. Nie zastanawiając się już nad tem, czy „wywłaszczenie“ większych właścicieli jest sprawiedliwe, rozważmy naprzód, czy reforma, tak jak ją uchwalił sejm do wykonania, ma zdrowe podstawy pod sobą, czy jest wykonalną i w jakim stopniu.

Potem dopiero zajmiemy się rozpoznaniem praktycznej jej strony.

Przedewszystkiem musimy sobie odpowiedzieć na pytanie. Ile roli jest w całej Polsce. Pod rolą rozumiemy ziemię uprawną, orną, po odtrąceniu lasów, nieużytków i gruntów znajdujących się pod ogrodami, budynkami, wodami i drogami publicznymi. Ta bowiem tylko ziemia, wydająca płody rolne, wchodzić winna w nasze obliczenia.

Otóż sprawa ta przedstawia się w następujący sposób:

Zaczynamy od naszej dzielnicy, czyli od b. Królestwa Polskiego. W Królestwie w roku 1909 ziemia orna zajmowała obszar 12.047.735 morgów, czyli nie więcej, aniżeli połowę obszaru całego kraju, który wynosi 21,937.119 morgów. Oprócz ziemi ornej było w Królestwie łąk 1,714.236 morgów, pastwisk 1,451.377 morgów. Pod gruntami miejskimi (należącemi do miast lub przez miasta zajętemi) było 323.034 morgów; wreszcie różnych niewyszczególnionych ziem 672.103 morgów. Lasów w Królestwie było niewiele, bo zaledwie 4,053.660 morgów. Możemy więc z tych danych zrobić zestawienie, ile ziemi ornej znajduje się w Królestwie. Trzeba w tym celu podsumować (dodać) poszczególne liczby.

Razem tedy (bez lasów, nieużytków, ogrodów i zabudowanych gruntów) wypadnie roli w Królestwie (z łąkami i pastwiskami, oraz niewyszczególnionemi w tablicach ziemiami) 15,885.451 morgów. Ale Królestwo stanowi dziś zaledwie część dużego państwa polskiego, powstałego z połączonych trzech zaborów. Trzeba zatem obliczyć jeszcze ziemię orną, znajdującą się w pozostałych dzielnicach Polski.

Liczby, dotyczące tamtych dzielnic, są jednak wyrażone nie w morgach, ale w hektarach, która to jednostka jest powszechnie przyjęta na zachodzie, gdzie obowiązuje, tak jak niebawem i u nas będzie obowiązywał, metryczny system miar i wag. Otóż hektar jest to kwadrat, mający z każdego boku po sto metrów długości. W porównaniu do morga polskiego hektar jest prawie dwa razy większy, bo zawiera jedną i ośm dziesiątych części morga, czyli dwie morgi bez piątej części morga. Mając tedy obszar w hektarach, łatwo zamienić go na morgi, mnożąc przez ośmnaście i przekreślając ostatnią cyfrę z prawej strony.

Najlepiej widać, ile w jakiej dzielnicy znajduje się roli, z poniżej zestawionej tabliczki:

Nazwa kraju	Rok	Obszar ogółem w tysiącach hektarów	Ziemia orna	Łąki	Pastwiska	Ogrody i budynki
Poznańskie	1913	2.899	1.845	224	77	31
Prusy Zachodnie	1913	2.556	1.435	159	136	24
Rejencja Olsztyńska (Prusy Wschodnie)	1913	1.203	607	113	74	9
Rejencja Opolska (Śląsk Górny)	1913	1.323	748	97	19	21
Ogółem w dzielnicy pruskiej	1913	7.981	4.635	593	306	85

Nazwa kraju	Rok	Obszar ogółem w ty- siącach hektarów	Ziemia orna	Łąki	Pastwi- ska	Ogrody i budynki
Galicja	1896	7.849	3.807	874	772	109
Śląsk Cieszyński	1896	223	107	11	25	4
Ogółem w dzielnicy austriackiej	1896	8.072	3.914	885	797	113

Teraz możemy sobie wyrobić pojęcie, ile ziemi ornej znajduje się we wszystkich dzielnicach Polski z wyłączeniem Litwy i Rusi.

Liczby te przedstawiają się po zamianie hektarów na morgi jak poniżej:

W Królestwie jest ziemi zdatnej do użytku (dodajemy ziemię orną, łąki, pastwiska razem) dla rolnika 15,885.451 morg.

W dzielnicach austriackich jest 5,712.000 hektarów, t. j. : 10,281.600 morg.

W dzielnicy pruskiej jest 5,534.000 hektarów t. j. 9,961.200 morg.

Razem tedy mamy roli w trzech dzieln. Polski 36,128.251, czyli słowami trzydzieści sześć milionów sto dwadzieścia ośm tysięcy dwieście pięćdziesiąt jedną morgę. Jak rzekłem, Litwy i Rusi tutaj nie włączamy do rachunku.

Dowiedziawszy się więc, ile ziemi ornej wraz z łąkami i pastwiskami jest w Polsce, dowiedzmy się teraz, w czyich rękach ziemia ta się znajduje.

Własność ziemska dzieli się ogólnie na mniejszą i większą. Do mniejszej, jak to łatwo się domyśleć, trzeba przedewszystkiem zaliczyć własność włościańską, zarówno na gruntach ukazowych, jak dokupionych, drobnoszlachecką (jak wiadomo bowiem drobna szlachta sposobem życia i wyglądem bardzo mało różni się od włościan), a także i należącą do drobnych mieszczan, o których można to samo powiedzieć, co i o drobnej szlachcie zagonowej. Do własności większej zaś zaliczamy grunty dworskie, nie rozkupione przez włościan, oraz grunty majorackie i poduchowne.

Jeżeli rozpatrywać samo Królestwo Polskie, to widać, że z całego obszaru rolnego (t. j. włączając lasy i nieużytki) własność mniejsza obejmowała więcej niż połowę, bo 12,647.426 morgów w roku 1909. Na odsetki wyniesie to 62 z górą, to znaczy, że na każde sto morgów obszaru w Królestwie aż 62 morgi z czemś przypadało na własność mniejszą, zaś tylko 7,624.523 morgi czyli 37 z czemś odsetków na własność większą. Znaczy to, że własność większa w naszej dzielnicy obejmowała w 1909 roku trochę więcej, niż jedną trzecią część ziemi.

W innych dzielnicach Polski na gospodarstwa mniejsze do 20-tu hektarów obszaru mające (mniej niż 35 morgów) przypadało ziemi: w Galicji więcej niż połowa (53 odsetki), na Śląsku Cieszyńskim 40 odsetków, w Poznańskim 33 odsetków (jedna trzecia), w obwodzie Opolskim połowa, w Prusach Zachodnich 30 odsetków (nieco mniej zatem niż jedna trzecia część), wreszcie w obwodzie Olsztyńskim, t. j. na Mazurach Pruskich, tylko 28 odsetków.

Pomiędzy gospodarstwami małymi a wielkimi jest niewiele średnich, mających obszaru od 20 do 100 hektarów, ale tych nie będziemy szczegółowo wyliczali, powiemy tylko dla przykładu, że u nas w Królestwie jest takich gospodarstw nieznaczny odsetek; za to w innych dzielnicach dość znaczny: w Poznańskim 22 odsetek, w Prusach Zachodnich 33, t. j. trzecia część całego obszaru, w obwodzie Olsztyńskim aż 41 odsetków. W Galicji zaś tylko 6 odsetków. Są to przeważnie tak zwane „wielkochłopskie gospodarstwa“.

Do wielkiej własności zaliczamy gospodarstwa obejmujące więcej niż 100 hektarów (180 morgów). Takich majątków jest: w Galicji 40 odsetków całego obszaru, na Śląsku Cieszyńskim 45, w Poznańskim 46, w obwodzie Opolskim 35, w Prusach Zachodnich 37, w obwodzie Olsztyńskim 32 odsetki. Niektóre jednak z tych danych są już przestarzałe, obecnie odsetek własności dużej znacznie się zmniejszył, to znaczy, że gospodarstwa małe zajmują znacznie większy obszar, niż dawniej. Należy tu zrobić uwagę ważną, że najwięcej ziemi znajduje się w rękach włościan u nas w Królestwie Polskim. W Galicji nieco mniej ziemi mają włościanie niż u nas. Najmniej zaś ziemi znajduje się w rękach włościan w Księstwie Poznańskim.

Z liczb powyższych jasno widać, że w żadnej dzielnicy Polski duża własność nie przeważa nad drobną, ale rzecz się ma wprost przeciwnie: wszędzie połowa mniej więcej ziemi jest w posiadaniu włościan, którzy u nas mają w swem ręku niemal dwie trzecie części ziemi.

Ale w tych obliczeniach braliśmy pod uwagę cały obszar, z lasami i t. d. Tymczasem lasów najwięcej leży w dużych majątkach. Jeżelibyśmy obliczyli sobie ile roli znajduje się w rękach włościan, a ile jej ma średnia i większa własność, to obliczenie takie wykazałoby, że stan posiadania włościan jest jeszcze lepszy. Otóż na każde sto morgów roli miała:

	własność wielka	własność drobna	w roku
w Królestwie Polskim	31	69	1909
w Poznańskim	44	56	1907

	własność wielka	własność drobna	w roku
w Prusach Zachodnich	37	63	1907
w całej Galicji	22	78	1912

Najwięcej ziemi mają ełłopi w Galicji, gdyż tam własność duża zajmuje zaledwie piątą część całego obszaru, wziętego pod pług.

Jeżeliby ktoś nie umiał sobie dobrze uprzytomnić liczb wyrażonych w odsetkach, to możemy podać parę liczb w morgach. Otóż cały obszar Królestwa Polskiego, wynoszący 21,937.119 morgów, tak był rozdzielony między rozmaitych właścicieli w roku 1909:

Włościanie mieli 10,743.501 morgów. Wielka własność rolna miała 6,972.410 morgów, szlachta zagrodowa 1,324.942 morgi, osady miejskie 578.983, miasta 323.034 morgi. Dóbr rządowych było 1,264.289 a wszelkich innych właścicieli 729.960 morgów.

Na skutek parcelacji w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat coraz więcej ziemi przechodziło w ręce włościan.

Wiemy więc teraz, że w Polsce, z pominięciem Litwy i Rusi, mamy wszystkiego 36 milionów morgów roli, z czego około 20 milionów morgów znajduje się w posiadaniu włościan, reszta zaś w przybliżeniu 16 milionów morgów jest w rękach większych i średnich właścicieli ziemskich. Ta liczba daje nam przeto pewną podstawę do obliczenia, czy ziemi jest dostatek dla obdzielenia nią małorolnych i bezrolnych.

Obliczmy teraz w przybliżeniu ilu jest włościan w Polsce, którzy nie mają wcale ziemi, albo tak mało, że nie potrafią się na niej wyżywić. Przyjmujemy przytem, że najmniejsze gospodarstwo samodzielne, zdolne zapewnić utrzymanie rodzinie rolnika, nie może mieć mniej niż 5 hektarów (9 morgów), co jest bardzo skąpo jak na dzisiejszą wydajność roli w naszym kraju. Liczby, które mamy do rozporządzenia, są nieco za stare, sięgają bowiem o kilkanaście lat wstecz. Od tego czasu zaś pewna ilość ziemi dworskiej przeszła już w posiadanie włościan, przeto liczba gospodarstw drobnych powiększyła się nieco.

Nazwa dzielnicy	Rok	Liczba gospodarstw obszaru do 5 hektarów
B. Królestwo Polskie	1904	705.000
Poznańskie	1907	210.000
Prusy Zachodnie	1907	159.000
Rejencja Olsztyńska	1907	48.000
Rejencja Opolska	1907	162.000
Galicja	1902	809.000
Čieszyńskie	1902	80.000
Cała Polska		2,173.000

Nie popełnimy błędu znacznego, jeżeli przypuścimy, że od kilkunastu lat ta liczba drobnych gospodarzy wzrosła przynajmniej do dwóch milionów i dwustu tysięcy. W rzeczywistości będzie ich napewno więcej.

Otóż jeżeliby przyjąć, że wszystką własność średnią i większą rozparcelować pomiędzy najuboższych gospodarzy, a nie zupełnie nie dać bezrolnym, to i tak nowoutworzone gospodarstwa byłyby bardzo drobne. Jeżeli bowiem podzielić 16 milionów morgów pomiędzy 2,200.000 gospodarzy, to wypadnie na jedno gospodarstwo przeciętnie po 7 morgów dodatkowych, to znaczy, że najgrubszy gospodarz miałby tylko 9 i 7, razem 16 morgów, a mniej zamożni (ci co mieli po parę morgów) nie potrafiliby się i na powiększonych gospodarstwach utrzymać. Któżby jednak odważył się odsunąć od podziału ziemi bezrolnych, albo też ktoby śmiał zupełnie znieść średnią własność? Trzeba zatem zrobić inne obliczenie, które wypadnie znacznie gorzej.

W samem b. Królestwie Polskiem liczone przed wojną 600.000 rodzin bezrolnych. Jeżeli z dużą słusnością przyjmiemy, że we wszystkich pozostałych dzielnicach Polski liczba rodzin bezrolnych wyniesie tylko 800.000, to wypadnie, że do podziału ziemi przystąpi jeszcze 1,400.000 rodzin prócz małorolnych. Razem tedy wypadnie obdarzyć ziemią nie 2,200.000, ale przynajmniej 3,600.000 rodzin.

Dalej sejm uchwalił, że należy pozostawić folwarki poniżej 300 morgów obszaru mające. W takim razie ilość rozporządzalnej roli spadnie do połowy, a może i więcej, to znaczy, że pozostanie do rozprzedania między małorolnych i bezrolnych nie 16, ale 8 milionów morgów co najwyżej, a te 8 milionów morgów, podzielone między 3,600.000 rodzin, da po dwa morgi i jedną piątą na rodzinę.

Tyle, nie więcej. A cóżto znaczy, pytam, dać małorolnym i bezrolnym po dwie morgi na rodzinę? Czy w ten sposób zabezpieczy się ich od biedy, czy stworzy się gospodarstwa mogące wyżywić swoich właścicieli? — Będzie to samo, co się dzieje dzisiaj, powiększy się tylko liczba małorolnych, którzy nie mogą żyć na swojej ziemi i muszą uciekać z niej na zarobki.

Z powyższego obliczenia wynika jasno jak na dłoni, że rozprzedanie wolnej ziemi między bezrolnych i małorolnych do niczego nie doprowadzi. Trzeba zatem ziemię wolną podzielić tak, żeby utworzyć większe gospodarstwa włościańskie, przynajmniej 25-morgowe. Jeżeli tak postąpimy, to ziemi dostanie tylko kilkaset tysięcy rodzin, reszta zaś, jak już dowodziłem, musi się wziąć do innych zajęć. Po co zresztą tylu ludzi ma siedzieć na roli, kiedy w innych krajach zie-

mię uprawia bardzo niewiele rąk; pozostałe zaś siły pracują w innych zawodach, głównie w przemyśle. Tak samo musi być u nas w Polsce.

Trzeba także spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Weźmy np. robotnika rolnego, który w ostatnich czasach zdołał podnieść tak wysoko swoje zarobki. Obliczono, że fernal, chcąc mieć to samo, co bierze od właściciela, w pieniądzach i w naturze, musiałby posiadać przynajmniej dziesięć morgów ziemi, dobrze zagospodarowanej. Pytam więc, jaki ma dziś interes taki robotnik rolny, żeby po reformie rolnej w najlepszym razie dostać parę morgów gołej ziemi? Przecież na zagospodarowanie się trzeba sporo grosza: należy zbudować dom, kupić inwentarz. Skąd na to wziąć? Państwo nie da, bo nie ma, a jeżeliby nawet dało, to jakież sens ma tworzenie milionów drobnych gospodarstw, które pochłonęłyby tysiące milionów pieniędzy, a nie polepszyłyby wcale losu właścicieli, zaś pogorszyłyby położenie wszystkich?

Pamiętajmy bowiem, że zniesienie, albo zmniejszenie własności średniej, musiałyby bardzo źle odbić się na naszej wytwórczości rolnej. Na folwarku można oszczędniej i lepiej gospodarować, niż na małym gospodarstwie: można stosować maszyny, meljoracje niedostępne dla ubogiego gospodarza i t. d. Dlatego też wydajność z morga na folwarkach, zwłaszcza większych, jest znacznie wyższa, niż na małych gospodarstwach. Jeżeli zatem zmniejszyć do połowy własność średnią i większą, jak chce reforma uchwalona przez sejm, to się dotkliwie zmniejszy ilość ziemiopłodów w Polsce. A ponieważ dziś z powodu zniszczenia wojennego i tak wytwórczość podupadła, przeto grozić nam będzie jeszcze większy niedostatek, który najbardziej da się odczuć mieszkańcom miast. Jeżeli zatem Polska ma się sama wyżywić, to nie powinniśmy zmniejszać średniej własności, która najwięcej produkuje. Należałoby zatem parcelować folwarki tylko powyżej 500 morgów. Ziemię zaś uzyskaną tą drogą obrócić głównie na powiększenie mniejszych gospodarstw do 25 morgów. Na takim gospodarstwie rodzina włościańska może się już utrzymać, a o to idzie właśnie. Ci, dla których ziemi nie starczy, muszą szukać zajęcia w przemyśle. Zadaniem rządu jest popierać rozwój przemysłu, : robotników — przemysł ten szanować, jako źródło zarobku dla licznych rzesz ludności, która inaczej, wygnana głodem, musi kraj opuścić. Innej drogi nie ma i być nie może. Z tem każdy rozsądny człowiek musi się pogodzić.

Jeżeliby do Polski były przyłączone politycznie wschodnie obszary, gdzie dużo ziemi znajduje się w rękach większych właścicieli

polskich i gdzie ludność miejscowa nie jest tak gęsta, jak u nas, to możnaby na tych ziemiach osadzić z biegiem czasu około miljona rodzin bezrolnych z przeludnionej wsi polskiej. Byłoby to połączone z korzyścią dla kresów, które podniosłyby się gospodarczo, wzmogły swoją produkcję, zamieniłyby się na kraj dobrze zaludniony i bogaty. Ludność tameczna także miałaby udział w nabywaniu roli; starczyłoby jej dla naszych włościan i dla białoruskich.

Dziś jednak nie wiemy, jak się sprawy ułożą z kresami, czy opowiedzą się one za przyłączeniem do Polski i czy mocarstwa Europy na to połączenie się pozwolą. Dlatego też można tylko wspomnieć o kresach wschodnich, mówiąc o reformie rolnej.

Reforma rolna musi się odbywać stopniowo, bo „co nagle to po djable“ powiada polskie przysłowie. Wolno dlatego, że państwo nie może od razu znaleźć funduszków na zabudowanie i doprowadzenie do jakiego takiego stanu setek tysięcy nowych gospodarstw; po drugie, że włościanie sami nie mają tych pieniędzy, żeby mogli nie nie żądać od państwa; po trzecie, że ziemia musi mieć przygotowanego gospodarza, żeby dać jak najwięcej plonów. Samo obdarzenie włościan ziemią nie wystarczy, trzeba równocześnie, jak to zaznaczyłem na innym miejscu, wykształcić drobnego rolnika na tęgiego, postępowego gospodarza i w ten sposób starać się podnieść wydajność roli, znajdującą się w rękach włościanina, żeby tyle wytwarzał, co chłop duński lub holenderski. Gdyby to się dało osiągnąć drogą szerzenia wykształcenia rolniczego i podnoszenia kultury rolnej w kraju, to dobrobyt naszego włościanina znacznieby się podniósł, nawet bez poświęcenia średniej własności, która bądź co bądź jest wzorem dla małego rolnika, jak należy wyciągać z ziemi największą korzyść.

Według nas reforma rolna iść winna równocześnie w dwóch tych kierunkach, to jest, należy, według możliwości, dostarczyć ziemi tym, którzy posiadają jej za mało, ale i podnosić wydajność ziemi przez szerzenie wiedzy rolniczej i współdziałanie państwa dla podźwignięcia rolnictwa polskiego w ogólności. Jedno bez drugiego nie wyda bowiem dobrych rezultatów.

W rozdziale tym poruszyliśmy sprawę reform w Polsce jedynie w paru słowach, przedmiot bowiem jest tak rozległy, że ramy niniejszej książki nie pozwalają na to, żeby się zająć temi sprawami tak sumiennie, jak one na to z tytułu swej ważności zasługują. Chcielibyśmy tylko dać ogólne wskazówki, na jakich drogach reformy najważniejsze dadzą się przeprowadzić bez szkody dla narodu polskiego, który budzi się do nowego życia.

ZRZESZAJMY SIĘ!

Kilku ludzi, złączywszy swe usiłowania w jakimś celu, łatwiej i prędzej go osiągnie, niż najbardziej energiczny, najpracowitszy człowiek pojedynczy. Paruset ludzi zrzeszonych może już przedsięwziąć coś takiego, czego i kilkunastu nie potrafiłoby dokonać. Im więcej ludzi zjednoczy się dla przeprowadzenia jakichś zamierzeń, tem większą siłę przedstawiają, tem o większe rzeczy mogą się pokusić, gdyż środki ich są potężniejsze.

Społeczeństwo, pokryte siecią organizacyj, jest bardziej spoiem, łatwiej stawia opór wrogim mu wpływom, niż społeczeństwo, w którym ludzie nie rozumieją korzyści zrzeszania się. Pierwsze można porównać do jednolitej skały, w której cząsteczki mocno są ze sobą spojone, drugie do wydmy piaszczystej, składającej się z luźno leżących obok siebie ziarn piasku, które lada wiatr odrywa i precz unosi.

Każde społeczeństwo jest w gruncie rzeczy jedną olbrzymią organizacją, wielkiem zrzeszeniem się ludzi, związanych wspólnością interesów i chęcią obrony przed wrogami, jest jakby płótnem, w którym tysiączne nici są związane w jedną trwałą całość, gdzie przewodniem hasłem jest: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. W społeczeństwach dobrze zorganizowanych wyrabia się tak zwana solidarność, każdy bowiem zaczyna pojmować, że w łączności leży główne źródło wszelkiej siły zarówno materialnej, jak i moralnej. Zrozumienie tej wielkiej prawdy rozszerzyło się na szerokie masy dopiero w kilku ostatnich dziesiątkach lat. Np. wojsko i fabryka są zrzeszeniem ludzi, mających na widoku jeden cel: obronę przeciw wrogowi, i wytwarzanie pewnych użytecznych przedmiotów. Istnieją różne typy zrzeszeń, które, stosownie do ich charakteru, nazywamy ligami, stowarzyszeniami, związkami, spółkami, kooperatywami i t. d. Zwyczajnie tak się dzieje, że pewna liczba osób łączy się dla osiągnięcia jakiegoś wspólnego celu, zapewniającego im jakąś moralną albo materialną korzyść.

Stronnictwo polityczne jest to związek wielu obywateli państwa, pragnących ująć w swe ręce bądź ster rządów, bądź uzyskać wpływ

na rządy państwa, albo obronę swoich interesów. Stronnictwa, liczące wiele tysięcy członków, rzecz prosta, mogą wywierać większy wpływ, niż drobne grupki.

Istnieją też t. zw. ligi, czyli zrzeszenia, mające na widoku cele nie tylko polityczne, ale i moralne, obyczajowe. Np. liga równoprawnienia kobiet, liga niepalących tytoniu, liga zwalczająca pijaństwo, liga zwalczająca nierząd, liga dla podniesienia zdrowotności publicznej. Z tych przykładów widać, jak różnorodne cele mogą mieć zrzeszenia.

Najpospolitszemi jednak są związki, mające na celu obronę interesów zawodowych. Np. robotnicy zatrudnieni w jakiejś gałęzi przemysłu zakładają związek zawodowy, bronią się przeciwko wyzyskowi fabrykantów, starają się wywalczyć zbiorowemi siłami lepsze warunki pracy, lepsze zarobki i różne korzyści, jakich nigdy nie potrafiliby dla siebie zdobyć robotnicy jednej tylko fabryki.

Ażeby zaś stanowić jak największą potęgę, związki pojedyncze łączą się pomiędzy sobą w związki związków. Zwłaszcza w Anglii związki robotnicze są bardzo liczne i silne; należą do nich setki tysięcy robotników różnych zawodów. Rozporządzają one olbrzymimi środkami pieniężnymi, które im pozwalają przetrzymywać strajki, zakładać gazety, broniące ich spraw, szkoły i t. d. Związki wybierają swoich posłów do sejmu, a więc mają nawet wpływ polityczny w państwie i rządy muszą się z nimi liczyć. Łatwo każdy pojmie, że związek, liczący kilkaset tysięcy robotników, to wielka potęga, zwłaszcza, jeżeli ta potęga wie dobrze, do czego dąży i energicznie walczy o swoje interesy. U nas związki zawodowe za rządów rosyjskich były prześladowane i dopiero w ostatnich czasach, kiedyśmy uzyskali pewną swobodę polityczną, związki zawodowe pojawiły się nieco liczniej. Wrogi rząd doskonale rozumiał, że naród niezorganizowany nie zdoła jego niszczyielskim zamiarom opierać się skutecznie, że można z nim zrobić co się zechce, bo nie posiada on żadnej siły i prędzej czy później da się wynarodowić, a wreszcie zamienić na tłum bezdomnych włóczęgów i niewolników. Dziś, odzyskawszy niepodległość i wolność organizowania się, robotnicy polscy zrzeszają się coraz chętniej w związki zawodowe nie tylko w mieście, ale i na wsi. Niedawno powstał naprzykład związek robotników rolnych, który rząd zatwierdził. Związek zdołał uzyskać znaczne polepszenie doli pracowników rolnych i o ile nie będzie stawiał przesadnych żądań, może oddać związkowcom ważne usługi.

Również ważnemi są zrzeszenia, mające cele handlowe i współdzielcze. Zwłaszcza te ostatnie niezmiernie w Europie się rozpowszechniły pod nazwą kooperatyw (współdzielni¹⁾).

Współdzielnie rozpadają się na handlowe i wytwórcze.

Zwykła handlowa kooperatywa polega na tem, że grono osób składa kapitał na sklep współdzielczy. Po opłaceniu kosztów utrzymania sklepu, oraz procentów od udziałów cała nadwyżka pozostała w kasie (zysk czysty) wraca do stowarzyszonych, jako ich własność. Im więcej zatem członek kooperatywy kupuje w swoim sklepie, tem więcej oszczędza. Pierwsza taka kooperatywa powstała w Anglii w miasteczku Roczdele (Rochdale) w 1843 r. Założycielami byli tkacze. Nazwano ją: Roczdelskie Stowarzyszenie sprawiedliwych pionierów²⁾. Początki były trudne, ale zwalczono wszelkie przeszkody, myśl bowiem była dobra. Wytrzymałość zrobiła swoje: od dnia swego założenia do 1906 r. stowarzyszenie wypłaciło swoim członkom 19 milionów rubli zysków. Członków było 12.802, kapitału udziałowego 2,888.200 rubli, zysku czystego 543.390 rubli, któreby inaczej utonęły w kieszeniach pośredników. W r. 1909 członków było już 17.054, kapitału 3,334.680 rubli, zysk odpowiednio się podniósł³⁾).

Podaję ten przykład, ażeby przekonać czytelnika, że kooperatywa może ze skromnych początków rozwinąć się do olbrzymich rozmiarów.

Rozwojowi sprzyjało bardzo założenie własnego hurtownego składu towarów przez 120 stowarzyszeń współdzielczych (współdzielni). Ostatecznie „Stowarzyszenie sprawiedliwych pionierów“ sprowadza dziś towary z pierwszej ręki, posiada olbrzymie zakłady przemysłowe, własne fabryki, młyny, maślarnie, plantacje herbaty w Azji, morskie statki i t. d.

Dobry przykład znalazł w tym kraju naśladownictwo, współdzielnie mnożyły się — i od r. 1861 do 1905 wypłaciły wszystkie razem swoim członkom półtora tysiąca milionów czystego zysku (dywidendy).

W 1908 r. w Wielkiej Brytanji liczone 1573 współdzielnie handlowe i wytwórcze; miały one 2,446.696 członków, 470,565.000 rubli kapitału; zrobiły obrotu na miliard i 250 milionów, zysku czystego dały aż 116,772.970 rubli.

¹⁾ Kooperacja po polsku współdziałanie, współdzielczość. Kooperatywa po polsku prawidłowo zwać się winna współdzielnią.

²⁾ Pionierzy — torujący drogę innym.

³⁾ Rubli w złocie.

W 1908 roku współdzielnie wytworzyły towarów za 228 milionów rubli.

Oprócz współdzielni handlowych i wytwórczych widzimy w Anglii współdzielnie budowlane, ubezpieczeniowe, wychowawcze, oświatowe i t. d.

Jeżeli u nas ruch współdzielczy nie rozwinął się tak, jak w innych krajach, to głównie dla trzech przyczyn: 1) nie rozumiemy korzyści zrzeszania się, 2) brak nam ludzi fachowych, 3) brak ludzi uczciwych do prowadzenia takich zrzeszeń, które bez ścisłości w rachunkach i sumienności nie mogą dobrze prosperować. A jednak współdzielczość, otwierając zupełnie nowe widnokreśli, jest zwiastunem przewrotu, gdyż ludzie, zamiast współzawodniczyć między sobą, łączą się solidarnie, jak bracia, żeby wspólnymi siłami być sobie polepszyć; uczą się one samopomocy, wyrabiają ludzi na tęgich i użytecznych obywateli kraju, mających poczucie swej siły i niezależności.

Zobaczmy teraz, co zrobiono w Polsce dotąd na polu współdzielczości w porównaniu z innymi krajami i co pozostaje do zrobienia.

W r. 1917 było w Królestwie około 1000 stowarzyszeń spożywczych, z czego do Związku Warszawskiego Stowarzyszeń Spożywczych, mającego własną hurtownię „Spółem“, należało 249 Stowarzyszeń z 41.000 członków. Obrót tych stowarzyszeń w r. 1916 wynosił 35 milionów marek.

Współdzielnie czyli kooperatywy nasze należą do trzech typów: Mieszane, z ludzi różnych warstw społecznych (jest ich najwięcej, bo 219), Stowarzyszenia robotnicze (było ich 67), Stowarzyszenia wiejskie (było ich 65).

Na jedno stowarzyszenie wypada przeciętnie u nas 129 członków (w Anglii 1684, w Niemczech 947, we Francji 4306).

Obrót przeciętny na jednego członka rocznie wynosił u nas 192 ruble (w Anglii 290, w Niemczech 122, we Francji 127).

Nasze współdzielnie mają zatem niewielu członków, ale za to duże obroty.

Jakkolwiek od r. 1905 ruch współdzielczy bardzo posunął się naprzód, to jednak musimy robić wiele, żeby go wzmocnić i rozszerzyć, zwłaszcza wpośród włościan.

Organizacja wsi wydawała się niezmiernie trudną sprawą, okazało się jednak, że tak źle nie jest, że myśl stowarzyszania się rozkrzewiła się dość bujnie wśród rolników.

Włościanie zrozumieli, że tylko na drodze zrzeszenia mogą osiągnąć korzyści, wypływające z posiadania dużego szmatu ziemi,

a. więc robić meljoracje, t. j. drenować, używać ulepszonych narzędzi rolniczych, mieć poprawne nasiona, dobre nawozy sztuczne, nabywać zbiorowo wiedzy rolniczej i t. d.

Przed wojną w Galicji istniały Towarzystwa Gospodarcze, których główny zarząd znajdował się we Lwowie, i Komitet Towarzystw rolniczych z siedzibą w Krakowie. Oddawały one wielkie usługi swym członkom w dziedzinie zbytu produktów rolnych. W Poznańskim przed laty pięćdziesięciu z górą założono Centralne Towarzystwo Gospodarcze. W Królestwie mamy Centralne Towarzystwo Rolnicze. W tych towarzystwach coraz liczniej biorą udział włościanie obok większych właścicieli. Handlem rolnym zajmują się także w Galicji spółki rolniczo-handlowe, opierające się na udziałach członków i solidarnej ich poręce.

Handel wzięły sobie za specjalność w Poznańskim i w Prusach Zachodnich t. zw. „Rolniki“. Spółki te, zajmujące się sprzedażą i zakupem produktów rolniczych, obejmują przeważnie jedną miejscowość, opierają się na kapitale członków, najczęściej włościan, i korzystają z kredytu banków ludowych. Zapoczątkowane przez ks. Wawrzyniaka w r. 1901 doszły w r. 1909 do liczby 40 i liczyły z górą 4000 członków. Obrót „Rolników“ w wymienionym roku osiągnął sumy 4 milionów marek, a zakupy paszy, ziarna na zasiew, nawozów sztucznych i t. d. wynosiły setki tysięcy centnarów.

Podobne do „Rolników“ spółki istnieją w miasteczkach i większych wsiach Prus Zachodnich pod nazwą „Kupców“. Są one zakładane dla walki z niemieczyzną i nieuczciwym handlem żydowskim.

W Królestwie Polskim rząd nie popierał, jak wiemy, organizacji rolnictwa, którą przeto musiało zająć się samo społeczeństwo, a nawet zwalczać przeszkody przez rząd stawiane. Z pewną więc dumą można wskazać na osiągnięte tu wyniki, które dowodzą, że Polacy mają także zdolności w tym kierunku i okazują dużo przytem wytrwałości.

W Królestwie istniał tylko Warszawski Oddział Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Handlu i Przemysłu. Przy nim w roku 1890 powstała Sekcja Rolnictwa, dzieląca się na kilkanaście Delegacyj, które popierały gleboznawstwo, hodowlę koni i przemysły rolnicze.

Usiłowania podobne czyniły i towarzystwa rolnicze gubernjalne. W 1907 r. powstało Centralne Towarzystwo Rolnicze z należącemi doń towarzystwami okręgowemi, przy których utworzono oddziały handlowe i związek kółek rolniczych. Od tej pory mamy jaką taką organizację handlowo-rolniczą w postaci także syndykatów, dostar-

czających rolnikom maszyn, nawozów, nasion i t. p. W 1909 r. było syndykatów 17. Stan włościański organizował się w „kółka rolnicze“, których liczba przy Towarzystwie Centralnem wkrótce dosięgła pół tysiąca. Poza niemi powstawały mniej liczne kółka imienia Staszycza, opierające się jedynie na samopomocy członków-włościan.

Jest pożądanem, aby w Polsce tworzone jak najwięcej kółek rolniczych, które są jakby szkołą zawodową dla włościan, na zebraniach bowiem gawędzi się o sprawach obchodzących rolnictwo; kółkowicze zwiedzają gospodarstwa wzorowe; mają pomoc ze strony instruktorów, odwiedzają wystawy, stacje doświadczalne, zakładają sobie biblioteki, słowem, kółko zbliża włościanina do postępowej gospodarki, którą mu ono ułatwia, a nadto sprowadza za wspólne pieniądze maszyny, narzędzia, nawozy, nasiona i t. d. Na szerzenie wiedzy rolniczej i pomoc w gospodarstwach zwracają głównie uwagę kółka w Poznańskim; wprowadzają one meljoracje rolne i trudnią się sprzedażą produktów rolniczych. Ich działalność wydała dla włościan błogosławione skutki w postaci wyższych plonów i wzrostu dochodowości gospodarstw drobnych. Działalność kółek w Galicji jest bardziej wielostronną, biorą one bowiem także w swoje ręce handel drobny i zakładają sklepy, współzawodniczące z handlem żydowskim.

Początek jest więc na polu zrzeszeń w Polsce zrobiony, ale bardzo wiele jeszcze pozostaje nam do zrobienia, abyśmy mogli zrównać się z Duńczykami, Niemcami i Holendrami. Ludzie za mało jeszcze rozumieją korzyści, wypływające ze zrzeszania się, a włościanie słabiej, niż więksi rolnicy i mieszkańcy miast. Takie zaniedbanie w ruchu współdzielczym przyprawia, rzecz prosta, naszych drobnych rolników, rzemieślników i robotników o duże straty; zrzeszając się bowiem, mogliby przy swoich zarobkach znacznie polepszyć swój dobrobyt. Galicja wyprzedziła tutaj Królestwo; wszystkie nasze spółki cierpią na brak kapitału i np. na jednego członka przypadało kapitałów własnych w Królestwie 31 rb., w Galicji 35 rb., a w Poznańskim 137 rb., to znaczy, że t. zw. kółka były najlepiej zaopatrzone w pieniądź obrotowy.

Musimy zatem, szerzyć świadomość, że zrzeszanie się przynosi pożytek, zakładać coraz więcej zrzeszeń różnego rodzaju, głównie rolniczych, bo rolników, jak dotąd, jest w Polsce najwięcej; nareszcie wkładać dostateczną ilość grosza w organizacje współdzielcze, żeby zapewnić im większą żywotność.

Jeżeli weźmiemy silny udział w ruchu współdzielczym, to dogonimy zczasem narody zachodnie, które na tem, jak na wielu

innych polach, daleko nas już wyprzedziły z wielkim dla siebie pożytkiem.

Zrzeszajmy się¹⁾, jeżeli chcemy być silnym, zwartym i zamożnym narodem.

¹⁾ Przeczytaj: Zrzeszenia wiejskie. Dźwignia kultury i dobrobytu ludności wiejskiej. Warszawa nakładem M. Arcta.

SILA MORALNA — NAJWYŻSZEM DOBREM NARODU.

Każdy człowiek bogobojny, który dobrze przypatruje się temu, co się wokoło niego dzieje, musi dojść do przekonania, że dusza ludzka nie wyszła zwycięsko z ciężkiej próby, jaką jest wojna. Obok bohaterów, którzy wyrzekli się chętnie własnej korzyści dla dobra ogólnego, którzy poświęcili życie, zdrowie, majątek, rodzinę dla ojezycznej i świecą przykładem, namnożyło się wiele rozmaitego plugaństwa. Tacy ludzie bez Boga w sercu, bez żadnego poczucia, mają tylko interes własny na widoku. Niepomni na morze krwi, rozlane w tej okropnej wojnie, z której dźwignęła się na nowo do życia nasza ujarzmiona ojczyzna, nie bacząc na przykład, jaki im dają szlachetni obywatele, toną we wszelakim brudzie. Nie chcą o niczem wiedzieć, gonią jedynie za groszem i nie przebierają w środkach, byle dorobić się z krzywdą rodzonego brata.

Sobkostwo zapanowało w duszach większej części naszych braci, zamiast Chrystusowej miłości bliźniego, każdy myśli tylko o sobie, głuchy na cierpienia innych. Bezprawia mnożą się, jak muchary po deszczu, tak iż ucziwy człowiek załamuje ręce, pytając w zwątpieniu: „Czyż tak sobie wyobrażałem ten błogosławiony dzień, w którym sprawiedliwości stać się miało zadość, w którym jarzmo niewolnika spadnie z karku moich braci Polaków?“

Zacznijmy od małych, a skończmy na tych, którzy mają wszelkie dane do tego, żeby, stojąc na świeczniku, być przykładem dla ogółu.

Na wsi rozwielił się ohydny bandytyzm i złodziejstwa rabunkowe. Istniało to zło już przed wojną, ale obecnie stanęło przed nami w całej swej ohydzie. Doszło do tego, że w Polsce, kraju położonym w samym środku cywilizowanej Europy, gorzej jest człowiekowi spokojnemu, niż gdzieś między dzikimi murzynami w Afryce. Żaden gospodarz nie może być pewien, czy go w nocy, ba nawet w dzień biały! nie napadną zbroje, nie będą zmuszali najokrutniejszymi sposobami do wydania ostatniego grosza. Okrucieństwa te są tak

straszne, że mimowoli dochodzisz do przekonania, że zbirowie ci są gorsi stokroć od najbardziej krwiożerczych tygrysów. Czytajcie rozprawy sądowe przeciwko bandytom, a zobaczycie, że pomiędzy nimi, wstyd to powiedzieć, znajdują się nieraz rzemieślnicy, ba! synowie zamożnych gospodarzy rolnych, którzy w ten sposób hańbiący szukają pieniędzy na hulaszce i próżniacze życie. Wielu zaś, zamiast tępić jak dzikie bestje tych zaprzańców, nieraz daje im przytułek w swoich domostwach, wchodzi z nimi w konszachty, i sami dostają się na ławę oskarżonych o współnictwo.

Ci zaś, co nigdyby nie przyłożyli ręki do zbójeckiego rzemiosła, mają także swoje grzechy. Z krzywdą braci głodnych uprawiają zdzierstwo, byle napchać sobie kieszenie. Nie baczą na to, że człowiek nie zabierze ze sobą grosza do grobu, że pracują dla diabła. Uszy ich są niewrażliwe na jęki głodnych i ubogich, kieszeń ich zamknięta, kiedy trzeba dorzucić coś do wspólnej kasy na potrzeby całego narodu, znajdującego się w okropnej potrzebie, zmuszonego znova budować dom, pod którym wszyscy głowy schronić mamy.

Między rzemieślnikami i robotnikami dawna uczciwość i pracowitość poszła, niestety, w niepamięć. Wojna pobałamuciła ludzi, zdaje się im, że bez pracy można osiąść dobrobyt. Każdy krzyczy tylko, żeby mu więcej płacono za jego pracę, ale nie baczy, żeby ta jego praca była tyle chociażby warta, co dawniej, kiedy płaca była niższa, niż obecnie. Każdy woła do ojczyzny: „Daj! Daj!“, ale żaden nie pomyśli, że ta matka-ojczyzna jest w biedzie, na dorobku, że walczy z wrogiem, z brakiem, że więc i jej należy się coś od nas, że trzeba ją wesprzeć, a nie ciągnąć bez miłosierdzia na każdym kroku. Ludzie odwykli od uczciwej pracy, od spełniania obowiązku, zamiast miłości bliźniego, nakazanej przez Chrystusa, chowają w sercach zawiść do tych, którym się lepiej powodzi, którzy mają więcej od nich. Radziby im chociażby przemocą wydrzeć, co jest ich własnością, zapominając, że głównie pracą ludzie dochodzą do dobrobytu, że jeśli przestaniemy pracować, to możemy mieć nie wiem ile papierków, ale nic za nie nie dostaniemy, bo jedna praca tylko stwarza bogactwa. Bezrobotni domagają się pracy, a skoro ją otrzymają wreszcie, to czyż pracują jak się należy? Bynajmniej, jeden na drugiego patrzy, żeby za dużo nie zrobił, chciałby otrzymać pieniądze za darmo.

Kupcy, którzy dawniej cieszyli się godziwym zyskiem, dziś nie znają miary; radziby sto i trzysta razy więcej brać za swój towar, niż ich kosztował, dopuszczają się różnych nadużyć w gatunku i w ilości sprzedawanego towaru, chowają je w swoich składach, żeby później

otrzymać za nie lichwiarskie ceny od biedaków. A z tych wdowich i sierocych, krwią i potem nędzarzy oblanych groszy składają sobie majątki.

Rzemieślnicy nasi, którzy dawniej byli najzdrowszą może częścią społeczeństwa, nie znają granic swoich wymagań, każą sobie płacić okrutne ceny za obuwie, za odzież, bez której biedak obejść się nie potrafi, wyzyskują najpierwsze potrzeby rolnika, robotnika i innych warstw narodu.

A i ci, którzy powołani są do pilnowania, żeby maszyna cała szła gładko, żeby ułatwiać ludziom życie, urzędnicy, nie wszyscy niestety, stoją na wysokości swojego zadania, nie spełniają sumiennie swoich obowiązków. Słowem, gdziekolwiek spojrzymy, wszędzie szerzy się sobkostwo, zepsucie, złodziejstwo, spekulacja, zdzierstwo. Ludzie zapomnieli o najpierwszych przykazaniach boskich, zapanowała wielka demoralizacja.

Człowiek uczciwy nie będzie robił źle, bo jego zasady moralne, jego religijność nie pozwalała mu na to; pamięta on, że życie doczesne jest niczem wobec wiecznego, nie zgubi duszy dla dogodzenia ciała. Do sumienia tych ludzi, którzy rzadko zbaczają z drogi prawej, nie potrzebujemy się zwracać z upomnieniem, ale tych tylko, którzy wyrzekli się miłości bliźniego i myślą jedynie o sobie. zapytujemy, do czego to wszystko, co się dzieje dzisiaj, doprowadzić może?

Uczciwość w życiu narodu jest równie niezbędna, jak kawałek chleba codziennego; bez niej społeczność prędzej czy później zginąć musi niechybnie. Uczciwość bowiem jest, pomijając już sumienie i religijność, dobrze zrozumianym interesem. jest pewnego rodzaju umową między ludźmi, mającą na celu ułatwienie wszystkim życia i dojście do dobrobytu.

Weźmy parę przykładów, które nam jasno tę rzecz przedstawia. Oto mamy porządnego rolnika, który na swoim kawałku chce pracować. Ale ma złych sąsiadów. Zasiał, a ci mu po nocach wypasają zboże; założył sad, a szkodnicy zrywają mu owoce, jeszcze zielone. Wpuścił ryby do sadzawki, a niebawem wyłowili mu je sąsiedzi. Cóż taki gospodarz zrobi? A no koniec końców przestanie gorliwie pracować. Na co ma sadzić gruszki, kiedy mu je połamią i oberwą? Na co ma mieć ryby, kiedy z nich nie będzie sam korzystał? Szkodnictwo, nieuczciwość sąsiadów jest dlań przeszkodą, nie może on pracować tak, jakby chciał i potrafił. A jeżeli wielu będzie w jego położeniu, to rzecz jasna, że na tem ogół straci, bo nie będzie u nas ani postępu w rolnictwie, ani sadów, ani sadzawek z rybami, nędza rozpanoszy się.

Albo zbóje. Czyż człowiek ma na to odejmować sobie od ust i chować pieniądź na polepszenie gospodarstwa, wyposażenia dzieci, czy na starość, żeby mu je pewnej nocy bandyta razem z życiem albo zdrowiem zabrał? Bezpieczeństwo publiczne jest zachętą do pracy, do oszczędności, bez których to cnót żaden naród się nie utrzyma, zbieudnieje nawet, jeżeli był bogatym, a jeśli był biednym, nigdy niczego się nie dorobi.

Zakładamy sklep spółkowy, bo wiemy, że w takim sklepie towar będzie lepszy i tańszy, niż u Żyda. Ale co się okazuje? Postawiliśmy na czele sklepiku człowieka, który kradnie spółników, pcha cudze do kieszeni. Jeżeli taki niesumienny człowiek będzie długo rządził sklepem, to go doprowadzi do ruiny, skrzywdzi uczestników. To samo z kooperatywą, która jest bardzo użyteczna, ale pod warunkiem, żeby na jej czele stali ludzie uczciwi. Jeżeli udziałowcy się przekonają, że zarządzający chowa zyski do własnej kieszeni, to się wycofają i kooperatywa, która mogłaby dać duże zyski i wygodę, upadnie. Wogóle może dojść do tego, że u nas nie będzie można ani wziąć służącego, bo ten będzie próżnował i kradł i trzeba będzie pracować samemu, nie będzie można wziąć rządcy do majątku, nie będzie można otworzyć fabryki, bo robotnicy wyniosą wszystko w kieszeni, i strajkami albo nieuczciwą pracą uniemożliwią właścicielowi prowadzenie interesu. Na tem, rzecz oczywista, straci ogół robotników, bo fabryki nie będą się opłacały i nikt nie zechce ich zakładać ani prowadzić.

Na tych kilku przykładach chyba widać wyraźnie, że uczciwość jest niezbędną, że bez niej wszystko prędzej czy później stanie, że uczciwi nie będą mogli pracować, a zmniejszenie się liczby ludzi energicznie pracujących wpędzi nas wszystkich w nędzę, z której już nas nie wyratuje. Zamienilibyśmy się w stado wilków, które naprzód kradną cudze, a kiedy już nie mają co porwać, same między sobą gryźć się i zjadać zaczynają.

Ale uczciwość nie dotyczy jedynie tego, co posiadamy, jest ona niezbędną we wszystkich stosunkach ludzkich.

Np. rodzina, w której mąż żyje niemoralnie, daje zły przykład dzieciom, albo pije, jest skazana na nędzę i upadek. Dzieci idą, jak to się mówi, „na psy“, zostają złodziejami, albo szkodliwymi próżniakami. To samo można powiedzieć o rodzinie, w której kobieta łamie wierność małżeńską, nie wychowuje przykładowo dzieci, wnosi zamęt, gniew i gorycz do domu, zamiast spokoju i ładu. Jeżeliby i złych rodziców było zbyt wiele u nas, to rodziny rozleciałyby się na cztery wiatry: człek byłby człekowi wilkiem, nie bratem, naród przestałby

istnieć: zamiast ładu i porządku nastaloby zamieszanie: nikt nie byłby pewien ani życia, ani zdrowia, ani własności, słowem, zostalibyśmy stadem dzikich zwierząt. Bez uczciwości nie może się obejść ani rodzina, ani naród, ani żadna praca ludzka! Jeżeli chcemy, żeby się u nas rozwijało rzemiosło, przemysł, handel, rolnictwo, trzeba koniecznie ludzi uczciwych, nie próżniaków i nieponiów, którzy zamiast przysparzać ogólnego dobra, będą je uszczuplali, zamiast pomagać innym, będą im przeszkadzali.

Historja innych narodów i naszego własnego niezbitcie nam dowiodła na licznych przykładach, że bez moralności, bez miłości i bez Boga ludzkość żyć nie może, że uczciwość jest takim samem bogactwem, jak złoto i chleb, a nawet stokroć od nich cenniejszem. Narody moralne wzrastają w bogactwa i potęgę, panuje w ich państwach porządek: są one gotowe do wszelkich ofiar dla ogólnego dobra, umieją bronić kraju od wrogów: dzieje im się na każdym kroku dobrze.

Biada jednak narodom i państwom, które zapomniały o tem, że niema życia bez Boga w sercu! Narody takie, ogarnięte zepsuciem, które nie znajdując żadnej tamy, zalewa wszystko, jak cuchnące błoto, ubożeją, dziczeją, stają się prędzej czy później pastwą swoich wrogów, zamieniają się na niewolników, którzy pod batem pracują dla swego okrutnego pana.

Taki los czekałby niewątpliwie odrodzoną Polskę, gdyby w niemoralności miała nadal tak upadać, jak upadła podczas wojny i po wojnie. Nastąpiłby zastój i nędza; brat, koniec końców, podniósłby rękę na brata, stałoby się to, co się dzieje obecnie w Rosji, ogarniętej nienawiścią, okrucieństwem, mordem, pożogą, próżniactwem i bratobójczą walką.

Ludzie muszą sobie przypomnieć o swoich obowiązkach chrześcijańskich, muszą wyrzec się sobkostwa, zdzierstwa, próżniactwa, załości, inaczej źle, oj źle, będzie się u wszystkich działo.

Moralność to najwyższe dobro każdego człowieka, każdego narodu. To jest wielka prawda, którą należy w każdym domu wypisać ognistemi literami. Bez Boga w sercu nie ostoi się żaden człowiek, żadne państwo. Podźwignąć moralność, która mocno podupadła, musimy koniecznie, jeżeli nie chcemy zejść na wzgardzonych i poniewieranych niewolników!

CO TO JEST MORALNOŚĆ NARODOWA I OBOWIĄZEK NARODOWY.

Każdy obywatel państwa, czy to polskiego, czy jakiego innego, przychodząc na świat, korzysta od dzieciństwa aż do śmierci z wielorakich udogodnień, które stworzyli jego praojcowie i ojcowie w szeregu setek lat minionych. Ma on bowiem do swojego rozporządzenia to wszystko, co daje współczesna cywilizacja, stworzona wysiłkiem wielu pokoleń, a więc wszelkie wynalazki, poczynając od zapałek i domostwa, a kończąc na poczcie, kolejach, drogach bitych, samochodach, telegrafach, telefonach, brukach w mieście, oświetleniu ulic. Korzysta ze wszystkiego, chociaż sam nie stworzył jeszcze. Może sobie wynająć mieszkanie w doskonale urządzonej domu, ma w razie potrzeby sądy, które mu wymierzają sprawiedliwość, ma władzę czuwającą nad jego mieniem i bezpieczeństwem, ma szkoły dla siebie i swoich dzieci, biblioteki, w których może czytać książki dawno już napisane i wydrukowane, słowem, czuje na każdym kroku, że jest bogatym, że jego poprzednicy stworzyli wiele udogodnień, nieraz niezmiernie ważnych, bez których w żaden sposób obejśćby się dziś nie potrafił i które czynią mu życie znośnym, pozwalając mu przy małym wysiłku pracować owocnie i mieć wygodę wszelakie. Fabryki wytwarzają dlań mnóstwo przedmiotów codziennej potrzeby, których pojedynczy człowiek, nie wiem jak zdolny i pracowity, nie potrafiłby sam sobie zrobić. Te wszystkie urządzenia, instytucje, urzędy, ta armia broniąca nas od nieprzyjaciół wewnętrznych i zewnętrznych, to uporządkowanie życia we wszystkich dziedzinach zawdzięcza jednostka pracy ojcowskiej, która z wielkim nakładem trudu, czasu, rozumu i doświadczenia stworzyła to, co się nazywa ucywilizowanym społeczeństwem i państwem.

Państwo nie tylko opiekuje się swoim obywatelem, podczas kiedy ten mieszka w jego granicach, ale rozciąga nad nim opiekę swoją nawet wówczas, kiedy wyjeżdża on do innego państwa, między obcych. Im państwo jest bogatsze, zasobniejsze w środki, lepiej urzą-

dzone i rządzone, tem lepiej dla jego obywateli. Weźmy za przykład taką Anglię, która jest jednym z najbogatszych, najlepiej rządzonych, najbardziej ucywilizowanych krajów świata. Każdy Anglik wie doskonale o tem, że wszędzie czuwa nad nim jego rząd, że w razie jeżeli mu obcy wyrządzą jaką krzywdę, jego rząd ujmie się za niego energicznie, że jego państwo wysila się, żeby miał on opiekę na każdym kroku, obronę swoich prywatnych interesów, że to państwo stwarza kolonje za morzem, żeby jego obywatele mieli gdzie pracować i bogacić się, jeżeli w kraju nie znajdą dość pola dla rozwinięcia swojej energii i zdolności.

Państwo jest zatem drogocenną organizacją, stworzoną przez obywateli dla obopólnej korzyści i bezpieczeństwa.

Nie można stąd wyobrazić sobie człowieka ucywilizowanego, któryby potrafił obejść się bez tego wszystkiego, co daje owa organizacja państwowa — człowieka, któryby pojechał gdzieś w puszcę i czuł się tam szczęśliwym w pośród garstki takich samych jak on wykołajeńców. Każda jednostka jest więc w najwyższym stopniu zainteresowana w tem, żeby jej naród, jej państwo było jak najlepiej urządzone, bo wie, jakie niezliczone korzyści może jej takie państwo dawać.

Ale na świecie nic za darmo się nie otrzymuje. Jeżeli jednostka korzysta z licznych udogodnień, z opieki, jaką mu zapewnia państwo, to rzecz naturalna, musi poczuwać się do wdzięczności względem tego swojego narodu i państwa, musi brać na siebie pewne obowiązki. Obowiązki te są różnorodne, a nieraz bardzo ciężkie.

Państwo, jak to łatwo zrozumieć, musi ponosić wielkie wydatki na utrzymanie wojska, które nas broni od wrogów, policji, która nam zapewnia bezpieczeństwo od złoczyńców, urzędników, którzy pracują, ażebyśmy mogli pracować korzystnie i spokojnie, żebyśmy mieli oświecenie, drogi żelazne w porządku, gościńce wybrukowane, opiekę za granicą, dobrze prowadzoną politykę zagraniczną, zarząd gminy i miasta, oszczędzający naszych pieniędzy i czasu, pocztę dostarczającą nam listy i gazety, sądy, gdziebyśmy mogli dochodzić swoich uzasadnionych pretensyj i kary na naszych krzywdzicieli, szkoły, zakłady dobroczynne, szpitale i t. d.

Państwo musi skądś czerpać pieniądze na te wydatki, które nieraz, jeżeli posiada ono rozległe obszary i liczną, wielomiljonową ludność, sięgają kilkunastu tysięcy milionów rocznie. Mylnie sądzą niektórzy, że państwo ma niewyczerpane zasoby, bo może sobie drukować pieniądze bez ograniczenia. W dobrze urządzonych państwach rząd nie

ma i nie powinien mieć prawa drukowania pieniędzy papierowych bez żadnej rachuby, bo w takim razie ilość pieniędzy takby się powiększyła, że podobnie jak dziś w Rosji sowieckiej, straciłyby one wszelką wartość. Państwo na swoje nadzwyczajne potrzeby musi uciekać się do pożyczek, czy to zaciągniętych u swoich obywateli (t. j. wewnętrznych), czy od obcych (t. j. zewnętrznych). Od pożyczek tych trzeba uiszczać procenty i spłacać je ratami. Stanowią one dług państwowy, który nie może przekroczyć pewnej wysokości, zależnej od zamożności ludności, bogactw naturalnych i zaludnienia. Potrzeby bieżące, zwyczajne, państwo zaspokaja jedynie z podatków, nakładanych na ludność. Podatki są więc konieczne w każdym państwie, najlepiej nawet urządzonem i najbogatszem. Obywatele wszystkich państw płacić przeto muszą i płacą wszędzie podatki, z których państwo zaspokaja swoje potrzeby. Obowiązkiem każdego obywatela, czy bogatego, czy ubogiego, jest płacić punktualnie, bez szemrania nałożone nań podatki. Kto się od tego uchyla, kto stara się w jakiś sposób oszukać swój rząd, kto podaje fałszywe dane, ten popełnia przestępstwo przeciwko swojemu państwu, swoim współobywatelom, ten godzi w dobrobyt ogólny. Wyobraźmy sobie, coby nastąpiło, gdyby obywatele stale odmawiali płacenia niezbędnych podatków. W takim razie musiałyby pójść w ruinę państwo, bez którego nie może się obejść żaden naród. Niepłaceni, źle odziani i głodni żołnierze wpuściliby wroga w granicę, oddaliby mu na pastwę nasze mienie i życie. Policja przestałaby czuwać nad naszym bezpieczeństwem, koleje, poczty przestałyby nam służyć. wszystko poszłoby w rozsypkę i spadłaby klęska na cały ogół.

Są tacy, którzy sobie pocichu myślą tak: Ja jeden nie zapłacę podatku, to z tego jeszcze nic złego wyniknąć nie może, gdyż inni zapłacą, a to, co nie wpłynie, choć wpłynąć powinno do kasy rządowej, jeszcze jej nie zuboży. Jest to bardzo niebezpieczne i niemoralne rozumowanie, które przypomina nam znaną i głośną bajkę Andersena o chorym królu. Był sobie, mówi ta bajka, pewien król, który dobrze rządził swoim państwem, był bardzo kochany przez swoich poddanych. Aliści pewnego dnia król dobry ciężko zachorował i lekarze kazali mu się kąpać w winie, gdyż inaczej musiałby umrzeć. Nie było poddostatkiem wina w piwnicach królewskich; posłano więc wielką bęczkę na wozie z poleceniem, żeby każdy poddany wlał w nią bu telkę wina. W ten sposób miało się uciulać dość wina, żeby król mógł się w niem kąpać i uchronić się od śmierci. Kiedy nareszcie wróciła pełna beczka, wyprózniono ją. Ale cóż się okazało? Zawierała ona

czystą wodę. Król nie miał się w czem kąpać i umarł. — Dlaczego w beczce była czysta woda, zamiast wina? Oto dla tej prostej przyczyny, że każdy poddany rozumował sobie tak: Wszyscy dają wino, jeżeli ja jeden wleję, zamiast wina, jedną butelkę wody, to wino będzie winem, nikt się na tem nie pozna i król wyzdrowieje. A ponieważ wszyscy tak zrobili, przeto w beczce była czysta woda i król umarł. Oto do czego prowadzi takie składanie obowiązku na innych, a usuwanie się samemu od jego spełnienia.

Państwo można także porównać do domu, w którym pod jednym dachem mieszkają sobie wszyscy obywatele. Mury i dach tego domostwa dają bezpieczeństwo i schronienie od mrozu wszystkim, zarówno biednym, jak bogatym. Cobyście jednak powiedzieli o takim współmieszkańcu, który, nie mając np. za co kupić drzewa, albo chcąc sobie zaoszczędzić wydatku na opał, będzie rozbierał dach domu i kładł go na ogień? Jedna deska jeszcze nie zniszczy dachu, ale jeżeli wielu będzie naśladowało szkodnika, to wówczas pozostali ani się nie obejrzą, kiedy ich wspólny dach zniknie i deszcz poleje się wszystkim na głowy.

Każdy dobry obywatel powinien pamiętać, że na nim ciąży obowiązek podtrzymywać państwo, płacić podatki, wypełniać wszelkie rozporządzenia rządu; jest to święty obowiązek nas wszystkich, od którego nikomu nie wolno się uchylać lub wyłamywać, prawo bowiem wszystkich jednakowo obowiązuje i przez wszystkich winno być szanowane. Kto dla siebie czyni wyjątki, ten chce żyć cudzym kosztem, sam się ubezpiecza od przykrości, żeby innym na głowę zwalić jeszcze cięższy obowiązek. To jest bardzo niemoralne i występne. Ale płacenie podatków i podtrzymywania państwa własnego kieszenią, jeszcze nie wyczerpuje obowiązków obywatela kraju. Są one nieraz daleko cięższe do spełnienia, wymagają daleko większej ofiary.

My, Polacy, mamy naokoło samych wrogów, którzy tylko czytają na to, żeby znowu przy nadarzonej sposobności rzucić się na nas, z bronią w rękę, zniszczyć ogniem i mieczem, odebrać wolność tak eudownie zrządzeniem Opatrzności odzyskaną i znów zrobić z nas swoich niewolników. Dlatego też obrona ojezyny od nieprzyjaciół zewnętrznych stanowi ciężki, ale konieczny obowiązek każdego Polaka. Każdy mężczyzna musi pełnić służbę w szeregach naszej walecznej armji, która dała po wyzwoleniu się Polski z pod obcego jarzma piękne przykłady poświęcenia się, i potrafiła obronić rodzące się państwo od przemocy Ukraińców, bolszewików, Czechów i Niemców. Państwo ma prawo wymagać od swoich obywateli nie tylko daniny w pieniądzu, ale we

krwi i życiu. Biada narodowi, który choć na chwilę zapomni o tym swoim obowiązku. Taki naród prędzej czy później popaść musi w ciężką, poniżającą niewolę, musi, jak ten wół, dźwigać na karku upokarzające jarzmo, musi na cudzem polu pracować dla swojego pana, otrzymując za swój trud jeno pogardę i kawał suchego chleba. Konieczność utrzymania i potęgowania według potrzeby siły zbrojnej państwa, wszelkimi ku temu prowadzącymi sposobami, rzuca się każdemu w oczy, jest tak uderzającą, że trzeba wielkiej przewrotności, trzeba wielkiej obojętności i głupoty, żeby się od niej wzbraniać. A obowiązek to najcięższy. Łatwiej rodzicom otworzyć szkatułę, niż oddać jedyne nieraz dziecko do wojska, zwłaszcza teraz, kiedy burza wojenna szaleje na granicach państwa.

Jeżeli obywatele są powołani do służby cywilnej, jako urzędnicy, sędziowie i t. p., to winni traktować swoje obowiązki równie poważnie jak żołnierz powołany do służby z bronią w rękę, uczciwie, sumiennie z całym oddaniem się. Nie wolno im się zaniedbywać, a co gorsza, popełniać jakieś nadużycia, korzystać z urzędu dla napchania własnej kieszeni. Każdy obywatel powinien bez wahania poświęcać swoje osobiste korzyści dla dobra państwa, pamiętając, że państwo jest spólnem dobrem i że ktoś czyniący mu uszczerbek, jest wrogiem własnego narodu, prowadzącym go do upadku.

Niestety, jesteśmy świadkami złego pojmowania swoich obowiązków przez wielu z tych, którzy powinni świecić przykładem. Nadużycia różnego rodzaju mnożą się zastraszająco, ludzie myślą głównie o własnych interesach raczej, niż o interesach narodu i państwa. Skutki tego stanu rzeczy, nie długo każą na siebie czekać. Państwo polskie, zamiast rozbudowywać się, rozwijać, potężnieć, gromadzić zasoby, stać się wielkiem i potężnem, będzie upadało; nędza zamiast uciekać z naszych wsi i miast, będzie się coraz bardziej zwiększała ku radości naszych nieprzyjaciół, szydzących z „polskich rządów“. Rak to prawdziwy, z którego leczyć się musimy z całą energją, jeżeli nie chcemy, żeby okropna choroba nie przeżarła całego organizmu. Historia uczy nas, jakie nieszczęścia spadały na Polskę skutkiem prywaty, to znaczy, przekładania prywatnych interesów nad interesy ogólne, narodowe i państwowe. Jeżeli Polska, która była przed czterystu laty wielką, potężną, bogatą, zasobną, przodująca innym państwom w oświacie i urządzeniach politycznych i społecznych, upadła, stała się pastwą drapieżnych sąsiadów, winna temu przede wszystkim prywatą klasy rządzącej, szlachty ówczesnej, która poza swoim dobrem o niczem słuchać nie chciała.

Ta szlachta dawna, obok wielkich zalet, miała i wiele wad karygodnych. Zazdrośnie strzegąc swoich przywilejów, starała się je pomnażać kosztem innych klas narodu polskiego. Zakuła włościanstwo polskie w poddaństwo, za przykładem sąsiadów, Prusaków i Moskali, gdzie dola chłopska była jeszcze gorszą, niż dola chłopca polskiego; wzbogacała się jego pracą, pozbawiała praw miasta polskie, obkładając je coraz to nowemi ciężarami tak, iż wkońcu doprowadziła do zupełnego upadku handel, rzemiosła i przemysł w Polsce; sprowadzała towary zagraniczne bez cła na własne potrzeby, zabijając w ten sposób wytwórczość rodzimą; niechętnie dawała pieniądze na wojsko i na inne potrzeby państwa, w którym przecież korzystała ze wszelkich przywilejów; sama jedna chciała bronić go od wroga, co się wkońcu okazało dla niej zbyt ciężkiem zadaniem. I co nastąpiło? Bezsilna Polska, pozbawiona wojska, mająca pusty skarb, składająca się z kilkuset tysięcy panów, którzy resztę narodu pozbawili wszelkich praw na swoją korzyść wyłączną, chyliła się do upadku, aż wreszcie stała się pastwą sąsiadów, którzy lepiej pojmowali swoje obowiązki względem państwa. Oby ta smutna historia nie powtórzyła się raz jeszcze w dziejach naszych, oby okropna w swoich skutkach prywata nie stała się znów przyczyną naszej słabości.

Prywata jest bowiem zgubna nie tylko wówczas, kiedy uprawiają ją jednostki, ale jeszcze bodaj gorsza w następstwach, jeżeli wgrzyzie się w całe klasy narodu. Żaden stan, czy to włościański, czy mieszczkański, czy szlachecki, nie może zapominać o tem, że nie stanowi narodu, że jego korzyści nie są korzyściami ogółu. Naród bowiem to wszystkie warstwy razem wzięte; one to stanowią całość. I ta całość nie może być zdrową i silną, jeżeli choćby jedna cząstka jest osłabiona, nie korzysta z przyływu soków żywotnych. Naród i państwo można porównać do drzewa, którego każda gałąź główna powinna być zdrowa, silna, ssać na równi z innymi soki doprowadzane przez korzenie z ziemi ojczyznej.

Potępiamy sobków, dbających tylko o siebie, głuchych na potrzeby i dolegliwości najbliższych. Gdyby społeczeństwo składało się z samych sobków, życie byłoby w niem niemożliwe. Każdy bowiem musi pamiętać o swoich bliźnich, nieść im w razie potrzeby pomoc skuteczną, pamiętając, że i sam może się kiedyś znaleźć w trudnem położeniu i zginąć, jeżeli nie dozna nikąd pomocy. Tak samo potępić należy sobków, jeżeli idzie o naród, o państwo. Ludzie zamykający swoją kieszeń wówczas, kiedy potrzeba pomóc państwu, kiedy należy podać dłoń braciom jęczącym pod obcą przemocą, głodnym, są

najgorszymi wrogami państwa, a więc i samych siebie, swoich dzieci i wnuków, gotują im bowiem twardy los niewolnika. Czyż my nie mamy prawa narzekać na swoich praojców, którzy swoim postępowaniem doprowadzili do ruiny kwitnące, bogate, wolne państwo polskie, a nas, swoje dzieci, skazali na półtorawiekową niewolę. z której daremnie staraliśmy się w zbrojnych walkach otrząsnąć? Czy nie ściągnęli na nas nieskończoną mnogość nieszczęść. czyż nie zgotowali nam gorzkiego losu, z którego dopiero wyprowadziła nas wojna wszechświatowa i ręka Opatrzności? Pamiętajmyż, żeby nasi potomkowie nie przeklinali nas za zaniedbanie w budowie wspólnego, krzepkiego domu, żeby nas surowo nie osądzili za to, że nie dołożyliśmy wszystkich starań ku temu, aby im było dobrze.

SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
1. Zadanie niniejszej książki	3
2. Co to jest interes narodowy	5
3. Bogactwa ziem polskich	11
4. Naród polski musi być zjednoczony	19
5. Stany w Polsce i ich położenie gospodarcze	29
6. Ziemia, jako własność narodu	45
7. Podźwignijmy rolnictwo polskie	51
8. Przemysł polski żywicielem bezrolnych	69
9. Unarodowienie miast	79
10. Unarodowienie handlu	86
11. Dobre drogi — jedna z najpilniejszych potrzeb Polski ;	90
12. Oświata najważniejszą potrzebą Polski.	97
13. Polska musi się dobrze rządzić	103
14. Reformy społeczne	108
15. Zrzeszajmy się	125
16. Siła moralna największem dobrem narodu	132
17. Co to jest moralność narodowa i obowiązek narodowy	137

KSIĘGARNIA M. ARCTA

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 35.

KONTO P. K. O. 196

ZESTAWIA I KOMPLETUJE BIBLIOTEKI

WEDŁUG INSTRUKCJI
MINISTERSTWA W. R. I O. P.,

KATALOGU BIBLIOTEKI WZOROWEJ DLA DZIECI
I MŁODZIEŻY ORAZ WSZELKICH WYMAGAŃ
SZKÓL I NAUCZYCIELSTWA

POSIADA, POLECA I WYSYLA NA ZAMÓWIENIE

KSIĄŻKI SZKOLNE DLA WSZELKICH SZKÓL I KLAS;
KSIĄŻKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH;
KSIĄŻKI FRANCUSKIE, NIEMIECKIE I ANGIELSKIE;
DZIEŁA PEDAGOGICZNE, METODYCZNE I POMOCNICZE;
LITERATURĘ RADJOWĄ, CZASOPISMA I SCHEMATY;
ATLASY GEOGRAFICZNE I PRZYRODNICZE, MAPY;
WYDAWNICTWA SPORTOWE, GIMNASTYCZNE I GRY;
NUTY WSZELKICH RODZAJÓW I DZIEŁA MUZYCZNE.

KATALOGI I PROSPEKTY

BEZPŁATNIE



HC
340
.3
U54
1920
C.1
ROBA

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

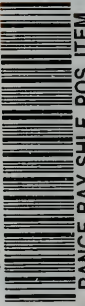
HELENA WITKOWSKA i LUDOMIR SAWICKI

NAUKA
O POLSCE WSPÓŁCZESNEJ.

SPIS RZECZY :

- Wstęp (*H. Witkowska*).
I. Ziemia (*L. Sawicki*).
II. Ludność (*L. Sawicki*).
III. Życie gospodarcze ziem polskich (*L. Sawicki*).
IV. Kultura duchowa (*H. Witkowska*).
V. Państwo (*H. Witkowska*).
VI. Ważniejsze zagadnienia Polski współczesnej
(*H. Witkowska*).

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 14 11 07 03 003 0

30
50